

ROZMOWA „DO RZECZY”

Bez PiS nie będzie w Polsce
rządów prawicy – uważa Czarnek



TYGODNIK LISICKIEGO

NR 29/587 15–21 LIPCA 2024

CENA 11,90 Zł (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

Komu przeszkadza
Viktor Orbán



PUTIN W 2024 R. SŁABY
JAK HITLER W 1939 R.?

KRÓTKA HISTORIA
POLSKIEJ TROMTADRACJI

Specjaliści od nienawiści
– kim są bodnarowcy ścigający
„przestępstwa z nienawiści”



MESJANIŚCI MARZĄ O WIELKIEJ WOJNIE

Żydowski fundamentalizm rośnie w Izraelu w siłę

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LIŚCICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY” I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”



~~711~~ ZŁ

W PREZENCIE

KSIĄŻKI

TEKSTY Z DODATKÓW SPECJALNYCH TYGODNIKA „DO RZECZY”: „PRAWNA OBRONA PRZED POŁONOFOBIA” + „PRAWNA OBRONA WOLNOŚCI SUMIENIA I IDEOLOGIA LGBT”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

249,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 462 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%)
- Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami
- Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPLATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl a661ba9222

Eskalacja drogą do zwycięstwa



PAWEŁ LISICKI

Podczas szczytu NATO prezydent Joe Biden złożył kilka deklaracji. Po pierwsze, powiedział, że Rosja przegrywa wojnę na Ukrainie; po drugie, stwierdził, że Ukraina otrzyma kolejną, ogromną pomoc militarną z USA; po trzecie zaś, dodał, że Putin nie zmienił swojego celu i wciąż chce całkowitego podporządkowania Ukrainy i wymazania tego państwa z mapy świata. Według Bidena siły rosyjskie nie zatrzymają się na Ukrainie i zapewne zaatakują NATO.

Wszystkie te twierdzenia przyjmowane są przez polskich polityków – zarówno obecnie, jak i poprzednio rządzących – z dobrodziejstwem inwentarza. Co ciekawe, nie poddaje się ich naturalnej i koniecznej analizie. Tak jakby można było uznać, że wypowiedzi Bidena, który jeszcze kilkanaście dni wcześniej pokazał, że traci kontakt z rzeczywistością i cierpi na daleko posuniętą demencję, można było traktować poważnie. Tak jakby dało się te deklaracje oderwać od prostego i banalnego faktu, a mianowicie, że w listopadzie w USA odbędą się wybory prezydenckie i Biden, o ile w nich wystartuje, musi do tego momentu udowodniać, że jego polityka na Ukrainie jest skuteczna. Aby wygrać w USA, Biden musi robić wrażenie silnego i stanowczego. Im lepiej zatem widać słabość Bidena człowieka, tym śmielsze i bardziej buńczuczne deklaracje muszą padać, żeby tym lepiej przykryć smutną prawdę o starym i zniedołężniałym polityku. Zresztą nawet jego ewentualna podmiana na bardziej zważego i zdrowego demokratę niewiele teraz by zmieniła: do listopada USA muszą trzymać się obecnej linii.

A rzeczywistość? W postmodernistycznym świecie nie ma ona, jak sądzą rządzący w Waszyngtonie neokonserwa-

tyści, wielkiego znaczenia. Czy zatem Rosja faktycznie przegrywa na Ukrainie? Rzut oka na mapę i przebieg frontu pokazują, że jest to teza nie do obrony. Wojska rosyjskie konsekwentnie, choć powoli, przesuwają się w głąb Ukrainy. Liczba strat po obu stronach rośnie. Jednak to Ukraina cierpi na tym bardziej. Po pierwsze, dlatego że Rosja dysponuje przewagą wojskową i militarną, czyli może zadawać więcej strat przeciwnikowi. Po drugie, nawet jeśli poziom strat jest porównywalny po obu stronach, Rosja dysponuje ogromną przewagą demograficzną, czyli ma potencjalnie do wykorzystania większe zasoby.

Podobnie trudno dostrzec oznaki przegrywania Moskwy na polu gospodarczym. Mimo wprowadzenia kolejnego, 14. pakietu sankcji ogół ekonomistów twierdzi, że rosyjska gospodarka okazuje zdumiewającą odporność. Przeciwnie – to gospodarka ukraińska znajduje się na skraju wyczerpania i załamania. To łatwe do zweryfikowania fakty, podawane przez ogół zachodnich źródeł.

Podobnie trudno pojąć, w oparciu o jakie fakty prezydent Biden stwierdza, że Moskwa zamierza podbić całą Ukrainę i że się tam nie zatrzyma. W początkowej fazie wojny Rosja wysłała do walki ok. 190 tys. żołnierzy, czyli – jak słusznie zauważył John Mearsheimer – siłę całkowicie nieproporcjonalną do podbicia niemal 40-milionowego (wówczas) państwa o powierzchni dwa razy większej niż Polska. Nawet obecnie walki toczą się na terytorium Donbasu. W jaki sposób owo żółwie tempo przesuwania się frontu w Donbasie miałyby doprowadzić do podbicia całej Ukrainy? Każda rzeczowa analiza musi też pokazać, że Rosja jest państwem militarnie słabszym od Stanów Zjednoczonych, a tym bardziej słabszym od USA i ich

sojuszników. Dlaczego zatem miałyby dążyć do konfrontacji zbrojnej z Zachodem? Jest to całkiem nielogiczne.

Wydaje się, że jest odwrotnie, niż utrzymuje ogół przywódców zachodnich: to obecna polityka USA doprowadziła do zacieśnienia sojuszu Chin z Rosją i do powstania potencjalnie niebezpiecznego stowarzyszenia przeciwników Zachodu, skupionych w bloku BRICS. W ten sposób Waszyngton sam kreuje coraz większe zagrożenie dla Zachodu.

Wystąpienie Bidena pokazuje, że o żadnych prawdziwych negocjacjach pokojowych nie może być mowy, bo zostałyby one uznane za przejaw słabości administracji, a to byłoby gwoździem do politycznej trumny prezydenta. Odwrotnie, do listopada należy oczekiwać eskalacji. Eskalacja przykryje lepiej błędy. Tak należy odczytywać, sądzę, wyniki wizyty w Warszawie prezydenta Wołodymyra Zełenskiego i podpisanie osobnej umowy międzypaństwowej między Polską a Ukrainą tuż przed szczytem NATO. Jak wynika z wypowiedzi premiera Donalda Tuska – a także Wołodymyry Zełenskiego – Polska gotowa jest powołać, uzbroić i wyszkolić na swoim terytorium ochotniczy legion ukraiński, który ma zostać skierowany do walk na Ukrainie. Podobnie – co jednak brzmiało znacznie bardziej enigmatycznie i zostało zdementowane przez rzecznika Białego Domu – Polska miałyby być gotowa zestrzeliwać rosyjskie rakiety nad Ukrainą. Nie bardzo wprowadzie wiem, w jaki to niby sposób miałyby się stać, biorąc pod uwagę stan polskiej obrony przeciwlotniczej. Tak czy inaczej kolejny krok do wpełnienia Polski do wojny na Ukrainie został zrobiony. Co jeszcze zrobią polskie władze dla Ukrainy i dla zwycięstwa demokratów w USA? ©©

TEMAT TYGODNIA

14 WITOLD REPETOWICZ

IZRAEL GOLDSTEINÓW I AMIRÓW

Szybko rośnie odsetek ultraortodoksów

18 PAWEŁ LISICKI

GROŹNE OBLCZE MESJANIZMU



OPINIE

48 WOJCIECH GOŁONKA

**KOMU PRZESZKADZA
VIKTOR ORBÁN**

Kto nie chce końca wojny?

50 PAWEŁ CHMIELEWSKI

UPADEK ARCYBISKUPA

53 ŁUKASZ WARZECHA

DEMOLKA POLSZCZYN

HISTORIA

56 DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

**PUTIN W 2024 R. SŁABY
JAK HITLER W 1939 R.?**

Krótką historią polskiej tromtadacji

ŚWIAT

60 MAREK JUREK

**FRANCJA W POWYBORCZYM
IMPASIE**

Jaka przyszłość czeka Francję?

64 TERESA STYLIŃSKA

KLĘSKA TORYSÓW

66 MACIEJ PIECZYŃSKI

**UKRAJŃCY NIE CHCĄ ROZMAWIAĆ
Z ROSJĄ, ALE MUSZĄ**

EKONOMIA

68 ROZMOWA Z DR. ARTUREM BARTOSZEWICZEM

**SUWERENNOŚCI WYRAŹNIE
NIE MAMY**

Obudzimy się w złym świecie

72 JACEK PRZYBYLSKI

KOSMICZNE PIENIĄDZE

WAKACJE Z „DO RZECZY”

74 JACEK PAŁKIEWICZ

**SAVOIR-VIVRE I NORMY
ZWYCZAJOWO-RELIGIJNE**

Podróże z Pałkiewiczem

KRAJ

22 ROZMOWA

Z DR. HAB. PRZEMYSŁAWEM CZARNKIEM

**BEZ PIS NIE MA I NIE BĘDZIE
W POLSCE RZĄDÓW PRAWICY**

PiS nie potrzebuje ludzi, którzy
przedkładają się ponad partię

26 PIOTR SEMKA

RÓWNO Z TRAWĄ

28 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

GRA W ROZLICZANEGO

30 ROZMOWA Z DAGMARĄ PAWEŁCZYK-WOICKĄ

**PODMYWANIE FUNDAMENTÓW
PRAWORZĄDNOŚCI**

33 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

SPECJALIŚCI OD NIENAWIŚCI

36 ŁUKASZ ZBORALSKI

KRĘCENIE Z ELEKTRYKAMI

KULTURA

38 PIOTR GOCIEK

KONIEC PIĘKNEJ EPOKI

Eseje autora „Wielkiego Gatsby'ego”



40 ROZMOWA Z MAGDĄ JAROS

ANIOŁ I TWARDZIEL

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

FELIETONY: SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (59), PRZYBYLSKI (63), GABRYEL, WARZECHA (71), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JĄSTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Godiek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarniecki,
Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek,
Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym),
Grzegorz Kucharzyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzak,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz,
Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torzański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk,
Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-**
Pieczyska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin
Bugaj, Damian Cysan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid
Sienkowski, Łukasz Żygadlo

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład), **Jacek Nadratowski** (obrobka zdjęć)
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wemerowska,**
Agata Błaszczak-Stefaniak

RYŚOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**

Okladka: **M. Har-Habait/Temple Mount Administration/AFP/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro SA**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, **Orle Pióro SA**, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej **PMPG Polskie Media SA**, notowanej na GPW.



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Lloc

Zarząd Spółki Orle Pióro SA:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzecki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:

Joanna Gosek, Joanna Nowakowska

+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00

e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:

Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88

e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl

Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczta.pl,

www.poczta.pl/prenumerata#prasa

GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl

Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829 Nakład: 48 500 egzemplarzy

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.
© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Kulisy srebra”, Grzegorz Majchrzak, „DR” nr 27/2024

Jako rówieśnik Orłów Górskiego z dużym zainteresowaniem przeczytałem kolejną publikację o kulisach naszego największego sukcesu piłkarskiego. Pozwolę sobie przekazać kilka uwag na poruszony temat.

Zasadniczy temat trzeba rozdzielić na dwa odrębne zagadnienia:

1. Czy doszło do przekazania pieniędzy przez Argentyńczyków za wygranie meczu?

2. Jeśli tak, to czy Gadocha oszukał swoich kolegów?

Drugą sprawą nie będę się zajmował, ale pierwsza, moim zdaniem, wymaga głębszego zastanowienia. Większość licznych publikacji na ten temat sugeruje tu możliwość korupcji. Tymczasem korupcja polega na nagradzaniu za złe wykonanie obowiązków. Za dobre wykonanie daje się nagrodę. A przecież obowiązkiem piłkarzy jest wygrywanie meczów, więc Argentyńczycy mogli naszych zawodników tylko nagrodzić, skorumpować mogli tylko Włosi. Czy to coś złego?

O tym, że Argentyńczycy traktują tę historię w kategoriach czysto sportowych, miałem okazję przekonać się kilka lat temu. Uczestniczyłem wtedy w wycieczce po Ameryce Południowej. W pięknej scenerii wodospadu Iguazu (największego na świecie!) podszedł do naszej polskiej grupy starszy pan, jak się okazało, Argentyńczyk. Upewniwszy się, że jesteśmy Polakami, zaczął recytować: Deyna, Lato, Tomasieski... i tak dalej, wymieniał całą naszą jedenastkę z 1974 r. Zawołał do siebie syna i z ogromnym zapałem opowiadał mu, jak ci straszni Polacy spuścili manto ich chłopcom. A przecież cztery lata później Argentyna nam się na boisku zrewanżowała.

Skąd więc taki szacunek dla naszej drużyny okazany po przeszło 40 latach? Nie mam wątpliwości, że to podziw dla sportowej postawy, którą nasi piłkarze wtedy wykazali. Przecież nie musieli się wysilać, awans mieli zapewniony. Co więcej, uważam, że pokłosie tej historii mieliśmy podczas ostatniego mundialu w Katarze. Tam sytuacja się odwróciła. Teraz Argentyna mogła zadecydować o naszym awansie. I zadecydowała! W decydującym meczu strzeliła szybko w grupie, a potem robiła wszystko... żeby nie strzelić więcej, co dawało nam awans. Tak! To był rewanż po latach. Warto w sporcie być uczciwym!

Ze sportowym pozdrowieniem
Mirosław Wieczorek (Łódź)

Panie prezydencie, co pan tam naciska?!!



C E Z A R Y K R Y S Z T O P A

NA PIERWSZY OGIEŃ

Kolbe be i „Bogurodzica” też be



PIOTR SEMKA

Jeśli komuś wydawało się, że oburzenie wokół wycofania książek Jarosława Marka Rymkiewicza z kanonu lektur w polskich szkołach komuś da do myślenia, to grubo się mylił. „Gazeta Wyborcza” nie tylko angażuje się w pochwały wykreślenia JMR, lecz także ostatnio bije na alarm, gdyż zauważyła, że pewne niepokojące ją dzieła ostały się na lekturowych spisach. I tak oto redakcja z Czerskiej ze zgrozą odkryła, że w kanonie edukacji ostała się najstarsza polska pieśń państwowo-religijna – „Bogurodzica” z XIII bądź XIV w.

Do wyjaśnienia czytelnikom, dlaczego jest to skandal, wynajęto Jacka Podsiadłę, który oprócz misji pisanie poezji pisuje też felietony do „Tygodnika Powszechnego”. Podsiadłę irytuje nazwanie pieśni mianem kunsztownego arcydzieła literatury narodowej. Jak pisze: „Stworzenie arcydzieła w języku, który dopiero się kształtuje, nie jest możliwe. Dziwi też, że arcydziełem ma być utwór określany jako »trop«, czyli konwencjonalny, retoryczny wstęp poprzedzający w li-

teraturze kościelnej czytanie Biblii lub inny tekst”. Chcąc do końca pogłębić średniowieczny hymn, Jacek Podsiadło chętnie pisze: „Dajcie mi miejsce, gdzie mógłbym oprzeć łokieć, a nim kur zaśmieje się trzy razy, napiszę 20 takich”. Uważa też, że przedstawiona w książce relacja przeciwna słów Bogurodzica i dziewica jest oczywistą bzdurą, na którą czytanie dzieci nie mogło być narażone. Pisze: „Rozumiecie? Ponieważ już dwa pierwsze słowa zawierają oczywistą bzdurę (nie można być jednocześnie matką i dziewicą, sensy tych słów nie tyle się odpychają, co wręcz napierdzielają się po łbach), należy nazwać bzdurę antytezą i świadectwem kunsztu »uczonego autora«”.

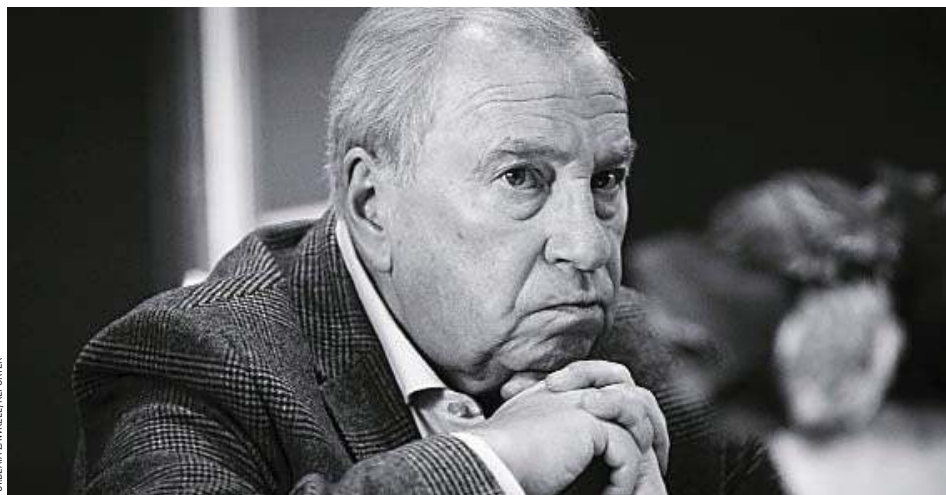
Oszczędzę państwu dalszych wyskoków intelektualnych człowieka, który po prostu nie rozumie wiary chrześcijańskiej i któremu, jak wielu wojującym ateistom, nie mieści się w głowie, aby dziewica mogła urodzić dziecko. Na podobnej zasadzie ulubioną kpinką chrystofobów było przez wieki pytanie chrześcijan, czy uważają się za kanibali, skoro są przekonani, że

spożywają w każdą niedzielę ciało i krew Jezusa. Z tego też obszaru pochodziły pytania nastoletnich uczniów, którzy najpierw pytali księdza, czy Pan Bóg może zrobić wszystko, a potem pytali, czy może stworzyć tak duży kamień, że sam nie będzie w stanie go unieść.

Sam Adam Michnik dawno temu nazywał ten typ okazywania niechęci religii chrześcijańskiej „antyklerykalizmem tramwajowym”. I pamiętam jeszcze czasy, kiedy nawet bardzo zdecydowani ateści mieli na tyle pocucia dobre go smaku, by się do takich efekciarskich chwytów nie posuwać. Ale im bardziej narasta niechętna Kościołowi furia „Gazety Wyborczej”, tym łatwiej ten typ retoryki wraca na łamy tej gazety. Pytanie jednak, kiedy tego typu prostackie argumenty zaczną poruszać jakieś panie Diduszek czy Lubnauer, które będą obdarzone prawem do zmieniania listy szkolnych lektur. Przy obecnych rządach Barbary Nowackiej każda bzdura może któregoś dnia zostać podniesiona do rangi nowej polityki Ministerstwa Edukacji. ©

NIE ŻYJE
JERZY STUHR

W wieku 77 lat zmarł Jerzy Stuhr, jeden z najwybitniejszych i najpopularniejszych polskich aktorów filmowych i teatralnych, a także reżyser i scenarzysta. Artysta – znany z takich filmów jak „Wodzirej” Feliksa Falka, „Amator” Krzysztofa Kieślowskiego, „Persona non grata” Krzysztofa Zanussiego czy „Seksmisja” Juliusza Machulskiego – od 2011 r. zmagiał się z nowotworem krtni. Miał także za sobą zawał oraz udar mózgu. Aktor zostanie pochowany w Krakowie w środę 17 lipca. (jap) ©



FOTOGRAFIA ZAMRZEL/REPORTER



Uwaga, będzie awans. Mateusz Morawiecki ma zostać przewodniczącym Partii Europejskich Konserwatystów i Reformatorów. Z sojusznikami Włochami wynegocjowano, że to on zastąpi Giorgię Meloni. Prosimy zarazem o niemylenie dwóch bytów: co innego frakcja EKR w europarlamentcie, a co innego partia o tej samej nazwie. Morawiecki ma zostać szefem partii.

W tym sukcesie jest haczyk. Otóż jakiś czas temu zmieniono statut partii EKR, opierając go na prawie belgijskim. Wedle owego statutu główną władzę w partii ma sekretarz generalny. A nim – jak się odgrażają przyjaciele ze słonecznej Italii – zawsze będzie Włoch.

Skoro już o europejskich stanowiskach, to współprzewodniczącą EKR (frakcji, nie partii) w europarlamentcie miała być była premier Beata Szydło. Ale nią nie została, gdyż wybrano Joachima Brudzińskiego. Kto zablokował Bełatę? Otóż nie Włosi ani inni obcy ludzie, tylko Jarosław Kaczyński. Wybór nowych władz EKR odbywał się bowiem w samym środku smutnej chryły w sejmiku małopolskim, gdzie Beata namieszała podczas wyborów marszałka.

Żeby nie było, że szeregowy poseł Jarosław Kaczyński tylko blokuje – słyszeliśmy, że także zachęca. Jak wiadomo, w boju o koncesję na telewizję naziemną przegrała oferta węgierska, a wygrała TV Republika i telewizja braci mniejszych. Prezes kibicuje przedsięwzięciu węgierskiemu, ale z dobrego źródła słyszeliśmy, że miał sytuację skwitować zdaniem: „Nie wyobrażam sobie, żeby nie dać koncesji Republice”.

Wracamy do Brukseli. Tam – sądne dni. Europosłowie zegnający się z mandatami mieli czas do 14 lipca, żeby opróżnić biura. W związku z tym doszło do ciekawej sytuacji, którą opiszemy ze szczegółami, gdyż będzie to opowieść pt. „Unijne zasady w pigułce”. Nazwalibyśmy zasadę „paragrafem 22”, ale ta nazwa jest zajęta. A jako że europarlament mieści się w Brukseli przy Rue Wiertz 60, nazwiemy ją „paragraf 60”.

Było tak: żeby spakować swoje rzeczy, europosłowie otrzymali piękne kartony z logo Parlamentu Europejskiego. Kiedy je wypełnili i chcieli dobytek zabrać do domów/hoteli/samochodów, okazało się, że nie mogą tego zrobić, gdyż kartony są własnością europarlamentu, a obowiązuje zakaz wynoszenia takiej własności poza budynek PE. Na nic przysięgi, że kartony zostaną odniesione i oddane. Europejczycy musieli więc odnieść kartony do biur, opróżnić je, ładować dobytek do walizek i wywozić na raty i tak ewakuację zakończyć. Jest i dobra wiadomość – dla europarlamentu – wszystkie kartony z logo stoją teraz w opróżnionych biurach. Ani jeden się nie zgubił.

Bardzo ciekawą informację uzyskaliśmy z kręgów polskiej dyplomacji. Otóż wszyscy psioczą i odcinają się od Viktora Orbána, który ledwo objął przewodnictwo w Radzie Unii Europejskiej, a już pognał do Putina, choć najpierw polecił do Kijowa. Otóż – jak twierdzą nasze wiewiórki – Orbán nie działa zupełnie samowolnie. Wręcz przeciwnie – jego misja jest w pełni dogadana z Niemcami i USA. Orbán ma i tak przekichane w Europie, więc nic mu już nie zaszkodzi. Z tego właśnie powodu postanowiono go użyć. Zwróćcie uwagę, że mimo wizyty na Kremlu, a zaraz potem u Xi w Chinach i w USA, poza rytualnymi wyrazami oburzenia nikt nie odmawia spotkania z Viktorom.

Młośnicy ejdżyzmu, który uprawiamy, wytykając Lepszej Zmianie wysyłanie emerytów na placówki ambasadorskie, odezwali się do nas z pytaniem, dlaczego wytykamy wiek Orłowskiemu, wysyłanemu do Maroka,

a zapominamy o Schnepfie, co ma powędrować do Rzymu. Mają słuszną rację. Czym jest 68 lat Orłowskiego, wobec 72 lat Schnepfa? U końca kadencji będzie miał lat 76. Tyle co Biden, jak wybierano go na prezydenta. A to przecież powinno wszystkich uspokoić.

Tymczasem do sądów zaczynają wpływać pierwsze pozwody od odwoływanych ambasadorów skierowanych przeciw Radkowi Sikorskiemu. Nas natomiast bardzo ciekawi, jak nasze wolne, a obecnie najwolniejsze sądy uzasadnią odrzucenie tych pozwów. Wszak powoływanie i odwoływanie ambasadorów jest wyłączną konstytucyjną prerogatywą osoby głowy państwa. Jesteśmy jednak przekonani, że członkowie partii politycznej Iustitia dadzą sobie z tym radę.

Osoba głowy państwa powołała Radę do spraw strategicznych projektów rozwojowych. To trochę taki salon odrzuconych, składający się z prezesów i wiceprezesów największych polskich firm, którzy wraz ze zmianą władzy zostali bez roboty. Ciekawe jest nawet nie to, kto się w tej radzie znalazł, ale kogo zabrakło. Otóż nie ma w niej Daniela Obajtka. Ale ten akurat robotę ma. Zabrakło też Piotra Ciompy, byłego prezesa Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych. Złe języki mówią, że w kancelarii Andrzeja Sebastiana niektórym osobom nie przypadły do gustu wypowiedzi Ciompy na temat ambasadora Marka Brzezińskiego na łamach „Do Rzeczy”. Miały miejsce przed wizytą osoby głowy państwa w USA. Więc się specjalnie nie dziwimy.

Tymczasem w Niemczech skończyły się mistrzostwa Europy w piłce kopanej. I dzięki Bogu! Bo serdel był niesamowity, łącznie z tym, że reprezentacja Holandii nie mogła dojechać na półfinał pociągami, gdyż pociąg odwołano. Ot, deutsche Wirtschaft. Ale są i dobre wieści. W cieniu Euro 2024 odbywały się inne rozgrywki. Podczas słynnego posiedzenia wyjazdowego EKR na Sycylii doszło do meczu Polska – Włochy. Starły się drużyny asystentów europosłów. Po zaciętym boju wygrali Polacy 5:4. Proponujemy nagłówek: „Polska wygrała małe Euro”. ©©



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Bunt dla poparcia

Bezmiar głupoty i bezmyślności sfanatyzowanych smarkaczy, bawiących się w różne „ostatnie pokolenia”, „extinction rebellion” i inne jaczki z pogranicza wariactwa i terroryzmu, widać nawet nie w ich działaniach, ale w tym, jak je motywują. Oczywiście, działania są głupie – oblewanie farbą czy innymi substancjami dzieł sztuki, atakowanie koncertów w filharmonii, a najczęściej rozsiadanie się na drogach i blokowanie ruchu...

Na dodatek podniecona moralnie smarkateria nie liczy się z kosztami swoich zabaw. Sama tylko renowacja warszawskiej Syrenki po oblaniu jej farbą kosztować będzie, wedle relacji prasowych, kilkadziesiąt tysięcy

złotych, a koszty blokad drogowych mogą być dużo wyższe.

Ale najgłupsza jest argumentacja. Owoż, twierdzą ekowandale, oni muszą robić to, co robią, muszą przekraczać granice, żeby „zwrócić uwagę na problem”.

Głupota i beczelność polegają na tym, że swymi aktami bezmyślnego szkodenia zwracają uwagę na „problem”, o którym od lat trąbią wszystkie możliwe władze i mainstreamowe media – bo na „polityce klimatycznej” wielkie koncerny i rządy zarabiają biliony i hojnie sponsorują każdego, kto ten obłęd wspiera. Nie ma programu, tytułu, filmu przyrodniczego czy celebryckiego „iwentu”, gdzie by nie sączono historycznych haseł, że „Ziemia płonie”, „nie mamy planety B”

i musimy robić wszystko, co każe Unia Europejska i magnaci z Davos. Rozhisteryzowane krzyki młodych idiotów giną w tym jazgocie – rozumiem, że ich to frustruje, ale giną nie dlatego, że nikt sobie nie zdaje sprawy z rzekomego zagrożenia, tylko że czynniki oficjalne, establishment i jego media krzyczą głośniej.

W czasach PRL młodzież prowadziła różne nielegalne działania, organizowała się, malowała po murach, strajkowała – żeby pokazać, że jest przeciw. Ale czy wyobrażała sobie państwo, żeby ktoś rozrzucił ulotki żądające, powiedzmy, pogłębienia przyjaźni z ZSRS? Aby mazał po murach nie zakazane słowo „Katyń”, ale „niech żyje PZPR”? No, takiego „buntu” jeszcze świat nie znał... ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Porełka realizmu

Aleksander Bocheński jeszcze się ukrywał, gdy pierwszy raz po wojnie spotkał go Stefan Kisielewski w Krakowie. „I co ty teraz będziesz robił, Olu? Wyjeżdżasz?” – zapytał Kisiel. „A gdzie tam, będę kolaborował”. „Ale co ty gadasz, przecież oni wszystko wiedzą, co ty pisałeś przed wojną”. „No to się wyprę” – odpowiedział współautor „Polskiej idei imperialnej”.

Istotnie, przed wojną Kisiel i Bocheński pisali w „Polityce”, która programowo postulowała wyprawę z Niemcami na Wschód w celu obalenia bolszewizmu. Po wojnie środowisko się rozpięchło, ale utrzymało kontakt. Niedawno „Archiwum Kultury” opublikowa-

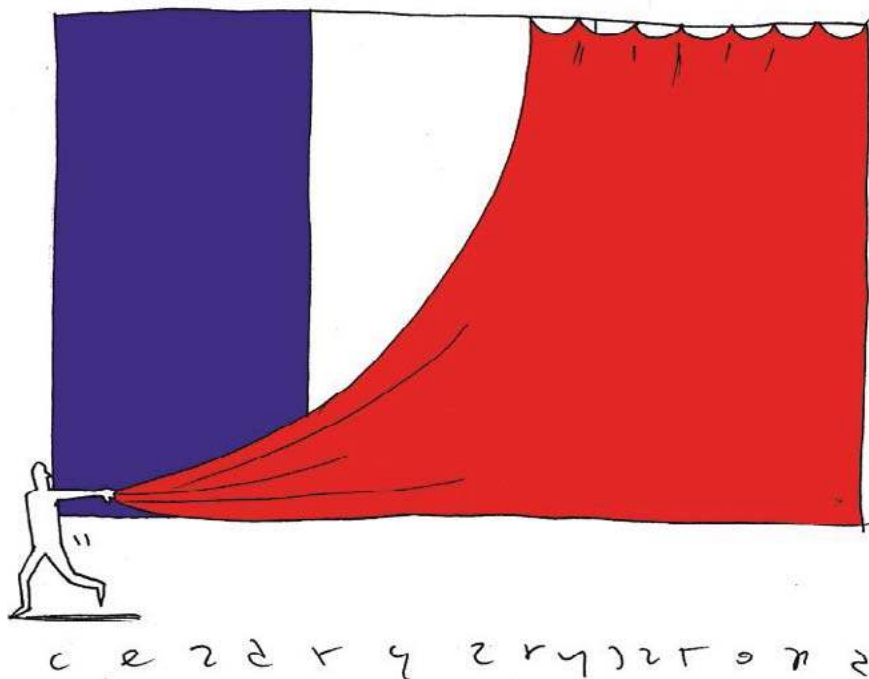
ło półwiekową korespondencję Jerzego Giedroycia i Aleksandra Bocheńskiego, stanowiącą niezwykle ciekawy dokument przyjaźni ludzi, którzy poszli bardzo różnymi drogami. Listy te to niekończąca się dyskusja dwóch pragmatyzmów. Obaj przyjaciele są w pełni świadomi względności „skuteczności”, barier ograniczających działanie na emigracji, w obcym świecie, albo w kraju – pod narzuconą Polsce władzą.

To, co jednak najbardziej fascynujące, to kult, z jakim obaj ci realiści piszą o Adolfie Bocheńskim, bracie Aleksandra, poległym (właśnie mija rocznica) 80 lat temu pod Ankoną. Dla obu to „jakiś polski święty”, wzór człowieka, Polaka

i – myśliciela politycznego. Bo realizmu Adolfowi Bocheńskiemu odmówić nie sposób. Nikt tak plastycznie jak on nie opisał położenia geopolitycznego Polski u progu wojny światowej. Jednocześnie – w planie osobistym – najmłodszy z Bocheńskich wiedział zawsze, gdzie polityka się kończy. I wtedy, gdy protestował przeciw Brześciowi; i wtedy, gdy chciał się bić po stronie powstańców w Hiszpanii; i wtedy, gdy poszedł walczyć z Niemcami przez pięć lat wojny.

Może dlatego tak kochali go ludzie twardej logiki i dyktowanych przez nią wyborów. Nic bowiem tak mocno nie poręcza intencji politycznego realizmu jak honor, po prostu. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



PIECZEŃ RZYMSKA

Kto wygrał wybory **we Francji?**PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

To zależy, jak liczyć. W drugiej turze francuskich wyborów najczęściej głosów otrzymało Zjednoczenie Narodowe Marine Le Pen – 32 proc. To porównywalny rezultat z wynikami pierwszej tury wyborów (33,2 proc.) i wyborów do PE (31,4 proc.), które Zjednoczenie również wygrało. Ale we francuskim Zgromadzeniu Narodowym najwięcej szabel ma teraz lewica przed centrowymi macronistami. Lepeniści są dopiero na trzecim miejscu. Przegrali bardziej z ordynacją wyborczą niż z rywalami.

W dużym stopniu podzielam obawy tych, którzy kreślili czarny scenariusz wydarzeń we Francji, Europie i na świecie, jeśli lepeniści przejmą władzę. U mnie w Italii na wieść, że Nowy Front Ludo-

wy arcybolszewika Jeana-Luca Mélenchona zostanie najwięcej miejsc w Zgromadzeniu, postępowcy wpadli w euforię, a przy okazji w amok, i uznali tę wiktoryę za własną. „La Repubblica” wyszła z ogromnym tytułem na pierwszej stronie „Rewolucja Francuska!”. Szefowa lewicowej Patrii Demokratycznej Elly Schlein tańczyła z radości.

A przecież nad sukcesem Frontu Ludowego można tylko zapłakać. Idolami aspirującego do przejęcia władzy Mélenchona są Fidel Castro i równie upiorni Chávez i Maduro. Pochwalił aneksję Krymu, chce wstrzymać pomoc militarną dla Ukrainy, wyjścia Francji z NATO i jak cała europejska szajboliczka szczerze nienawidzi imperialistów amerykańskich.

Jest fanatycznym wyznawcą kultu św. Migranta. Obiecuje zabrać bogatym i dać biednym. Chce obniżyć wiek emerytalny do 60 lat i wprowadzić minimalną pensję 1,6 tys. euro miesięcznie. Słowem – przekształcić Francję w VI Republikę Opiekuńczą, czyli zrujnować państwo. Do Frontu należą również szaleńcy ekologiczni i betonowi komuniści, którym marzy się sowiecki socjalizm. Co więcej, na Mélenchona głosowali też islamiści. W Paryżu na placu Republiki, gdzie zebrali się jego entuzjaści, flag palestyńskich było o wiele więcej niż francuskich. A na koniec fety założyli kominiarki i ruszyli na Bogu ducha winną policję. Zgroza. Biedna, pogubiona Francja. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA-
-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

JAGODZIANKI DLA WYTRWAŁYCH

Jagodziankowy szal trwa. Można chyba mówić już o trendzie, bo kolejny rok najlepsze jagodzianki są tematem dyskusji, poszukiwań i pożądania wielkomiejskich elit. Niby po to, żeby smacznie zjeść, ale fajnie też wstawić jakąś relację na Instagrama. Nie ma co jednak sięgać po byle jagodziankę za marne 5 czy 6 zł, skoro są takie za 30! Kogoś nie stać? Z pomocną radą przychodzi Magda Gessler, bo to w jej cukierni sprzedaje się słodkie bułki z jagodami w takiej cenie (a dokładniej za 31 zł). – Nikt nikogo nie zmusza do noszenia Diora ani Chanel ani jeżdżenia rolls-royce'em. Jest demokracja, każdy pracuje na to, na co może. Nikt nikomu nie wybiera życia. Czasami życie wybiera niestety różne scenariusze – stwierdziła restauratorka w mediach pytana, dlaczego jest tak drogo, aż o 3 zł drożej niż sezon temu. Następnie wyjaśniła, co można zrobić, aby móc sobie pozwolić na taką kulinarną rozpustę. – Dobra jagodzianka jest warta tego, żeby np. nie zjeść trzech obiadów i zjeść jedną

jagodziankę. Jest tak pyszna, że zostaje w pamięci na cały rok, aż do następnego lipca... do moich urodzin – przekonuje. – Czy nas na to stać czy nie, to zależy trochę od szczęścia, od naszej pracowitości [...]. To nie jest sprawiedliwe, nie jest demokratyczne, ale to jest prawda o życiu – podsumowała gwiazda TVN. Jagodzianka prawdę ci powie. O grubości portfela.

MENTALNA COFKA

Blanka Lipińska wypowiedziała się na temat adopcji dzieci przez pary jedнопłciowe. Pozytywnie rzecz jasna. – Pewnie, lepiej niech dzieci siedzą sobie w domach dziecka, niech będą nieszczerliwie i smutne, oczywiście tak jest lepiej, zamiast dostać cudowny, wspaniały dom – ironizowała pisarka, czym wywołała falę krytyki. Krytyki na tyle silnej, że Blanka zdecydowała się poświęcić „hejterom” relację na swoim Insta. „Wiecie co... czytam komentarze pod tym materiałem i już wiem, dlaczego nasz kraj się cofa mentalnie. Wychowałam się z dziećmi z domu dziecka, bo mój dom rodzinny stał obok. Więc chodziłam z nimi do szkoły, spotykałam się po szkole u nich w pokoju albo u mnie w domu. I wiem, że te dzieci po prostu chciały być kochane. Im by nawet wystarczył jeden »rodzic«, byle ktoś o nie dbał. Nie wiem, jak jest teraz w domach dziecka, ale to, co ja tam widziałam i słyszałam, mając ok. 12 lat, przerażało mnie! I dlatego uważam, że każda osoba, która jest w stanie i chce zapewnić dziecku stabilny dom pełen miłości, powinna mieć prawo tę miłość ofiarować!” – grzmi Lipińska. „A co do napiętnowania dziecka w szkole, bo ma dwóch ojców albo dwie matki... Drodzy rodzice, to wasze poglądy będzie dziecko powtarzało! To nie dzieci są winne takich zachowań, tylko rodzice, którzy wychowali je na jadowite i podłe istoty” – oburza się dalej. To jednak nie koniec. „Jak babcia i mama (czyli dwie kobiety) wychowują dziecko, to jest OK? Albo gdy samotny ojciec wychowuje córki? Albo samotna matka synów... (bo przecież potrzebny jest »prawidłowy« wzorec, by być »dobrym« człowiekiem). Bo

ja już sama nie wiem, czy problem w ludzkich głowach jest biologiczny czy społeczny? Wiecie... problem ma ten, kto ma problem, a nie ten, co go nie ma. Jak dziecko ma dwoje rodziców alkoholików i żyje w zaniedbaniu, biedzie i patologii, to jest OK? Bo sztuka rodzica się zgadza i to jest »prawidłowy« model rodziny? Dziwi mnie zaścianek, który mamy w naszym kraju... Serio” – podkreśla Blanka. Pani Blanko droga, kto powiedział, że rodzice alkoholicy, bieda i patologia są OK? Nikt. No właśnie.

FRANCJA URATOWANA

Francuskie wybory parlamentarne cieszyły się sporym zainteresowaniem polskich celebrytów, no bo wiadomo – najważniejsze, żeby światem nie rządili „faszyści”. Na szczęście się udało i partia Marine Le Pen zanotowała wynik znacznie słabszy niż prognozowano, a co najważniejsze – nie będzie rządzić. Cała Europa usłyszała chyba huk ciężaru, który spadł z serca Kindze Rusin, która – jak na celebrytkę zaangażowaną przystało – niezwykle przejmowała się owymi wyborami. „Wizja rządów proputinowskiego Frontu Narodowego była naszym sennym koszmarem. Podobnie jak rządy skrajnej lewicy, gdzie też są zwolennicy Putina. Odetchnęłam z ulgą. Europa też. Bo żadni ekstremiści nie wygrali: ani prawicowi, ani lewicowi” – zaznacza Rusin w instagramowej analizie. Przysnaję, że Francję może czekać epoka chaosu, ale to nic przy zagrożeniu, którego właśnie udało się uniknąć. „Cokolwiek się stanie, główny cel został osiągnięty. Le Pen otrzymała cios być może kończący jej marzenia o prezydenturze w 2027 r. Francja odrzuciła rządy ekstremalnej prawicy, nauczyła się współpracować przeciw niej w wyborach – w drugiej turze lewica i macroniści ustępowali sobie miejsca i prosili o głosowanie na swoich rywali!” – cieszy się gwiazda. „Trzymam kciuki za Francję! Bo od niej też zależy los Polski” – podsumowała Rusin. Żeby było tak, jak było. I nad Wisłą, i nad Sekwaną. © ©



FOT. WOLFF/OLIVIERO TOSCANI/EAST NEWS



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jako iż bardzo wiele osób z naszego wielkiego ośrodka wyjeżdża na wakacje do Zakopanego i w okolice, postanowiliśmy się samodzielnie przekonać, co takiego jest w tych górach i kulturze góralskiej, iż wszystkich tak do niej ciągnie.

Spakowaliśmy więc do plecaka modne klapki, sportowe okulary przeciwsłoneczne, obcisłe T-shirty z wielkimi logo marek, torebki z wegańskiej sztucznej skóry przewieszane przez ramię, i ruszyliśmy w drogę naszym wyleasingowanym elektrykiem. Na szczęście z Krakowa do Zakopanego musieliśmy go ładować tylko dwa razy, bo wiecie – upały, globalne ocieplenie, te sprawy, a i kolejki do stacji ładowania nie były takie długie, bo staliśmy najwyżej godzinę. Czyli elektromobilność nam się nadal nie przyjęła, szkoda.

W ogóle śmieszna sprawa, iż jak dojechalśmy do naszego pensjonatu, to gospodarz, patrząc na nas i rejestrację naszego elektryka, powiedział, iż „wita gości ze stolicy”. A jak powiedzieliśmy, że nie xD i że jesteśmy z Krakowa, to trochę posmutniał i coś tam pogmerał w cenniku.

Szykując się na wycieczkę, mieliśmy w pamięci te wszystkie straszne opowieści o polskich Tatrach i nie wiedzieliśmy,

czego się najbardziej bać: toalet płatnych 20 zł, paragonów grozy, niedźwiedzia w górach (ostatecznie postanowiliśmy nie iść w góry, iżby minimalizować ryzyko) czy kolejek do kolejki na Kasprowy.

Ostatecznie okazało się, iż największy przypał odnotowaliśmy jednak z para-

nawet próbowaliśmy straszyć ją rzecznikiem praw konsumenta, bo – jak się okazało – ceny podane były za 100 gramów, a my przecież nie mamy wagi w dłoniach i nie wiemy, ile co ma ważyć, przyszlizmy jeść, a nie zajmować się matematyką, no bez przesady jednak xD.

Co prawda, w naszym kolektywnym umyśle zaczęły się kłębić myśli: „Czy my przypadkiem właśnie nie wydaliśmy równowartości abonamentu na Netflix na cały rok?!”. Jednak, po chwili refleksji, postanowiliśmy podejść do tego z dystansem. Przecież niecodziennie ma się okazję zrobić tak dobre fotki żarcia na instastory, a że z premii nam trochę jeszcze zostało, to może pojedziemy jeszcze gdzieś nad morze, iżby się przekonać, czy paragony grozy występują w różnych warunkach xD.

No i najważniejsze: możemy też napisać

kolejny pełen oburzenia list do ogólnopolskich mediów, iż pojechaliśmy na wakacje, niczego się nie spodziewaliśmy, zamówiliśmy jedzenie, a potem trzeba było zapłacić według cennika. Szokujące, paragony grozy znów zaatakowały niczego nieświadomych turystów!!! ©©

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

*Podjętzyu Romanu Gierłydych szkołi
prokuratura generalnego
w zakresie poszukiwania
podstawy prawnej;*



gonem. Weszliśmy do jakiejś restauracji, nie pamiętamy której, bo wszystkie wyglądają tak samo, zamówiliśmy niedużo, iż oferta wegańska jest raczej skromna, ale wiecie, nie patrzyliśmy na cenniki, bo to w końcu wakacje, wpadła premia za sprzedaż pakietów Internet + telefon + pompy ciepła, a co – stać nas.

No i jak na koniec osoba kelnerska nam przyniosła rachunek, to się jednak zdziwiliśmy, iż trzeba zapłacić aż tyle,

No co ty, Szymon? Myślisz, że jakbym chciał, tobym się z tymi pismakami spotykał?

No, nie wiem... A nie? Myślałem, że po to...

Ech, ty to jesteś jednak naiwny jeszcze w polityce. Jak chcesz coś zrobić, to robisz i tyle. A jak nie chcesz, to się spotykasz.

No, ale po co w takim razie?

Jak: po co? Żeby tamci myśleli, że coś załatwią. A najlepiej jakiś zespół jeszcze powołać, jak myśmy zrobili. Spotkanie, zespół – i nikt ci nie zarzuci, że nic nie robisz.

No, ale w końcu nie zrobisz i co wtedy? Nic. Założymy się? ©©

Łukasz Warzecha

PODSŁUCHANE

Nic

Donald, ty serio chcesz coś tam w tym prawie autorskim zmieniać? Przecież Google się wkurzy.

OD RZECZY

„Dudy nawet na szczyt NATO nie można puścić, bo zawsze narobi poruty”.

TOMASZ LIS, publicysta, na portalu X



Orle Pióro, wydawca tygodnika „Do Rzeczy”, planuje debiut na giełdzie!

Credo redakcji tygodnika „Do Rzeczy”

przyjęte przez Redakcję i Wydawcę
Warszawa, dnia 21 stycznia 2013 roku

Tygodnik „Do Rzeczy” jest pismem konserwatywno-liberalnym.

Konserwatywnym, bo szanuje tradycję chrześcijańską, odwołuje się do sprawdzonych i trwałych zasad etycznych w życiu publicznym, przeciwstawia się eksperymentom społecznym, które podkopują i naruszają odziedziczony ład wartości, bo poważnie traktuje polską pamięć narodową, niepodległość państwa i jego podmiotowość. **Liberalnym**, bo popiera wolność gospodarczą, docenia przedsiębiorczość i twardo będzie stał w obronie nieskrępowanej wolności słowa oraz swobody debaty publicznej.

Tygodnik chce być wyrazistym głosem w polskiej debacie publicznej. Głosem, który ma wpływ na opinię publiczną, który się słyszy i bierze pod uwagę. Ale ma to być głos niezależny, wolny od partyjnych uwikłań, reprezentujący interes ogółu. Najważniejszym punktem odniesienia dla publicystów i dziennikarzy tygodnika będą Czytelnicy. Zdobycie i zachowanie ich zaufania jest nadrzędnym celem redakcji.

Dlatego redakcja, wydawca i dziennikarze zamierzają przestrzegać Kodeksu Dobrych Praktyk, dokumentu opracowanego i przyjętego w 2005 r. przez Izbę Wydawców Prasy, jak również szanować inne kodeksy i wysokie standardy związane z zawodem dziennikarza – jak np. Karta Etyki Mediów (Rady Etyki Mediów), czy Kodeks Etyki Dziennikarskiej (Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich).

Rolą wydawcy i redaktora naczelnego jest dbanie o zaznajamianie z treścią niniejszego dokumentu i przyjętych zasad wszystkich dziennikarzy i pracowników tworzących zespół tygodnika „Do Rzeczy”.

Michał M. Lisiecki
Wydawca

Paweł Lisicki
Redaktor Naczelny

Wolność to Konkret!

Przejdźmy DoRzeczy



ZAINWESTUJ

Zostaw swój e-mail na naszej stronie, aby otrzymywać najnowsze informacje i wspierać niezależne dziennikarstwo.

Odwiedź naszą stronę: www.dorzeczy.pl/gielda
lub wyślij swój adres e-mail, SMS/WhatsApp na numer:
+48 508 040 882, a my wyślemy Ci informację zwrotną.

Gwarancja Prywatności:

Twoje dane są bezpieczne. Nigdy nie udostępnimy Twojego adresu e-mail osobom trzecim.

KORZYŚCI DLA CIEBIE:

Bądź na bieżąco:

Otrzymuj najnowsze informacje o naszym debiucie na giełdzie.

Dostęp do ekskluzywnych treści:

Zarezerwowanych tylko dla naszych subskrybentów.

Wspieraj wolne media:

Twoje zaangażowanie pomaga nam tworzyć wartościowe treści.



Ilustracja: Wydanie numer 1 z 2013 r.

INWESTUJ I ZYSKAJ!

Już wkrótce więcej szczegółów inwestycyjnych od nas i naszego biura maklerskiego.

eprasa.pl/a661ba9222

Izrael Goldsteinów



Witold Repetowicz

Żydowski fundamentalizm w Izraelu jest coraz silniejszy, a przemoc nielegalnych osadników wobec ludności nieżydowskiej coraz brutalniejsza. Niespełna 30 lat temu, po zabójstwie Icchaka Rabina, Izrael skrzył mocno w prawo i od tego czasu pogrąża się w religijnym ekstremizmie. Fanatycy mogą jednak doprowadzić go do zguby



My, którzy walczyliśmy przeciwko Wam, Palestyńczykom, mówimy dzisiaj głośno i wyraźnie: Dość krwi i łez! Dość!” – te słowa padły z ust izraelskiego premiera Icchaka Rabina 13 września 1993 r. po tym, jak uściśnął w Oslo dłoń Jasera Arafata. Wszystko wskazywało na to, że jest to przełomowy moment w historii Izraela i relacji żydowsko-arabskich. Fakt, był, ale nie w tym sensie, w jakim Rabin chciał. Niespełna pół roku później żydowski fanatyk Baruch Goldstein wtargnął z karabinem do Jaskini Praojców w Hebronie

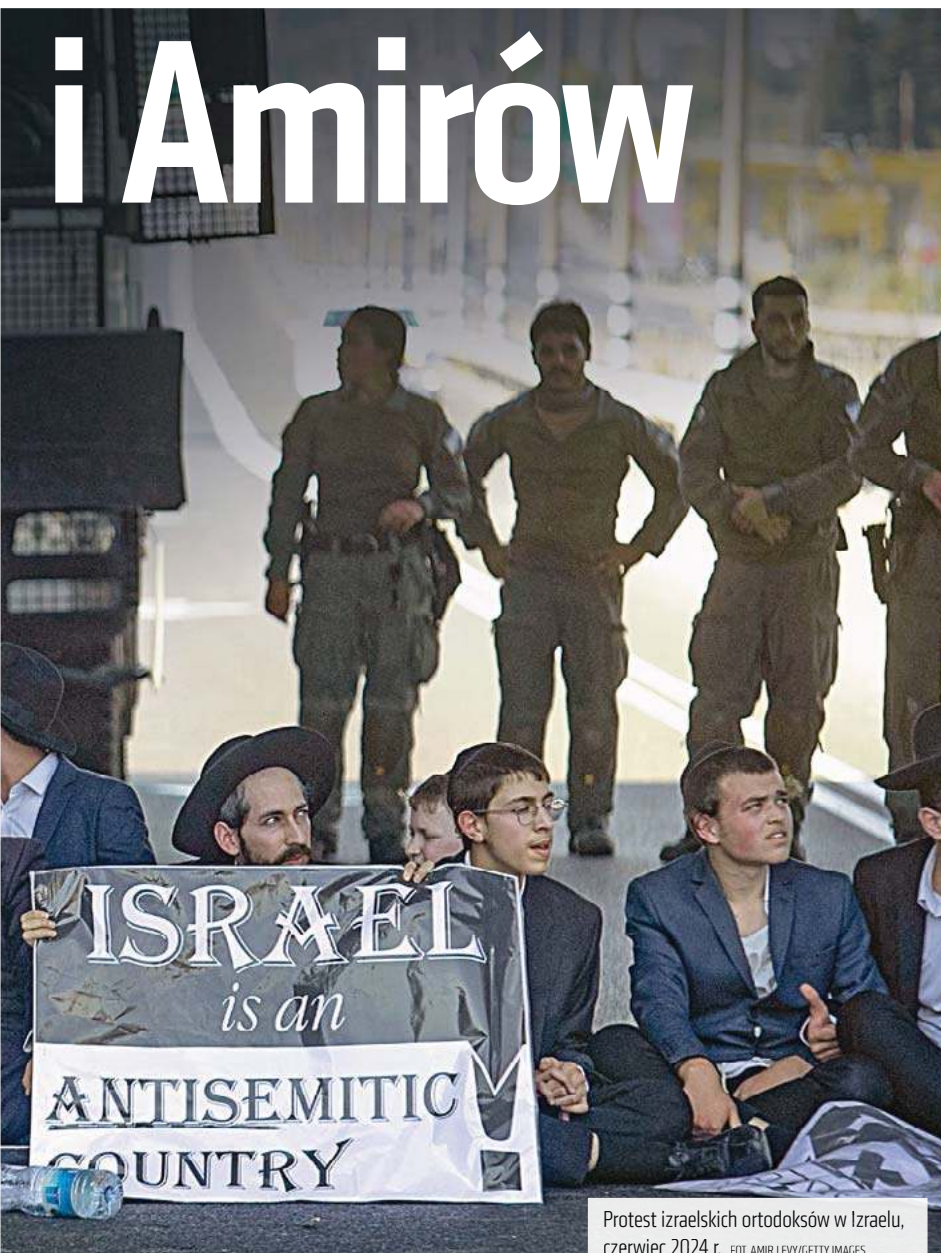
i zamordował 29 modlących się tam Palestyńczyków. W grudniu 1994 r. Rabin wraz z Arafatem oraz Szymonem Peresem odebrali Pokojową Nagrodę Nobla. Plan zamordowania go prawdopodobnie powstał już wtedy. 4 listopada 1995 r. wykonał go 25-letni Jigal Amir, który nigdy nie zdradził, kto go wspierał.

FUNDAMENTALISTYCZNA MENTALNOŚĆ

Baruch Goldstein został zlinczowany przez innych Palestyńczyków bezpośrednio po swojej zbrodni. Amira sąd skazał na

dożywocie i nigdy nie wyraził on skruchy, a obecnie stara się o przedterminowe zwolnienie. Ma na to coraz większe szanse, gdyż obecnie w rządzie izraelskim zasiada jego kolega Itamar Ben-Gewir, który wielokrotnie deklarował, że doprowadzi do uwolnienia zabójcy Rabina. Zresztą Ben-Gewir, dziś minister bezpieczeństwa narodowego, trzy tygodnie przed tym, jak kule wystrzelone przez Amira dosięgnęły ówczesnego premiera, deklarował, że „dorwiemy Rabina”. Był wówczas 19-letnim liderem młodzieżówki partii kahanistów, czyli zwolenników zabitego

i Amirów



Protest izraelskich ortodoksów w Izraelu, czerwiec 2024 r. FOT. AMIR LEVY/GETTY IMAGES

w 1990 r. Me'ira Kahane, który uznawał Arabów za zwierzęta i twierdził, że nie ma dla nich miejsca w wielkim Izraelu rozciągającym się co najmniej do rzeki Jordan. Goldstein, który przez kahanistów został uznany za męczennika, też należy do idoli Ben-Gewira.

Śmierć Rabina nie okazała się dla Izraela takim wstrząsem, który uświadomiłby Żydom konieczność eliminacji ekstremistów we własnych szeregach. Co prawda, kahanizm został zdelegalizowany po masakrze w Hebronie, ale rasistowska i fundamentalistyczna mentalność rozwi-

jała się niczym rak, a na scenie politycznej pojawił się człowiek, którego celem było zniweczenie wszystkiego tego, co osiągnął Rabin. Mowa oczywiście o Beniaminie „Bibim” Netanjahu, który po raz pierwszy do władzy doszedł w maju 1996 r., a zatem kilka miesięcy po zamordowaniu Rabina. Minimalnie wygrał on wówczas wybory z Szymonem Peresem, który razem z Arafatem i Rabinem dostał pokojowego Nobla.

BOSKA LEGITYMACJA?

Ruch syjonistyczny narodził się jako ideologia świecka i był częścią ogólnego

ożywienia nacjonalistycznego w Europie. Inicjator tego nurtu Theodor Herzl pochodził ze zlaicyzowanej rodziny niemieckich Żydów, a głównym motywem jego wizji stworzenia w Palestynie żydowskiego państwa narodowego były rozwijający się w Europie antysemityzm oraz jego przekonanie, że jest to jedyna droga dla Żydów, by zachować swoją godność i uniknąć prześladowań. Religia nie była fundamentem syjonizmu i nie miała odgrywać istotnej roli ustrojowej w Izraelu. Syjonizm nie był też ideologią rasistowską, a jeden z jego wczesnych przywódców, późniejszy pierwszy prezydent Izraela Chaim Weizman, przyjaźnił się z liderem powstania arabskiego w czasie pierwszej wojny światowej i późniejszym pierwszym królem Iraku Fajsałem I. Negatywny stosunek Arabów do idei państwa żydowskiego spowodował radykalizację również po stronie żydowskiej, ale pierwsi liderzy Izraela, tacy jak Dawid Ben Gurion czy Golda Meir, dalecy byli od powoływania się na boską legitymację do władania Palestyną. Ich główna konkurencja polityczna, czyli nurt rewizjonistyczny syjonizmu, kierowany przez byłego żołnierza armii gen. Andersa Menachema Begina, też nie miała charakteru religijnego. Ben Gurion nie darzył poważaniem ortodoksyjnych Żydów i nie zakładał, by mieli oni odgrywać ważną rolę w nowym państwie. Poszedł wobec nich wprawdzie na ustępstwa, m.in. zwalniając ich ze służby w armii, ale zrobił to m.in. dlatego, że uważał on ich za margines.

Lewicowi syjoniści wygrywali wybory do 1977 r., ale do końca XX w. pozostawali jedną z głównych sił politycznych Izraela, kilkakrotnie wracając do władzy. Partie religijne w pierwszych wyborach w 1949 r. zdobyły natomiast 12 proc. głosów, ale tylko część z nich stanowili religijni syjoniści. W kolejnych wyborach aż do 1984 r. poparcie dla nich utrzymywało się poniżej 15 proc., wliczając w to zarówno ortodoksów, jak i religijnych syjonistów. Różnica polega na tym, że tych pierwszych zasadniczo obchodzi tylko to, by Izrael był państwem wyznaniowym lub przynajmniej by ich społeczności nie obowiązywały prawa świeckie. Ci drudzy natomiast uważają, że Biblia rozstrzyga spory terytorialne i własnościowe między Żydami i Arabami na korzyść

tych pierwszych, więc żadne negocjacje pokojowe nie mogą wchodzić w grę, bo nie można kwestionować woli Boga. Niewiele się zatem takie podejście różni od poglądów dżihadystów, inna jest tylko „podstawa prawna”, czyli święta księga.

Stworzony przez Begin Likud też nie miał charakteru religijnego czy rasistowskiego, a sam jego lider pokazał, że jest w stanie iść z Arabami na kompromis w imię pokoju. To przecież on w 1979 r. podpisał historyczny pokój z Egiptem, zwracając swojemu sąsiadowi półwysep Synaj i likwidując założone tam nielegalne osiedla żydowskie. Pod koniec lat 80. nurt ultranacjonalistyczny i religijny syjonizm zaczęły stawać się jednak coraz silniejsze. Tymczasem sprowokowana w 2000 r. przez Ariela Szarona druga intifada stanowią gwóźdź do trumny Partii Pracy Rabina i Peresa, ostatecznie przesądając odrzucenie przez Izrael fundamentu procesu pokojowego, tj. rozwiązania dwupaństwowego opierającego się na pokojowej koegzystencji Izraela i Palestyny. Cała późniejsza strategia Netanjahu polegała na wzmacnianiu ekstremistycznego nurtu wśród Palestyńczyków po to, by pokazać światu, że są terrorystami niezdolnymi do stworzenia własnego państwa. W 2022 r. Partia Pracy z trudem przekroczyła próg wyborczy, a według obecnych sondaży może znaleźć się poza Knesetem. Natomiast religijni nacjonaliści zdobyli prawie 11 proc., a ultraortodoksi ponad 14 proc. Trzeba jednak jeszcze uwzględnić to, że pod przywództwem Netanjahu Likud stał się partią nacjonalistyczną i zdecydowanie negatywnie ustosunkowaną do jakiegokolwiek porozumienia z Palestyńczykami.

Można mieć wątpliwości, czy o takim Izraelu marzyli Theodor Herzog i Chaim Weizman. Problemem Izraela jest przy tym nie tyle religia, ile religijny fundamentalizm. Wybitny niemiecki socjolog pochodzenia syryjskiego Basam Tibi zdefiniował fundamentalizm jako „ideologię polityczną, która wyrasta z upolitycznienia religii i funkcjonuje w określonej sytuacji społecznej”. Dodawał, że z tej perspektywy religia to nie tylko wiara, ale przede wszystkim boski porządek regulujący wszystkie kwestie świata doczesnego, w szczególności sprawy polityczne i społeczne. Prowadzi to też do zjawiska określanego mianem „weaponizacji religii”, czyli wykorzystywania

Religijni syjoniści uważają, że istnienie Izraela legitymizowane jest nie przez rezolucje ONZ oraz uznanie ze strony społeczności międzynarodowej, lecz przez wolę boską

jej jako broni przeciwko wyznawcom innych religii, i wpisuje się w schemat zderzenia cywilizacji. W takim układzie to nie naród jest suwerenem, lecz Bóg, a polityczni liderzy mają być jedynie wykonawcami jego woli, której wszyscy, w tym wyznawcy innych religii, muszą się podporządkować.

POGRĄŻENI W FANATYZMIE

Religijni syjoniści uważają, że istnienie Izraela legitymizowane jest nie przez rezolucje ONZ oraz uznanie ze strony społeczności międzynarodowej, lecz przez wolę boską. Bóg wprowadził starożytnych Izraelitów pod wodzą Jozuego do Kanaanu, by stworzyli ogromne imperium, które według niektórych fantastycznych wizji miało rozciągać się od Nilu do Zatoki Perskiej. Nieważne, że ani archeologia, ani też żadne źródła nie religijne nie potwierdzają, by królestwo Dawida i Salomona było jakąś potęgą, a nie po prostu małym plemiennym organizmem, których w tym czasie było wiele. To, jak wyglądała mapa świata 3 tys. lat temu, nie powinno oczywiście mieć większego znaczenia z punktu widzenia dzisiejszego konfliktu izraelsko-palestyńskiego, ale niestety ma, bo dla religijnych syjonistów jest to kluczowy argument. Archeologia w Izraelu, podobnie jak religia, uległa weaponizacji i przestała być nauką, a stała się bronią. Fundamentalisci żydowscy wymachują więc Biblią, by uzasadnić swoje roszczenia terytorialne. W Księdze Rodzaju Bóg obiecał bowiem Abrahamowi tereny od Nilu do Eufratu i od Morza Śródziemnego do Morza Czerwonego. Kto ma prawo zakwestionować ten akt nadania?

Znów bez znaczenia jest to, że nawet jeśli Izrael zdobył tak rozległe tereny, to Żydzi nie mają demograficznego potencjału na ich skolonizowanie. Osadników to jednak nie interesuje, a to oni stanowią bazę poparcia religijnych syjonistów. Osiedla żydowskie na terenach okupowa-

nych, nielegalne z punktu widzenia prawa międzynarodowego, zaczęły powstawać na Synaju, w Strefie Gazy i na Zachodnim Brzegu niedługo po wojnie sześciodniowej 1967 r., gdy Izrael te tereny zajął. Jednakże osiedla na Synaju zostały zlikwidowane po zawarciu pokoju z Egiptem, a w Strefie Gazy w 2005 r., po decyzji Izraela o wycofaniu się stamtąd.

Osadnictwo zaczęli przy tym jeszcze lewicowi syjoniści z Partii Pracy, ale plany te miały początkowo bardziej uzasadnienie strategiczne, a nie religijne. W tym czasie bowiem świat arabski był wrogo nastawiony do państwa żydowskiego. Dziś większość państw arabskich nie zagraża jednak Izraelowi. Netanjahu nie jest Beginem, a dzisiejszy Izrael jest już zupełnie inny. Pograżony w fanatyzmie nie odda ani kawałka ziemi obiecanej Abrahamowi przez Boga, choćby w zamian za to miał otrzymać bezpieczeństwo i normalizację relacji z Arabami.

Problem jednak tkwi nie tylko w religijnych syjonistach i osadnikach, lecz także w systemowej dyskryminacji i cichym wspieraniu przemocy. Faktem jest, że można znaleźć w Izraelu miejsca, gdzie koegzystencja palestyńsko-żydowska jest harmonijna. Tak jest np. na kosmopolitycznym Uniwersytecie w Hajfie czy też w liberalnym Tel Awiwie, którego plaże i nocne kluby to dla fundamentalistów współczesna Sodom i Gomora. Tyle że są to stale kurczące się bańki, a czasem umiarkowani politycy stanowią tylko fasadę, za którą kryją się ekstremiści. Tak jest np. w Jerozolimie, gdzie burmistrz Mosze Lion jest otwarty na relacje z przedstawicielami innych religii, a jego zastępca Arie King napuszcza dziecięce bojówki na dyplomatów i biura ONZ.

Jerozolima, a właściwie jej stare miasto, jest zresztą przykładem bezwzględności żydowskiej ekspansji kosztem innych mieszkańców. Tuż po jej zajęciu w 1967 r. zniszczono znaczną część starego miasta pod pretekstem rekonstrukcji „dzielnicy

żydowskiej”, która nie ma charakteru historycznego, a jedynie ma sprawiać takie wrażenie, gdyż do jej budowy użyto materiału ze zniszczonych budynków. Ocenia się przy tym, że od podpisania porozumień w Oslo w 1993 r. do końca 2022 r. we Wschodniej Jerozolimie zniszczono 2787 budowli, wysiedlając w ten sposób 5093 osoby, przy czym 44 proc. tych budowli zniszczono w latach 2018–2022, a statystyki pokazują, że liczby te mają tendencję wzrostową. Jedną z metod ekspansji jest budowanie na dachach palestyńskich domów nielegalnych synagog. Skargi właścicieli są ignorowane przez władze i policję lub są oni po prostu zastraszani, a następnie zmuszani do sprzedaży swoich nieruchomości. Rozbiórki dotyczą również zabytkowych kościołów. Nieopodal Ściany Płaczu zachowały się ruiny kościoła Zakonu Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego, ale teren ten przejęła jesziwa Asz HaTorah. Kościół wprawdzie został uznany za zabytek, a jeszcze kilkanaście lat temu można było wejść na jego teren, ale obecnie jest on zamknięty, a właściciele czekają, aż się zawali dach, by mogli go legalnie rozebrać.

Istnieje też pewien specyficzny schemat resocjalizacji młodych przestępców czy chuliganów. Jeśli trafiają na „odpowiedniego” oficera, który zamiast pakować ich do więzienia postanowi „zrobić z nich prawdziwych mężczyzn”, to zostaną wysłani do jednego z osiedli żydowskich, gdzie szkolą ich, jak działać dla dobra państwa. Co prawda, znów wchodzić będą w kolizję z prawem i do niedawna byli za to od czasu do czasu zatrzymywani, ale mogli liczyć na wyrozumiałość izraelskiego wymiaru sprawiedliwości. W przeciwieństwie do Palestyńczyków, którzy za podobne czyny traktowani są jako terroryści i trafiają do więzienia bez wyroku na długie lata. Osadników na Zachodnim Brzegu czy we Wschodniej Jerozolimie obowiązuje bowiem normalne prawo, a do Palestyńczyków stosuje się reżim stanu wojennego.

Od 2022 r. jest jednak znacznie gorzej, gdyż zarządzanie Zachodnim Brzegiem wpadło w ręce Itamara Ben-Gewira i Becalela Smotricza, czyli liderów religijnych syjonistów. Obecnie bojówkarze osadników mogą być pewni, że włos im z głowy nie spadnie, nawet jeśli zabiją jakiegoś Palestyńczyka. Izraelski dziennik „Ha-

aretz” w sierpniu 2023 r. opisywał osiem przypadków zabójstw Palestyńczyków, przeważnie nastolatków, przez żydowskich osadników, w których nawet nie skierowano sprawy do sądu. W kwietniu 2024 r. media donosiły o serii ataków przeprowadzonych przez osadników po zaginięciu 14-letniego żydowskiego chłopca, którego martwe ciało zostało następnie odnalezione. W ciągu czterech dni zabito wówczas czterech Palestyńczyków, spalono kilka wiosek i niszczone mienie arabskie. Wszystko to działo się w obecności izraelskich żołnierzy, którzy nie reagowali. Nikt też nie został po tym aresztowany.

Ben-Gewir chce iść jednak dalej. Z bojówek osadników chce stworzyć armię Judei i Samarii (tak żydowscy fanatycy nazywają Zachodni Brzeg), która wyposażona zostałaby w nowoczesne uzbrojenie, w tym ciężki sprzęt, przez rząd Izraela. Religijni syjonści mieliby więc swój „Hezbollah”. Nawet jeśli zostaliby „zdradzeni” przez „mięczaków” z Tel Awiwu, to mieliby siłę, która zniweczyłaby jakikolwiek plan poko-

było łatwe, gdyż osadnicy to potężna siła. Ich liczbę ocenia się na 800 tys. w niespełna 10-milionowym Izraelu, w którym w dodatku tylko nieco ponad 7 mln to Żydzi. Ale fundamentalizm Izraela może doprowadzić go do destrukcji, gdyż spowoduje zerwanie cywilizacyjnych więzi z Zachodem, przy jednoczesnym podgrzaniu wrogości świata arabsko-muzułmańskiego. Wprowadzanie zasad państwa bezpieczeństwa oznaczać będzie odpływ liberalnych Żydów, którzy mają podwójne obywatelstwo lub łatwo je zdobędą. To jeszcze bardziej negatywnie wpłynie na demografię izraelską, w której i tak, dzięki wyższej dzietności, rośnie odsetek ultraortodoksów i fundamentalistów. Ci pierwsi nie chcą służyć w wojsku, bo uważają, że modlą się, więc robią dla bezpieczeństwa Izraela niż wojsko. Poza tym siedzą na zasiłkach, bo uważają, że się im należą. Ci drudzy najchętniej wyróżniliby wszystkich, którzy nie podporządkowują się woli Boga w kwestii Izraela.

Osadnicy to potężna siła. Ich liczbę ocenia się na 800 tys. w niespełna 10-milionowym Izraelu (w którym tylko nieco ponad 7 mln to Żydzi). Jednak fundamentalizm Izraela może doprowadzić go do destrukcji, bo spowoduje zerwanie cywilizacyjnych więzi z Zachodem

jowy. Celem tej armii byłoby wypędzenie wszystkich Palestyńczyków zarówno z Zachodniego Brzegu, jak i ze Strefy Gazy. Fundamentalisci również w tym przypadku sięgają po wątpliwe analogie ze starożytności, porównując liberałów z Tel Awiwu do Królestwa Izraela (północnego), a siebie do Królestwa Judy (południowego). To pierwsze miało odejść od judaistycznego monoteizmu i zostać ukarane zniszczeniem go przez podbój asyryjski i rozproszeniem „10 zaginionych plemion Izraela”. Co ciekawe, wielu osadników ma tak naprawdę pochodzenie arabskie. W XIX w. niektórzy Arabowie w imperium osmańskim przechodzili na judaizm, by uniknąć służby w armii sułtana. Podobno jedną z takich rodzin mieli być również przodkowie Ben-Gewira, którego rodzina do Izraela przybyła z Iraku.

Nie ma co się spodziewać, by zawrócenie Izraela z drogi fundamentalizmu

Badania statystyczne wykazywały tymczasem, że w 2022 r. na obszarze między Morzem Śródziemnym a rzeką Jordan żyło 7,45 mln Żydów, 7,53 mln Palestyńczyków oraz ok. pół miliona innych, co oznacza, że Żydzi stanowili tam wówczas 46 proc. i odsetek ten stale się zmniejsza. Przewiduje się, że do 2050 r. Palestyńczyków na tych terenach będzie dwa razy więcej niż Żydów. Odsetek ultraortodoksów ma natomiast wzrosnąć z 18 proc. żydowskich obywateli Izraela obecnie do 26 proc. w 2035 r. i jeśli dodamy do tego jeszcze religijnych syjonistów, to trend ten wydaje się destrukcyjny dla świeckiego Izraela. W jego miejsce powstanie wyznaniowe Królestwo Judy, wierzące, że pod wodzą armii Goldsteinów i Amirów pokona otaczający je ocean Arabów, tak jak biblijny Jozef skruszył mury Jerycha, by następnie wybić w pień jego mieszkańców.

Groźne oblicze mesjanizmu



Paweł Lisicki

Premier Izraela i trzech kluczowych polityków wspierających jego rząd są powiązani z wpływową wspólnotą chasydzką promującą idee mesjańskie oraz głoszącą skrajne poglądy rasowe



FOT. ULRICH BAUMGARTEN/GETTY IMAGES

Przeczliwa sytuacja: mimo krytyki i protestów, mimo wyroku Międzynarodowego Trybunału Karnego Izrael jakby nigdy nie konsekwentnie prowadzi politykę, która w przypadku każdego innego państwa skończyłaby się katastrofą i powszechną potęgą. Powód jest prosty. Tak długo, jak za Izraelem stoją murem Stany Zjednoczone i jak długo o tym, kto rządzi w Stanach Zjednoczonych, w znacznym stopniu decyduje zarówno sam Izrael, jak i jego amerykańscy sojusznicy – lobby organizacji żydowskich i potężne grupy prosyjonistycznych, ewangelikalnych chrześcijan – nic się nie zmieni. Mając za sobą Waszyngton (przypomnę, że Joe Biden publicznie nazywa siebie syjonistą, a Donald Trump w tej akurat sprawie niewiele się od obecnego prezydenta różni), Izrael może sobie oburzenie świata lekceważyć. Żeby to w pełni zrozumieć, trzeba dostrzec znaczenie coraz bardziej wpływowych, religijnych grup chasydzkich, tak w samym Izraelu, jak w USA oraz innych państwach.

Co ciekawe, takiej refleksji w Polsce brak. Trudno znaleźć analizy religijnych motywów postępowania premiera Izraela, Beniamina Netanjahu, i jego najbliższych współpracowników. Tymczasem tak sam Netanjahu, jak trzech kluczowych polityków wspierających jego rząd, Itamar Ben-Gewir (minister bezpieczeństwa państwowego), Becael Smotricz (minister finansów) oraz Beni Ganc (przewodniczący Knesetu), są powiązani z wpływową wspólnotą chasydzką Chabad-Lubawicz, która promuje idee mesjańskie oraz głosi skrajne poglądy rasowe. Podobnie to jego rząd wydaje ogromne sumy na Instytut Świątyni, wspólnotę religijną, która chce odbudować Trzecią Świątynię Żydowską na Wzgórzu Świątynnym.

W przypadku lewicy i liberałów ta niechęć do poznania zapewne wynika po prostu ze ślepoty: ogół tych pisarzy, komentatorów i publicystów najwyraźniej w świecie nie traktuje kwestii religijnych poważnie, chyba że chodzi o walkę z rzekomym polskim, katolickim fundamentalizmem. Jeśli chodzi o publicystów prawicowych, to często mają oni w podświadomości całkowicie sentymentalny obraz Żydów i widzą w nich cały czas niedosłone ofiary Holocaustu. Dodatkowym czynnikiem, który analizę motywów

działania żydowskich elit przywódczych utrudnia szczególnie polskim katolikom, jest dziedzictwo dialogu katolicko-żydowskiego.

REBBE NAMASZCZA NETANJAHU

Tym niemniej właśnie zbadanie ideologicznych czy też religijnych motywów działania premiera Izraela powinno mieć znaczenie pierwszoplanowe. Inaczej nie sposób zrozumieć ani bezwzględności, z którą rozprawia się z Arabami, ani stanowczości w realizacji projektu wielkiego Izraela, ani swego rodzaju kultu ziemi. Wydaje się, że nie da się zrozumieć jego postawy, odwołując się wyłącznie do przyczyn świeckich i doczesnych.

W tym kontekście warto przytoczyć fragmenty artykułu Adama Elijah Berkowitza z 2018 r., który zwraca uwagę na bliskie relacje obecnego premiera Izraela i nieżyjącego już (zmarł w 1994 r.) przywódcy sekty Chabad-Lubawicz, Menachema Mendela Schneersona. Nazywany za życia rebbe, przez wielu wyznawców Schneerson uważany jest nadal za Mesjasza. Czekać oni wytrwale na jego zmartwychwstanie, nawet teraz, po 30 latach.

Otóż według izraelskiego publicysty rabin Schneerson i przyszły premier Izraela spotkali się pierwszy raz w 1984 r., kiedy to Netanjahu był ambasadorem Izraela przy ONZ w USA. Zanim wrócił on w 1988 r. do kraju, gdzie wstąpił do Likudu, przywódca Chabad-Lubawicz miał mu powiedzieć, że w przyszłości „będzie się zmagał ze 119 ludźmi”, co uznano za prorocstwo dotyczące budowania koalicji w Knesecie. Jak twierdził bliski uczeń rabina Schneersona, rabin David Nachshon, lider Chabad-Lubawicz widział w Netanjahu tego, kto przybliży nadejście Mesjasza i światowe panowanie Izraela. Schneerson przepowiadał, że Netanjahu „przetrzyma próby, będzie dalej działał i będzie w stanie przekazać swoje klucze Mosjaszowi (Mesjaszowi, formułą Meszasz posługując się wyznawcy Chabad-Lubawicz), i będziemy mieć pełne i całkowite zbawienie”.

MOSJASZ BEN JÓZEF I JONATAN

Nie tylko przywódca Chabad-Lubawicz widział w Netanjahu tego, który otworzy drzwi dla Mesjasza. Podobne poglądy głosił inny ważny żydowski przywódca duchowy w Izraelu, rabin Izaak Kaduri (zmarł w 2006 r. w wieku 106 lat). W roz-

mowie z Netanjahu w 1997 r. (był on wtedy pierwszy raz premierem) rabin Kaduri twierdził, że po długich rządach Netanjahu nadejdzie Meszasz. Jeszcze inny rabin, Levi Sudri, uznał niedawno, że istnieje wiele podobieństw między obecnym premierem Izraela a biblijnym Jonatanem, synem pierwszego króla Izraela, Saula, który był bliskim przyjacielem późniejszego króla Dawida.

To tragiczna śmierć Jonatana otworzyła Dawidowi drogę do tronu Izraela. Według rabina Sudri Netanjahu wypełnia funkcję Mosjasza ben Józefa (Mesjasza z domu Józefa), po którym to nastąpi nadejście Mesjasza ben Dawida. Ten pierwszy ma cierpieć i walczyć, ten drugi przynieść powszechne panowanie Izraela. Zgodnie z tymi przekonaniami nadejście Mesjasza z domu Dawida przywróci władzę dynastii Dawida i spowoduje odbudowanie trzeciej świątyni – druga świątynia upadła ostatecznie w roku 70 po Chr., spalona przez żołnierzy Tytusa.

ROZMOWA PRZYSZŁEGO PREMIERA I RABINA

Nie są to wszystko jedynie rojenia fantastów lub niezbyt poważne opowieści marzycieli i dziwaków. Doskonale pokazuje to rozmowa między rabinem Schneersonem a Bibi Netanjahu z 18 listopada 1990 r. Wkrótce po niej ten drugi został pierwszy raz premierem Izraela. Oto jej kluczowy fragment:

Schneerson: *Błogosławieństwo i powodzenie. Podwójna porcja błogosławieństwa.*

Netanjahu: *Przyszędem, aby poprosić o twoje błogosławieństwo i twoją pomoc.*

Schneerson: *We wszystkich.*

Netanjahu: *We wszystkich sprawach – tak jeśli chodzi o kwestie osobiste, jak polityczne.*

Schneerson: *Od czasu, gdy spotkaliśmy się ostatni raz, wiele rzeczy poszło do przodu.*

Netanjahu: *Wiele rzeczy się rozwinęło.*

Schneerson: *Tym, co się jednak nie zmieniło, jest to, że Moszasz wciąż nie przyszedł; niech pan zrobi coś, aby przyspieszyć jego nadejście.*

Netanjahu: *Robimy, robimy.*

Schneerson: *Wyraźnie to nie wystarczy, gdyż do dziś minęło wiele godzin i wciąż go nie ma. Ale wciąż pozostało trochę godzin dnia, a więc jeszcze i dziś proszę próbować.*

Netanjahu: *Tak.*

Schneerson: *Dobra wieść – radość i szczęście. Pan wie, że chasydzi starają się uważać, by wszystko czynić z radością.*

Netanjahu: *Tak.*

Schneerson: *Radosna wieść. Wiele powodzenia.*

Trudno się dziwić temu błogosławieństwu, skoro rebbe wielokrotnie wykluczał oddanie w ramach negocjacji pokojowych nawet piędzi żydowskiej ziemi Palestyńczykom. Zmarły przywódca Chabad-Lubawicz twierdził, że Żydzi, by wypełniać całość praw, muszą dysponować całą ziemią, i to pozwoli odzyskać całość narodu. Podobne poglądy reprezentują inni rabinowie tej wspólnoty, np. rabin Jehuda Jarosławski, według którego rezygnacja z terytorium „stanowi zagrożenie dla życia Żydów”. O kompromisie „pokój za ziemię” nie ma zatem mowy. Podobnie jak, przyjmując optykę rabinów, nie może powstać żadne państwo palestyńskie, przynajmniej nie na ziemiach, które obecnie kontroluje rząd Izraela.

TRZECIA ŚWIĄTYNIA TO KLUCZ

Kto chce zatem zrozumieć obecną politykę Izraela, nie może pomijać właśnie znaczenia religijnych wpływów różnych mesjanistycznych sekt chasydzkich. Dopiero zrozumienie głównych idei – czy to Chabad-Lubawicz, czy Instytutu Trzeciej Świątyni, czy pozostałych wspólnot – pozwoli zrozumieć niezwykłą konsekwencję i bezwzględność działań rządu Izraela. Sama Chabad-Lubawicz powstała w XVIII w. na terenach dzisiejszej Ukrainy. Ma ona obecnie swoje centrum w Nowym Jorku i cieszy się poparciem kilkuset tysięcy sympatyków na całym świecie. Należy do niej ok. 5 tys. rodzin, dysponuje ok. 3,5 tys. ośrodkami w 100 krajach. Jednak nie liczba wyznawców jest najważniejsza, tylko bezpośredni wpływ na polityków. W Polsce do tej pory chyba najgłośniejszym przejawem jej działania była organizacja świąt Chanuki w Sejmie, co wywołało słynną akcję gaśniczą Grzegorza Brauna.

Trzy najważniejsze punkty jej doktryny to dążenie do przyspieszenia nadejścia Mesjasza/Mesjasza, odbudowa świątyni żydowskiej i ponowne zgromadzenie rozproszonego narodu żydowskiego oraz propagowanie praw noachickich dla nie-Żydów. Nie zawsze jest przy tym jasne, co jest moralnym postulatem, a co dającym się zrealizować celem. Podobnie nie zawsze da się określić, które z tych zdarzeń jest warunkiem którego. Czy dopiero Mesjasz odbuduje świątynię (została ostatecznie zburzona przez wojska rzymskiego wodza, Tytusa, w roku 70 po Chr.)? Czy

też, odwrotnie, odbudowanie świątyni i zgromadzenie rozproszonego Izraela skłoni Mesjasza do przyjścia? Związany z ruchem Chabad-Lubawicz rabin Cwi Freeman twierdził np., że „odbudowa Trzeciej Świątyni nie jest po prostu innym ogniwem prowadzącym do zgromadzenia wygnańców. Jest kluczem”. A zatem żeby zgromadzić w Izraelu wszystkich Żydów, wcześniej trzeba zbudować świątynię. To zaś musi oznaczać zajęcie terenów Wzgórza Świątynnego, zburzenie znajdujących się tam meczetów i ostateczną rozprawę z Palestyńczykami.

W OCZEKIWANIU NA KATASTROFĘ

Pewne jest, że mesjaniści żydowscy spodziewają się, iż tym wydarzeniom będą towarzyszyć wielkie cierpienia i katastrofy, co bynajmniej ich nie odstrasza. Oto co pisał na temat przyszłej wojny, poprzedzającej nadejście Mesjasza, Martin Buber, jeden z oficjalnych ojców dialogu chrześcijańsko-żydowskiego, w książce „Gog i Magog”: „Świat narodów popadł w pomieszanie i nie możemy chcieć, żeby

Nie-Żydzi są uważani przez nauczycieli Chabad-Lubawicz za nie całkiem ludzi, raczej za istoty pośrednie między Żydami a światem zwierzęcym. Tym bowiem, co odróżnia Żyda od nie-Żyda, jest zgodnie z ich doktryną... dusza

to się skończyło, bo dopiero gdy świat ogarną wstrząsy, zaczną się bóle porodowe Mesjasza [...]. [Ze względu na zbawienie] Bóg dopuszcza, by potęgi ziemskie coraz bardziej buntowały się przeciw niemu”. A więc okazuje się, że koniecznymi warunkami przyjścia Mesjasza mają być powszechna wojna i wielkie katastrofy.

Nie jest to nic zaskakującego, bo taka wizja ziemskiego władcy i wodza obecna jest w myśli Izraela już od epoki starożytnej. Może jedynie dziwić, że takie wyobrażenie żywił przedstawiciel bardziej liberalnego nurtu judaizmu. Skoro dziejowe

wstrząsy pozwolą przyjść Mesjaszowi, to nie należy ich powstrzymywać.

RELIGIA NOACHICKA

Według Chabad-Lubawicz przyspieszenie nadejścia Mesjasza ma zostać osiągnięte m.in. przez przestrzeganie przykazań (613 micwot), szerzenie „żydowskości” wśród Żydów oraz nakłanianie do przyjęcia praw noachickich przez nie-Żydów. Nie chodzi tu tylko o doktrynę moralną: zgodnie z naukami rabinów przyjęcie praw noachickich łączy się z uznaniem zwierzchności Izraela i religii żydowskiej. Siedem przykazań Noego zostało przedstawionych w Talmudzie i przez średniowiecznego nauczyciela żydowskiego, Mojżesza Majmonidesa. Oprócz powszechnych nakazów moralnych – jak zakaz zabijania czy obowiązek troski o życie wszystkich istot – mówią one o szacunku dla Boga i Jego imienia.

Pozornie przykazania noachickie mogą brzmieć niewinnie, choćby zakaz bałwochwalstwa czy bluźnierstwa, które są negatywną formą pierwszych dwóch przykazań. Wszystko zależy jednak od tego, jak się je rozumie. Otóż ważnym elementem nowej noachickiej religii, którą mają przyjąć poganie, goje (nie-Żydzi), jest odrzucenie chrześcijaństwa: wiarę w Tróję i wiarę w Chrystusa wyznawcy ortodoksyjnego judaizmu, a do jednej z jego odmian należy Chabad-Lubawicz, uznają za bałwochwalstwo. Podobnie bluźnierstwem jest w ich oczach nazywanie Chrystusa Synem Bożym i Osobą Boską. Ważną zasadą religii noachickiej, a więc swego rodzaju judaizmu dla pogan, jest zachowywanie ścisłej, rasowej czy narodowej separacji. Do przestrzegania praw Tory powołani są wyłącznie Żydzi, poganie mają pilnować siedmiu przykazań Noego i podporządkować się naukom rabinów.

GORSZA ODMIANA

Nie-Żydzi są zresztą uważani przez nauczycieli Chabad-Lubawicz za nie całkiem ludzi, raczej za istoty pośrednie między Żydami a światem zwierzęcym. Tym bowiem, co odróżnia Żyda od nie-Żyda, jest zgodnie z ich doktryną... dusza. Tylko dusze żydowskie mają w sobie szczególną iskrę boskości (lub iskrę Mesjasza), dzięki której mogą się jednoczyć z Bogiem. Nie-Żydzi takiej duszy nie posiadają. Nie-

k którzy nauczyciele twierdzą, że poganie mają duszę gorszą, słabszą, w wersji skrajnej po prostu złą, bo zostały uczynione z gorszej formy materii. Dzięki iskierce boskości, która jest w ich duszach, tylko Żydzi mogą przyspieszyć nadejście Mesjasza. Ogół rabinów ruchu twierdzi, że gdy przyjdzie Mosjasz, nie-Żydzi podporządkują się prawom Noego i dostrzegą, że „celem ich egzystencji jest służba Żydom”.

Wszystkie te tezy znajdują się expressis verbis w księdze Tanja, napisanej pod koniec XVIII w. przez rabina Szneur-Zalmana z Liad, założyciela ruchu Chabad. Wielu nazywa ją „Torą chasydów”. Tak komentował jej nauki rabin Schneerson: „Tak więc posłaniem Żyda w życiu jest dokonanie przemiany fizycznego świata w to, co duchowe i boskie. Nie-Żyd ma inny cel i zatem ci dwaj nie mają w sobie tej samej Boskiej iskry”. Z tego też powodu Żydzi nie prowadzą działalności misyjnej wśród nie-Żydów, rzadkie przypadki nawrócenia dotyczą tych, którzy – jak tłumaczą chasydzi – narodziли się z żydowską duszą.

Nie-Żydzi powinni zatem porzucić fałszywy kult Chrystusa i poddać się adoracji Izraela i narodu żydowskiego. Paganie są z urodzenia pozbawieni odpowiednich władz duchowych, mniej bystrzy i nie mogą osiągnąć zjednoczenia z Bogiem. Wielu byłych chrześcijan, co ciekawe, gotowych jest ten naturalny stan podległości dobrowolnie przyjąć. Jak wynika z książki Rachel Z. Feldman, która to pierwsza przez kilka lat badała powstające niczym grzyby po deszczu wspólnoty noachickie tak w USA, jak w Ameryce Południowej oraz na Filipinach, chrześcijan do noachizmu wiedzie najczęściej poszukiwanie żydowskich korzeni chrześcijaństwa: „Dzięki pomocy Internetu rabiniczni nauczyciele należący do religijnej prawicy w Izraelu stali się duchowymi przewodnikami dla byłych chrześcijan, którzy przyjęli wiarę noachicką i szukali pouczenia przez ortodoksów żydowskich i dostępu do studiów Tory”. Te powstające coraz liczniej wspólnoty są – zauważyła Feldman – politycznym zapleczem dla izraelskiej prawicy. To najbardziej gorliwi zwolennicy budowy potęgi Izraela i innych odmian syjonizmu.

Jak ogromne są wpływy zwolenników rabina Schneersona w USA, pokazują dwa fakty. Jeszcze w 1982 r. ówczesny prezydent Stanów Zjednoczonych Ronald

Wielu chasydów wierzy, że realizując swoje plany, doprowadzą do przyjscia Mosjasza/Mesjasza. Albo od razu pojawi się on na ziemi, albo jego przyjscie zostanie przyspieszone. Być może podobną wiarę żywi obecny premier Izraela

Reagan nie tylko komplementował rabina Schneersona jako wielkiego duchowego przywódcę, składając mu życzenia z okazji 80. urodzin, lecz także twierdził, że „siedem praw noachickich ma wieczne znaczenie i stanowi kodeks moralny dla nas wszystkich, niezależnie od naszej wiary religijnej”. Bardzo podobne tezy pojawiły się w deklaracji Kongresu USA w 1991 r. z okazji Dnia Edukacji. Według Kongresu USA to przykazania noachickie są podstawą, na której opiera się społeczeństwo na „nasz wielki naród”. Wielce to osobliwe twierdzenia, zważywszy na antychrześcijańskie ostrze praw noachickich w interpretacji wielu rabinów związanych z Chabad-Lubawicz.

ŚWIĄTYNIA ZAMIAST MECZETU?

O ile zatem politycznym zadaniem rządu Netanjahu może być pozbycie się Palestyńczyków i zbudowanie jednolitego państwa żydowskiego, o tyle celem nadrzędnym jest coś znacznie ważniejszego. Niemal 30 lat temu nieżyjący już rebbe Schneerson powiedział młodemu Netanjahu, że „on”, Benjamin Netanjahu, będzie tym izraelskim premierem, który przekaze berło Mesjaszowi. Wydaje się, że to te słowa mogą tłumaczyć postępowanie premiera. Spieszy się i działa radykalnie, bo czasu na nadejście Mesjasza zostaje coraz mniej.

Czy faktycznie ma w planach, jak go niektórzy podejrzewają, odbudowę w miejscu obecnego meczetu Omara, Kopuły na Skale, Trzeciej Świątyni Żydowskiej? Albo zastąpienia nią meczetu Al-Aksa? Sam Netanjahu, choć często odwołuje się do fraz biblijnych, usprawiedliwiając obecne działania antypalestyń-

skie, w kwestii odbudowy świątyni milczy. Pewne jest jedno: że to podczas jego rządów znaczenie grup domagających się takiej decyzji bardzo wzrosło. To one otrzymują od rządu znaczące wsparcie finansowe.

Rok temu propozycja przekazania prawa do zarządzania wzgórzem świątynnym, Al-Haram asz-Szarif, Izraelowi (formalnie ma nad nim pieczę Jordania) padła ze strony jednego z posłów Likudu. To, że jest to ze świeckiego punktu widzenia prosty przepis na Armagedon, żydowskim mesjanistom nie przeszkadza. Zburzenie meczetu, uważanego przez muzułmanów za trzecie najważniejsze miejsce islamu, po Mekce i Medynie, pociągałoby za sobą wybuch wojny na trudną do wyobrażenia skalę.

Wielu chasydów wierzy, że realizując swoje plany, doprowadzą do przyjscia Mosjasza/Mesjasza. Albo od razu pojawi się on na ziemi, albo jego przyjscie zostanie przyspieszone. Być może podobną wiarę żywi obecny premier Izraela. Być może politycznie wykorzystuje mesjańskie nadzieje. Jedno jest pewne: nigdy wcześniej, od chwili powstania Izraela w 1948 r., ich wyznawcy nie mieli równie wielkich wpływów na politykę państwa.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

W tekście odwołałem się do wielu analiz zamieszczonych na portalu Lifesitenews.com przez parę publicystów, którzy od dłuższego czasu piszą o związkach obecnego mesjanizmu, polityki Netanjahu i wojny z Palestyńczykami. To Mike Hickson i Paul Cahill. Poza tym korzystałem z ustaleń niemieckiego dziennikarza i publicysty Thorstena Schultego, z jego właśnie wydanej książki „Die grosse Täuschung” („Wielkie oszustwo”). Ma ona swoje wady i zalety. Wadą bywają przesadnie mocne sądy i łatwość formułowania opinii w dziedzinie religii biblijnej, co do której niemiecki autor wykazuje się ograniczoną wiedzą, zaletą rzetelne cytaty i śmiałość w ocenie współczesnej gry sił. Wreszcie ważnym źródłem zrozumienia ruchów żydowskiej prawicy religijnej jest książka żydowskiej badaczki, Rachel Z. Feldman „Messianic Zionism in the Digital Age: Jews, Noahides, and the Third Temple Imaginary” („Żydowski mesjanizm w wieku cyfrowym: Żydzi, noachidzi i wyobrażenia Trzeciej Świątyni”). Feldman przez lata przeprowadzała kilkadziesiąt wywiadów ze zwolennikami odbudowy Trzeciej Świątyni, tak rabinami, jak należącymi do tych środowisk zwykłymi wyznawcami, w tym z ortodoksyjnymi kobietami. Poza tym dotarła do religijnych przekonanych rosnącej w tempie geometrycznym grupy noachidów, np. na Filipinach, i opisała je.



Z dr. hab. Przemysławem Czarnek, posłem, byłym ministrem edukacji w rządzie PiS
rozmawia Karol Gac

Bez PiS nie ma i nie będzie w Polsce rządów prawicy

KAROL GAC: Jaka jest obecna kondycja Prawa i Sprawiedliwości?

DR HAB. PRZEMYSŁAW CZARNEK: W skali ocen szkolnych – czwórka z plusem. Gdybyśmy spojrzeli na PiS po 13 grudnia ubiegłego roku i gdyby ktoś nam na koniec roku powiedział, że wygramy wybory samorządowe, utrzymamy kilka sejmików, a w niektórych zwiększymy stan posiadania, jak w województwie lubelskim, oraz praktycznie zremisujemy wybory do PE, a nasz wyborczy wskaźnik procentowy będzie powyżej 36 proc., to byśmy wzięli to wtedy w ciemno. Wszyscy sądzili, że przegramy z kretesem. Niektóre sondaże na przełomie lutego i marca pokazywały wręcz, że mamy ok. 22 proc. poparcia. W związku z tym nasze wyniki należy uznać za bardzo dobre lub przynajmniej dobre z plusem. Czy mogły być lepsze? Pewnie mogły, zawsze przytrafiają się jakieś błędy.

Część komentatorów wskazuje, że PiS po wyborach parlamentarnych, w których oddał władzę, nie dokonał żadnej refleksji i bilansu, nie rozliczył się z błędów oraz nie przeprosił za nie swoich wyborców. Co pan na to?

Zna pan wyniki I tury przedterminowych wyborów we Francji, prawda? Wygrała je Marine Le Pen, a o jej przewadze informowały wszystkie media, wskazując na jej ogromny sukces. Ile miała procent? 33,2 proc. Czy ona wyszła i przeproszała swoich wyborców? My za to mieliśmy 35,2 proc. w wyborach parlamentarnych, nieco ponad 34 proc. w wyborach samorządowych, co było naszym najlepszym wynikiem w wyborach samorządowych, oraz 36,13 proc. w wyborach do PE. To nie jest więc kwestia przeproszenia wyborców, ale podziękowania im. Za to, że pomimo ośmiu lat rządów, wielu ataków, a także błędów, zwłaszcza w drugiej kadencji, pozostali przy nas. Oczywiście w 2019 r. było

ich więcej, a część z nich odpłynęła w różnych kierunkach, co zapewne jest efektem naszych błędów. Daję słowo jednak, że wbrew temu, co pisze wielu komentatorów i politologów, PiS dokonał wielu analiz dotyczących wyborów październikowych, wyciągnął wnioski i kontynuuje swój marsz. Jesteśmy ugrupowaniem, które wygrało wybory parlamentarne, samorządowe i praktycznie zremisowało wybory do PE. Oczywiście, że jest refleksja, bo musimy wrócić do poparcia powyżej 40 proc. i rządu.

Jakie wnioski wyciągnęło kierownictwo? Co spowodowało, że musieliście oddać władzę?

Po pierwsze, brak właściwej komunikacji przed orzeczeniem Trybunału Konstytucyjnego i po nim w sprawie aborcji. W przeciwieństwie do części kolegów z PiS twierdząc, że problem nie leżał w samym orzeczeniu, bo świetnie, że ono zapadło, bo dzięki temu ratujemy 1 tys. istnień ludzkich rocznie, ale w błędnej komunikacji i poddaniu się tej chamskiej, wulgarnej retoryce tzw. strajku niektórych kobiet. Tutaj straciliśmy ok. 10 proc. wśród kobiet i choć odzyskaliśmy połowę, to połowy już nie, co przełożyło się na kilka procent poparcia. Po drugie, kwestia zużycia się władzy. Wiosną 2023 r. był sondaż, z którego wynikało, że 80 proc. ludzi żyje się dobrze lub bardzo dobrze, ale jednocześnie 70 proc. oceniało, że musi nastąpić zmiany. Politycy zużywają się medialnie, ale zużywają się także poprzez błędy. Popełniliśmy błędy polityczne, personalne, podczas pandemii czy wreszcie tzw. tłuste koty, których z biegiem lat było coraz więcej i które nie miały umiaru. To wszystko społeczeństwo widziało.

Coś jeszcze?

Kolejna kwestia to już sama kampania wyborcza. O ile trzeba było postawić na tzw. kampanię negatywną i pokazywać prawdziwe oblicze Donalda Tuska, które dzisiaj się sprawdza, o tyle można było na ostatniej prostej zmienić bieg i pójść w nasz program. Liczył on 300 stron, a właściwie nikt o nim nie wiedział. Ilu wyborców wiedziało, że chcieliśmy np., aby młodzi ludzie mieli za darmo kursy na prawo jazdy w szkołach? To na pewno by się spodobało, ale Polacy o tym nie wiedzieli. To był błąd naszej kampanii. Do tego kłamiwa narracja, choćby w sprawie

tzw. afery wizowej. Zbyt późno zareagowaliśmy, bo uznaliśmy to za absurd. Chodziło o kilkaset wiz i siedem osób, które były już dawno zatrzymane. Dopiero po jakimś czasie zorientowaliśmy się, że ten absurd ma swój jasny cel, tzn. całkowicie stępia ostrze naszej prawdziwej narracji o zagrożeniu nielegalną migracją z krajów afrykańskich i arabskich. To też nam zabrało kilka punktów procentowych. Mówienie więc, że nie ma refleksji w PiS i jest tylko triumfalizm, jak słyszę wśród komentatorów, jest niezgodne z prawdą. My się po prostu nie chwalimy naszymi analizami, tylko je wdramy. Dlatego nie zesłaliśmy

Jak w takim razie patrzy na diagnozę J.K. Ardanowskiego? Wprost powiedział, że PiS w tym kształcie się skończył i nie ma realnych szans na powrót do władzy.

W żadnym wypadku, przy całej mojej sympatii dla Krzysztofa, nie podzielam tej – powiedzmy szczerze – frustracji. Drodzy państwo, jeśli ktoś zakładając swój ruch, do końca jeszcze nie wiadomo, z kim i jak, twierdzi, że skończył się PiS, który w sondażach ma 33–34 proc. poparcia, to nie czyta rzeczywistości. Nikt z nas nie twierdzi, że PiS na pewno wróci do samodzielnej władzy. Samodzielne rządy w Europie przecież się

PiS to nie jest partyjka kanapowa, ale to ogromna partia, która ma wysokie poparcie. Tu zawsze będą tarcia, bo tak jest w wielkich partiach politycznych

w sondażach do 20 proc., ale utrzymujemy je na stabilnym poziomie. Możemy śmiało patrzeć w przyszłość i przygotowywać się na wybory prezydenckie.

Rysuje pan dosyć pozytywną ocenę kondycji Prawa i Sprawiedliwości, ale nie można nie zauważyć problemów, które ma obecnie pana partia. Zacznijmy od Jana Krzysztofa Ardanowskiego, który postanowił budować nowy ruch polityczny.

Jan Krzysztof Ardanowski jest moim przyjacielem i żałuję, że zamierza odejść z PiS. Uważam, że to nasz wybitny ekspert do spraw polityki rolnej, a jednocześnie człowiek, który świetnie trafia do wiejskiego elektoratu, czyli naszego trzonu, który niestety w części przestał na nas głosować. Ardanowski wielokrotnie mówił mi, że chciałby inaczej prowadzić dialog z wsią, a nie daje mu się tego robić w PiS. Zawsze prosiłem go o cierpliwość, bo PiS to nie jest partyjka kanapowa, ale to ogromna partia, która ma wysokie poparcie. Tu zawsze będą tarcia, bo tak jest w wielkich partiach politycznych. Szkoda, że tej cierpliwości nie wykazał. Teraz twierdzi, że chce zagospodarować elektorat, który straciliśmy w 2019 r. Gdyby tak mu się udało, to byłby to ruch w bardzo dobrym kierunku, ale nie wiem, czy uda mu się to zrobić. Na pewno przed nim jest długa, trudna i kręta droga. Dlatego twierdzę, że popełnia błąd, że od nas odchodzi.

praktycznie nie zdarzają. Na pewno będziemy dążyć do tego, by zwiększyć nasze poparcie do poziomu powyżej 40 proc., i jest na to szansa, co nie oznacza, że nie będziemy potrzebowali koalicjantów. Być może J.K. Ardanowski stworzy taką partię koalicyjną. Oczywiście można mieć wizję dotarcia do tego elektoratu, który na nas nie głosuje, ale ta wizja, połączona z mało eleganckimi wypowiedziami pod naszym adresem, średnio się spina. Tu bym przestrzegał posła Ardanowskiego przed frustracją.

Podobną diagnozę dotyczącą PiS miał wybitny historyk prof. Andrzej Nowak.

Wielu ludzi ją ma, ale PiS to wielka łódź, której nie da się zahamować w miejscu czy skrócić w ciągu krótkiego czasu. To nie jest „motorówka” na 3–4 proc. poparcia, ale to wielki „okręt”, który rządził Polską przez 10 lat, dał Polsce dwóch prezydentów oraz cały czas utrzymuje poparcie na poziomie jednej trzeciej społeczeństwa. Tego nie da się zatrzymać i zmienić kursu w taki sposób, którego oczekiwał wybitny historyk prof. Andrzej Nowak, i nie da się z tą partią zrobić takich rzeczy, których oczekiwał J.K. Ardanowski. Taką samą prawdą jest także to, że bez PiS nie ma i nie będzie w Polsce rządów prawicy.

Przejdźmy zatem do wyborów do Parlamentu Europejskiego. PiS przegrał je o niecały punkt procentowy. Bardzo często można było usłyszeć, że wyborcy pokazali wam żółtą kartkę, bo wasz wierny elektorat, czyli południowo-wschodnia Polska, został w domach, a jeśli już Polacy poszli do urn, to w wielu miejscach odrzucili liderów na rzecz polityków z dalszych miejsc. Co pan na to?

Rozbijam w pył te mało poważne argumenty. Po pierwsze, zarówno Podkarpacie, jak i Lubelszczyzna nie zamykały listy, jeśli chodzi o frekwencję. Mniejszą frekwencję odnotowano m.in. w województwach świętokrzyskim, opolskim, lubuskim, warmińsko-mazurskim, kujawsko-pomorskim i podlaskim. Dlaczego mówi się zatem o Lubelszczyźnie i Podkarpaciu? Tylko dlatego, że komuś się wydawało, że ci wyborcy nie poszli na głosowanie. Otóż poszli, tak jak zawsze chodzą i chodzili. Po drugie, pamięta pan choćby wybory z 2010 r., gdy do PE dostał się Tadeusz Cymański? Startował, zdaje się, z piątego miejsca, wydał 500 zł na kampanię i prześcignął jedynkę, która była wskazana przez prezesa PiS. To nie pierwsza tego typu sytuacja, że wchodzi ludzie z dalszych miejsc. Wreszcie po trzecie, to czy ci ludzie z dalszych miejsc startowali z innych list czy z PiS? To były tzw. listy śmierci, gdzie rzeczywiście konkurencja była ogromna. Pomimo niskiej frekwencji PiS odnotował 36 proc. Pewnie, że gdyby te dwie-trzy jedynki były silniejsze, zdobylibyśmy więcej o 95 tys. głosów, bo o tyle przegraliśmy w skali kraju. Ale całość należy jednak ocenić wyłącznie pozytywnie. Nie ma zatem żadnej żółtej kartki, ale jest raczej wdzięczność wyborców. Zostali przy nas pomimo ogromnego bombardowania ze strony koalicji 13 grudnia. Mamy kolejny etap ewolucyjnego przemeblowywania PiS, które trwa od 16 października. PiS w wyborach do PE zdobył 36 proc., a Konfederacja, czyli partia, którą lubię i szanuję, zdobyła 12 proc. Dlaczego w wyborach parlamentarnych zdobyli tylko nieco powyżej 7,5 proc.? Mielibyśmy zupełnie inną sytuację w kraju, a nie Tuska, który niszczy Polskę. Czy to więc winą tylko PiS? Wydaje mi się, że cała prawa strona powinna wyciągnąć wnioski, i cieszę się, że Konfederacja to zrobiła. Wynik procentowy pokazuje, że partie prawicowe zyskały, a partie 13 grudnia straciły. I w ten trend trzeba iść, bo wówczas będzie szansa na wygranie wyborów prezydenckich. Jeśli

zaś chodzi o zmianę generacyjną, to w PiS mamy mnóstwo młodych twarzy i ludzi, którzy mają 30–50 lat. Być może niektórzy powinni się też znaleźć w ścisłym kierownictwie partii. Nie do mnie jednak należą te decyzje.

Zatrzymajmy się na chwilę przy wyborach samorządowych i tym, co wydarzyło się na Podlasiu i w Małopolsce. O ile w pierwszym wypadku była to wpadka, ale takie rzeczy się zdarzają, o tyle w drugim sytuacja zdezorientowała chyba wszystkich. PiS, który miał samodzielną większość, nie był w stanie wybrać przez długi czas marszałka, bo był wewnętrznie skłócony. Trudno o gorsze świadectwo.

Jeśli chodzi o Podlasie, to ono w założeniach przedwyborczych było oceniane jako „niepewne”. Wybory i tak się ułożyły dobrze, ale zdrada dwóch osób spowodowała to, co się zdarzyło. To się w polityce zdarza, a już zwłaszcza jeśli ktoś inny ma władzę centralną. To oczywiście brak lojalności i kręgosłupa tych radnych, ale to inny temat. Podlasie rzeczywiście było bolesne, bo sprawa

Oddanie pełnej władzy koalicji 13 grudnia byłoby katastrofalne w skutkach. Mielibyśmy problem na długie dziesięciolecia

praktycznie była domknięta. Małopolska natomiast była spektaklem słabym. To kompletnie bezsensowna bitwa. Złazcza w sytuacji, w której wygraliśmy w wielkim regionie. Kłótnia wyglądała niekiedy żenująco i nie przysparzała nam poparcia, i nie powinno to mieć miejsca. Myślę, że niektórzy nie zrozumieli, iż to, że zostali radnymi, nie wynika z ich cudownych kompetencji, ale z tego, że startowali z list PiS. To pierwszy stopień, by wyskoczyć z partii, bo ona nie potrzebuje ludzi, którzy przedkładają się ponad partię. Nie da się grać wtedy drużynowo. Dlatego tym większe gratulacje dla prezesa Kaczyńskiego i pośła Łukasza Kmity za całokształt i zwłaszcza za ostateczne trudne decyzje, które pomimo nielojalności kilku radnych uratowały rządy PiS w Małopolsce. Brawo!

Spójrzmy zatem w przyszłość. Jakie cechy powinien mieć polityk, by zostać kandydatem PiS na prezydenta?

Bez wątpienia musi to być polityk, który wygra drugą turę, i to jest podstawowy warunek. Od tego zaczęliśmy nasze poszukiwania. To być albo nie być, ale nie PiS, lecz niepodległej i suwerennej Polski. Oddanie pełnej władzy koalicji 13 grudnia byłoby katastrofalne w skutkach. Mielibyśmy problem na długie dziesięciolecia. W związku z tym nasz kandydat musi wygrać w II turze. Kto jest w stanie to zrobić? Ktoś, kto zmobilizuje nasz elektorat, czyli ok. 35 proc. To ogromny potencjał, by wygrać wybory. Ponadto musi to być kandydat, który nie będzie kontestowany przez partie na prawo od nas, i to nie tylko przez Konfederację, lecz także mniejsze ugrupowania mające 0,5–1 proc. poparcia, ponieważ walka będzie szła o kilkaset tysięcy głosów. Jeśli będzie to kandydat, który przejdzie do II tury, ale będzie kontestowany przez znaczną część wyborców Konfederacji, to zabraknie mu tych punktów. Poza tym musi to być kandydat, który będzie w stanie zachęcić chociaż część środka, ale nie światopoglądowego, bo ten jest i w PiS, lecz tego, który będzie się wahał, czy też zagłosować na naszego kandydata. Jest kilka nazwisk, które pojawiają się w mediach. Wokół nich trwają dyskusje i badania socjologiczne.

Wśród tych nazwisk jest pana nazwisko? Nie ma co ukrywać, że wzbudza pan entuzjazm u dużej części wyborców PiS, a wielokrotnie wypowiadał się pan ciepło o Konfederacji.

Muszą być jednak trzy punkty. Każdy, kto zostanie wskazany na podstawie badań, powinien tę pałeczkę podnieść i stanąć do wyścigu. Nie sądzę, żebym to był ja. Są dużo lepsze propozycje w tym względzie. Jednocześnie bardzo cieszą mnie te głosy, o których pan wspominał, bo to dla mnie wielka nobilitacja. To świadczy o tym, że dużej części społeczeństwa podobają się moje poglądy i sposób ich wyrażania oraz konsekwencja w dążeniu do celu pomimo rozmaitych przeszkód i kłód rzucanych przez drugą stronę. Nie sądzę jednak, by mój profil polityczny był tym, którego poszukują eksperci wskazani przez kierownictwo PiS.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Codziennie
21:45

w Telewizji Republika



Akcja usuwania ambasadorów mianowanych w okresie rządów PiS wkracza w decydującą fazę. Około 50 szefów polskich placówek dyplomatycznych bez podania jakiegokolwiek powodu ani wykazania jakichkolwiek zaniedbań odwoływanych jest ze swych stanowisk, w wielu wypadkach z używanym upokarzającym praktyk.

W większości nie chcą rozmawiać na temat tego, co się z nimi obecnie dzieje. W niczym nie przypominają rozkrzyczanych przeciwników PiS, którzy w latach 2015–2023 przy każdej dymisji chętnie i szeroko opowiadali o swoich krzywdach „Gazecie Wyborczej” czy „Newsweekowi”. W wypadku dyplomatów mianowanych w okresie dobrej zmiany widać bardzo poważne traktowanie obowiązku reprezentowania państwa i oszczędności w wypowiedziach, która powinna cechować pracowników służby zagranicznej. Jeśli już decydują się mówić, to anonimowo (ich tożsamości ukryliśmy w artykule pod literami greckiego alfabetu). Uznałem, że to, co mają do opowiedzenia, musi być zarejestrowane jako jeszcze jedno oblicze obecnej atmosfery politycznej.

W PRÓŻNI

Nowa ekipa w gmachu przy al. Szucha od początku próbowała sugerować, że zastani nominaci na stanowiska ambasadorskie to osoby nieznające języków i niemające wiedzy na temat świata. Na początku roku w kontrolowanym przecieku do mediów pojawiały się informacje o tym, kto będzie odwołany w pierwszej kolejności. Onet wymienił wówczas ambasadorów: Marka Magierowskiego (USA), Piotra Wilczka (Wielka Brytania), ambasadora przy NATO Tomasza Szatkowskiego, Jarosława Guzega (Ukraina), Dariusza Pawłosa (Niemcy), Jana Rościszewskiego (Francja), Annę Anders (Włochy), Mateusza Gniazdowskiego (Republika Czeska), Sebastiana Kęcieka (Węgry), Piotra Skwicińskiego (Armenia), Mariusza Maszkiewicza (Gruzja), Krzysztofa Olendzkiego (Słowenia), Konstantego Radziwiłła (Litwa) i Arkadego Rzegockiego (Irlandia).

Onet okraślił tekst krótkim komentarzem analityka spraw międzynarodowych Witolda Jurasza, który zwrócił uwagę, że na liście są m.in. dyplomaci, którzy co prawda do MSZ trafili za rządów PiS, ale okazali się znakomitymi fachowcami. Wymienił

w tym kontekście Marka Magierowskiego, Dariusza Pawłosa, Piotra Skwicińskiego i Piotra Wilczka. Analityk Onetu zwrócił uwagę, że szczególnie zakończenie misji Skwicińskiego jest szokujące. Jurasz wskazywał: „Odwołanie (Skwicińskiego) jest czystej wody zemstą polityczną, tym bardziej nieostrożną, że zasadą w porządkach dyplomacji jest, iż osób wydalanych z wrogich krajów, a wysyłanych następnie do innego państwa nie odwołuje się. Również po to, by wysłać sygnał wrogiemu państwu, które naszego dyplomata zmusiło do przedwczesnego wyjazdu”. Analityk Onetu nawiązał w ten sposób do tego, że Skwiciński został w 2022 r. wydany z Rosji, gdzie pełnił funkcję szefa Ośrodka Kultury Polskiej w Moskwie.

Jak demonstracja wrogości wpłynęła na sytuację ambasadorów z „czarnej listy”?

nam MSZ a formalnym podleganiem prezydentowi Andrzejowi Dudzie, który zapowiedział, że nie zaakceptuje naszych dymisji. Już w lutym br. Donald Tusk zapowiedział, że w przypadku braku zgody prezydenta ambasadorzy będą odwoływani do kraju, a ich rolę »do czasu zmiany stanowiska prezydenta lub zmiany prezydenta« będą pełnić charge d'affaires. Mogliśmy więc tylko czekać na wezwanie do kraju. Ale i ono często nie następowało miesiącami. W moim wypadku Radosław Sikorski w trakcie wizyty w państwie, w którym pełniłem swoją misję, zawiadomił nawet gospodarzy, że mimo umieszczenia mnie na liście osób do zwolnienia zostaną utrzymać. Po dwóch miesiącach okazało się jednak, że ta obietnica nic nie znaczy. Wyglądać by to mogło na jakąś okrutną zabawę, ale w mojej opinii było

Równy z trawą



Piotr Semka

Żadna władza na świecie nie przeprowadziła w tak krótkim czasie takiej ilustracji w służbach dyplomatycznych co obecny rząd Donalda Tuska

Mówi Ambasador Alfa: „Cała perfidia sytuacji polegała na tym, że w pierw ogłoszono zamiar usunięcia 50 »nowych« ambasadorów, ale bynajmniej nie spieszono się z poleceniami powrotu do kraju. Całkowicie demolowało to zarówno wewnętrzną aktywność placówki, jak i kwestie, które ambasador negocjował z władzami państwa, w którym był akredytowany. Akurat w mojej ambasadzie wszyscy podwładni zachowywali się bardzo w porządku. Ale bywały placówki, w których głowę natychmiast podnieśli niezdarczający wcześniej swych sympatii politycznych dyplomaci niższej rangi, którzy uznali, że swoją nową pozycję muszą już zdobywać poprzez demonstracyjne lekceważenie zwierzchnika”.

Ambasador Beta: „Wszyscy mieliśmy świadomość, że znajdziemy się w klinchu między bezpośrednią władzą wrogiego

raczej dowodem na siłę lobby zemsty, którą stworzyło grono starych dyplomatów mających dostęp do ucha Donalda Tuska. To oni potrafili przeforsować odwołanie, nawet mimo zapewnień Radosława Sikorskiego, że dany ambasador zostaje”.

Głowa polskiego państwa początkowo dość naiwnie była przekonana, że uda się jej wynegocjować jakiś gentleman's agreement ze stroną rządową w sprawie ograniczenia skali czystki. W kulisach mówiło się, że prezydent chce otoczyć swoim parasolem swoich byłych pracowników z kancelarii prezydenckiej. Mieli to być: Adam Kwiatkowski (Stolica Apostolska), Krzysztof Szczerski (ambasador przy ONZ), były szef BBN Paweł Soloch (Rumunia) i były szef Biura Polityki Międzynarodowej Jakub Kumoch (Chiny). Nic z tego nie zostało zaakceptowane przez

Tuska. Prezydent może więc tylko odmawiać formalnego odwołania ambasadora, ale to już wszystko. Donald Tusk, komentując niezgodę prezydenta, cynicznie rozłożył ręce: „Jeśli takie rozwiązanie satysfakcjonuje pana prezydenta, to trudno”.

Ostatnio głowa polskiego państwa została znowu upokorzona akcją Tuska przeciwko dotychczasowemu ambasadorowi RP przy NATO Tomaszowi Szatkowskiemu. Aby uniemożliwić mu udział w lipcowym szczycie NATO w Waszyngtonie, sponzorowano postępowanie ABW w sprawach rzekomych wątpliwości odnośnie do jego postawy wobec Rosji i uzyskano w ten sposób sytuację, w której stracił on dostęp do tajemnic NATO. Dyplomaci nowego MSZ, cytowani przez media usłużne wobec nowej władzy, mówili, że nawet jeżeli prezydent wyzbyłby Szatkowskiego ze sobą na szczyt NATO, to „musiałby on pozostać przed drzwiami” z racji posiadania odpowiednich klauzul dostępu do tajemnic sojuszu.

WIELE LAT PRACY NA MARNE

Mechaniczne odsiewanie nominatów z epoki rządów PiS dotyka 90 proc. ludzi, którzy nie byli nigdy politykami Prawa i Sprawiedliwości. Dobrym przykładem jest postać ambasadora Mateusza Gniazdowskiego z Pragi, który niedawno został zmuszony do rozpoczęcia procesu powrotu do kraju. Gniazdowski (rocznik 1974) ukończył z wyróżnieniem studia w Instytucie Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego w 2000 r. Odbił studia doktoranckie w Instytucie Nauk Politycznych w Słowackiej Akademii Nauk i obronił pracę doktorską na Uniwersytecie Komeńskiego w Bratysławie. W latach 2004–2010 pracował w polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych, a następnie przeszedł do Ośrodka Studiów Wschodnich, gdzie doszedł do funkcji wicedyrektora.

Każdy badacz polityki czeskiej i słowackiej zna jego liczne prace naukowe na temat życia politycznego w krajach naszych południowych sąsiadów. Wielu czeskich komentatorów podkreślało, że bardzo wzmocnił on pozycję Polski nad Węłtawą. A jednak te zasługi nie zmieniły rozkazu z MSZ powrotu do Warszawy. Dobrym przykładem karania wyłącznie za to, że zostało się powoływany na placówkę w okresie rządów PiS, jest Arkady Rzegocki. Człowiek, który doktoryzował się na

Uniwersytecie Jagiellońskim, a następnie habilitował się tamże i przez 14 lat pracował na UJ. Inny przypadek odwoływanego ambasadora to Maciej Ruczaj, obecny szef placówki w słowackiej Bratysławie, który był bardzo wysoko ceniony przez czeskich partnerów jako wieloletni szef Ośrodka Kultury Polskiej w Pradze.

Ale oprócz samego odwoływania dochodzą też informacje o bardzo demonstracyjnych szykanach. Ofiarami ich padła ambasador Anna Anders, którą – jak twierdzi – z dnia na dzień wyrzucono na ulicę i która – jak wyjawiała – gdyby nie pomoc jej włoskich przyjaciół, nie miałaby nawet gdzie mieszkać w okresie przeznaczonym na likwidowanie spraw związanych z zajmowaną funkcją.

Osobnym przypadkiem jest Jarosław Guzy. Kolejny ambasador na liście do odwoływania, którego żona – Agnieszka Romaszewska – nie tylko została usunięta z funkcji szefa stacji Bielsat, lecz także wobec której władze TVP złożyły wniosek do prokuratury o podejrzenie możliwości „niedopełnienia obowiązków i przekroczenia uprawnień przez osoby pełniące funkcje kierownicze, które jej podlegały”.

Ambasador Gamma mówi: „Przedstawielię MSZ kraju, w którym pełniłem swoją misję, reagowali na informację o masowej czystce 50 polskich ambasadorów niedowierzaniem lub głębokim zdumieniem. Nikt, żadna władza na świecie, nie przeprowadził takiej lustracji w ciągu dosłownie pół roku. Zdewastuje to relacje Polski z tymi 50 państwami przynajmniej na pół roku. Nowi przybysze, którzy przyjadą na nasze miejsce, będą musieli od nowa nawiązywać kontakty i próbować zrozumieć niekiedy bardzo skomplikowane problemy w naszych relacjach z partnerami. Na dodatek byli ambasadorzy są na bieżąco obsmarowywani w tekstach mediów sprzyjających Donaldowi Tuskowi, bez najmniejszej refleksji suflują rozmaite czarne legendy na temat rzekomych PiS-owskich szkodników na placówkach zagranicznych”.

Ambasador Delta mówi: „Mało co tak mną wstrząsnęło jak całkowicie zmyślona opowieść opublikowana na łamach »Gazety Wyborczej«, w myśl której odwoływany ambasador w Kijowie Jarosław Guzy miał rzekomo »odmówić opuszczenia placówki i zaplombować swój gabinet w ambasadzie«. To jest klasyczny przykład sytuacji, w której szef polskiej placówki

jest zniesławiany w polskich mediach za pomocą kontrolowanego przecieku z MSZ i jednocześnie nie może nic zrobić, bo zobowiązany jest dyscypliną służbową do milczenia. A środowisko dyplomatyczne czyta takie bzdury i uznaje je za świętą prawdę. Dlaczego właśnie Guzy »zyskał« przywilej takiego specjalnego potraktowania? Być może dlatego, że odmawia on, aby wobec swojego odwołania występować do MSZ Ukrainy o tzw. agreement dla swojego przyszłego następcy”.

Ambasador Epsilon mówi: „Ta zemsta ma charakter generacyjny. Dla »starego« MSZ, mającego bardzo często PRL-owskie korzenie, jest to okazja do zemsty za odsiewanie resortu np. z absolwentów sowieckich uczelni dyplomatycznych. Bardzo charakterystyczny jest przypadek Maroka, gdzie dla zastąpienia odwoływanego ambasadora Krzysztofa Karwowskiego ściąga się z emerytury jego zastępcę Tomasza Orłowskiego. Zresztą całe to sięganie po PRL-owskie kadry pośrednio pokazuje, jak wąską ławkę kadrową w kwestii dyplomacji ma Platforma. Wszystko to mimo powtarzanych frazesów o zastępowaniu rzekomych dyletantów fachowcami mającymi doświadczenie i doskonale znającymi języki. Polska degraduje się w ten sposób z pewnego poziomu relacji, np. w wypadku państw wyszehradzkich, na znacznie niższy poziom. Kończy się aktywność ambasadorów w średnim wieku, którzy mieli pomysły i bardzo często zyskiwali wiele niełatwych postulatów poprzez osobisty kontakt ze swymi zagranicznymi partnerami”.

Odwoływani szefowie placówek już znajdują się w niezwykle trudnej sytuacji. Będą kierowani do tzw. rezerwy kadrowej MSZ i otrzymywać będą bardzo niskie pieniądze. Moi rozmówcy szacują, że mogą to być wypłaty na poziomie ok. 4 tys. zł.

Ambasador Zeta zastanawia się: „No i spełni się wtedy złoty sen starego MSZ, który życzy nam jak najgorzej. Panie z działu kadr będą spokojnie obserwować, ile miesięcy wytrzymamy na takich niskich zarobkach. A jak już stracimy ochotę do dalszego użerania się, bez jak najmniejszego żalu pożegnają się z nami. Mamy być w dziejach MSZ niechlubnym epizodem nominacji niekompetencji i partyjnych nominacji. Już »Gazeta Wyborcza« powtarza tę czarną legendę”.



Gra w rozliczanego



Rafał A. Ziemkiewicz

Logika walki politycznych klas, która rządzi polską demokracją właściwie od samego momentu ustanowienia III RP, narzuca po każdym obrocie wyborczej karuzeli spektakl rozliczeń. To znaczy – dotychczas były owe rozliczenia spektaklem. Obecna ekipa ma nadzieję to zmienić. Inna sprawa, że na razie nic nie zapowiada, by się jej udało

Jeśli słowo „spektakl” budzi czyjaś wątpliwość, to zachęcam do przypomnienia sobie posiedzenia Sejmu z maja 2016 r., na którym zwycięski PiS ogłaszał szeroko zakrojony plan rozliczeń rządów koalicji PO-PSL za decyzje podjęte w ostatnich ośmiu latach (częściowy zapis znaleźć można na platformie YouTube,

należy wpisać „raport o stanie rządów PO-PSL”). „Audyt” przedstawiali kolejni ministrowie, każdy opowiadając o zastanych nadużyciach i błędach w swoim resorcie – trwało to kilka godzin i zajęło wiele stron stenogramu.

Niektóre zarzuty brzmiały naprawdę poważnie, np. te dotyczące strat wygenerowanych decyzjami w sprawie Stoczni Szczecin, elektrowni Stalowa Wola czy kosmiczne wynagrodzenia działaczy delegowanych do spółki mającej budować elektrownię atomową, która przez kilka lat nie rozpoczęła nawet poważnych prac nad znalezieniem lokalizacji. Gdyby PiS rzeczywiście był tak srogi i skłonny do rozliczeń – jak głosiła propaganda lewicowo-liberalna – to co najmniej kilku polityków PO siedziałoby w więzieniach, minimum do procesu, a może i skończyłoby z wyrokami.

PIS POZWOLIŁ IM PRZETRWAĆ

Ale skończyło się na skonsumowaniu przez sprzyjające PiS media grepsu o „złoty” samochód, zakupionym w jednym z resortów (chodziło oczywiście tylko o kolor „złoty metalic”, ale wizja złotej limuzyny oddziaływała na elektorat

podobnie, jak wcześniej ośmiorniczki pożerane przez polityków PO czy firanki w samochodzie łapowce dla posła SLD). Nie było żadnych policyjnych ani prokuratorskich śledztw, wyjaśniających okoliczności którejkolwiek z bulwersujących zaszłości z czasów pierwszego Tuska. Nie wyjaśniono okoliczności śmierci Jolanty Brzeskiej ani nie ukarano prokuratorów i policjantów, którzy „zamietli” sprawę, prowadząc śledztwo pod kątem samobójstwa, niszcząc dowody, nie przesłuchując świadków i upierając się w dokumentach śledztwa, że ofiara sama związała się drutem, oblała benzyną i spaliła żywcem. Nie ukarano prokuratorów winnych skandalicznego przetrzymywania w areszcie pod lipnymi zarzutami kibiców Piotra Staruchowicza i Macieja Dobrowolskiego tylko dla dogodzenia życzeniu premiera Tuska „zrobienia porządku z kibolami”. Dziś te same osoby wróciły i jako specjaliści prokuratorzy Bodnara zlecają i nadzorują nielegalne rewizje i „areszty wydobywcze”. Przez osiem lat nie byli może eksponowani, zsyłano ich na mało istotne stanowiska, ale pozwolono im przetrwać.

Z podobną łaskawością traktował PiS PO-wskich sędziów. Ewidentne łamanie

konstytucji przez upolitycznioną Iustitię, z czasem coraz bardziej jawną, partyjną przybudówkę PO, nie spotkało się z żadną reakcją, poza słowami oburzenia. Pierwsza prezes Sądu Najwyższego zebrała prawem kaduka trzy izby, w których pewna była przewagi sympatyków ówczesnej opozycji i podjęła z nimi kuriozalną uchwałę, że sędziowie, którzy weszli do stanu sędziowskiego po objęciu władzy przez PiS, nie są sędziami. Ani nie miała prawa zebrać arbitralnie wybranych izb w opozycji do całości Sądu Najwyższego, ani procedować spraw leżących w wyłącznych kompetencjach Trybunału Konstytucyjnego, ani ogłaszać jakiegось quasi-prawa, sprzecznego z wyrokiem tegoż Trybunału (i to jeszcze z czasów prezydentury Kwaśniewskiego) oraz świeżym jeszcze wtedy orzeczeniem TSUE, iż KRS jest w procesie mianowania sędziów jedynie ciałem doradczym i ewentualne wątpliwości co do legalności powołania jego członków nie dają prawa do podważania statusu sędziego, którego powołanie jest wyłączną prerogatywą Prezydenta RP. Jednak zrobiła to i nic się jej nie stało, a PO-wscy sędziowie w oparciu o tę uchwałę latami rozbijali sądy i wprowadzali w nich narastający chaos – ostatnio np. osławiony sędzia Wróbel pod pozorem nieważności wyroków „neosędziów” uwolnił z więzień prawomocnie skazanego mordercę.

ZNISZCZYĆ PRZECIWNIKA

Cała seria skandalicznych wyroków, podejmowanych przez sędziów PO z intencją dewastowania państwa i porządku publicznego „państwa PiS” (np. notoryczne uwalnianie od kary łamiących prawo aktywistów KOD i lewicy) pozostała bez reakcji. Zapowiadane hucznie rozliczenie „kasty” przybrało kuriozalną formę medialnego pastwienia się nad sędzią, który ukradł w sklepie spodnie lub części do wiertarki, podczas gdy przywódcom prawniczego rokoszu groziło co najwyżej odsunięcie od orzekania – z zachowaniem pełnych poborów, co pozwalało im podróżować po całej Polsce i urządzać polityczne wiece „w obronie konstytucji”.

Nasz redakcyjny kolega Łukasz Warzecha, występując gościnnie w jednym z dzienników, postawił tezę, że PiS zaniechał rozliczeń z poprzednikami, ponieważ ich nie potrzebował – „niosło”

go zadowolenie wyborców z rosnącego poziomu życia i programów socjalnych, z „500+” na czele. Idąc dalej, uznaje Warzecha, że fala brutalnych i bezprawnych represji prowadzonych teraz przez Tuska rękami Bodnara i Siemoniaka wynika przede wszystkim z załamania wszystkich wyborczych obietnic i nadziei związanych z tym rządem. Rzadko kiedy ten publicysta stawia diagnozy brzmiące tak życzliwie dla PiS, więc warto jego głos odnotować, ale sprawa jest jednak bardziej skomplikowana.

„Rozliczenia” mają bowiem wymiar ważniejszy niż tylko dogodzenie oczekiwaniom elektoratu, karmionego w czasach opozycji opowieściami o nadużyciach władzy, oraz uwiarygodnienie po czasie tych propagandowych opowieści (co też nie jest bezpieczne, zainteresowanych odsyłam do tego, co pisałem o „efekcie Rasputina”). Chodzi także o sparaliżowanie przeciwnika, zniszczenie jego struktur, zastraszenie zwolenników i tym samym uniemożliwienie powrotu do władzy.

Tusk próbował tego już po roku 2007. Stworzył dwie specjalne komisje sejmowe (do spraw „nacisków” i Barbary Blidy) oraz uruchomił ponad 60 prokuratorskich śledztw. Przypadkową ofiarą „ciśnienia” góry na znalezienie jakichś „afer PiS” padł m.in. były wiceminister zdrowia prof. Jarosław Pinkas, przetrzymywany wiele miesięcy w typowym dla układu obecnie rządzącego „areszcie wydobywczym”: zatrzymany pod pretekstem „korupcji” (którą miało być według prokuratury przyjęcie pióra wiecznego) nękamy był, by dać jakieś „wyjście” na swego przełożonego, śp. Zbigniewa Religę. Podobnie jak wspomniany wcześniej kibice okazał się człowiekiem z charakterem, niczego „śledczym” Tuska nie podpisał i ostatecznie musieli oni wypuścić go bez żadnego oskarżenia.

Być może właśnie to, że owe „rozliczenia zbrodni PiS” po roku 2007 okazały się tak spektakularną kompromitacją, zbudowało w PiS po odzyskaniu władzy w roku 2015 fałszywe poczucie bezpieczeństwa, dzięki któremu wszyscy umoczeni za czasów Tuska w nadużycia władzy bezpiecznie przetrwali osiem lat PiS-owskiej „dobrej zmiany”. Dziś, gdy potraktowani tak łagodnie ludzie Tuska znowu szafują „aresztami wydobywczymi” i liczą na to, że dręcząc przypadkowe ofiary, zdołają

wyprodukować „coś” na Kaczyńskiego i Ziobrę, wielu zwolenników PiS, rozczarowanych skutkami jego rządów – a raczej ich brakiem – powtarza na różne sposoby Molierowskie: „Sam tego chciałeś, Grzegorz Dyndało”.

NA RAZIE TYLKO HAŁAS

Możliwe, że w charakterystyczny dla siebie sposób wnioski z tej sytuacji wyciągnął także Tusk i presja, którą wywiera dziś na swoich poddanych, domagając się od nich natychmiastowej i spektakularnej zemsty na PiS, wynika z obawy, by nie popełnić błędu swoich wrogów i nie pozostawić przy życiu nikogo, kto po odwróceniu się koniunktury mógłby rozliczyć i ukarać obecne akty bezprawia. Przy okazji osiąga Tusk efekt podobny, jak Juliusz Cezar ze sławnym podpaleniem za sobą mostu, po którym rzucił żołnierzy do szturm: im bardziej sroży się wobec przedstawicieli poprzedniej władzy, tym skuteczniej mobilizuje swoich totumfackich do usilniejszych starań, strasząc, że jeśli zbyt dużą łagodnością pozwolą PiS wrócić do władzy, to ich los nie będzie już tym razem tak znośny jak poprzednio.

Rzecz w tym, że podwładni Tuska naprawdę chcieliby, tylko – jak widać – nie bardzo mają czym w PiS uderzyć. Krzycząc nieustannie o „złodziejstwo” i „aferach”, nie zdołali jak dotąd nikomu nawet postawić zarzutu kradzieży. „Areszty wydobywcze” też na razie okazały się równie nieskuteczne, jak w przypominanych powyżej wypadkach – zapewne dlatego, że nawet najbardziej brutalne dręczenie aresztowanych niewiele da, jeśli prokurator sam nie wie, do czego właściwie przyznanie się chce uzyskać. Jedyny wypadek, kiedy pogroźenie postawionymi zarzutami okazało się skuteczne – czyli „nawrócenie” Tomasza Mraza – został od razu medialnie spalony przez Romana Giertycha, co mogło być skutkiem albo jego rywalizacji z Bodnarem, albo wyjątkowego „ciśnienia” wytwarzanego ciągłym „wściekaniem się” żądającego efektów Tuska; tak czy owak pokazuje, że machina rozliczeń wytwarza głównie hałas. Zapowiedziane sięgnięcie po sprawę Barbary Blidy, zamkniętą pięcioma prawomocnymi wyrokami, w której już sejmowa komisja Ryszarda Kalisza niczego znaleźć nie zdołała, zakrawa na przejaw desperacji. © Wszelkie prawa zastrzeżone

RYSZARD GROMADZKI: Z medialnych wypowiedzi Adama Bodnara, ministra sprawiedliwości, po akcji prokuratorów w asyście uzbrojonej grupy policjantów w siedzibie Krajowej Rady Sądownictwa wynika, że o żadnej siłowej interwencji nie ma mowy, a cała sytuacja w KRS to fragment przywracania praworządności po rządach PiS. Stanowisko Bodnara można by streścić popularnym kibicowskim zawołaniem: „Polacy, nic się nie stało”. Rzeczywiście nic się nie stało?

DAGMARA PAWEŁCZYK-WOICKA: Chciałabym to sprostować. Z tego, co pamiętam, to narracja zarówno prokuratury, jak i ministra jest taka, że to najście dotyczyło wyłącznie biura rzeczników dyscyplinarnych sędziów sądów powszechnych. Wielokrotnie mówiłam, że to nieprawda, ponieważ dysponentem tych pomieszczeń jest Krajowa Rada Sądownictwa. Stanowią one biuro KRS, a to biuro zapewnia również obsługę rzeczników dyscyplinarnych sędziów sądów powszechnych. W ramach obowiązku ustawowego udostępniam niektóre pomieszczenia, a niektórzy pracownicy mają w zakresie swoich zadań obsługę biurową rzeczników dyscyplinarnych sędziów sądów powszechnych. Pomieszczenie, w którym miało miejsce najście, jest wynajmowane od uczelni wyższej, ale pozostaje w mojej dyspozycji, jako przewodniczącego Krajowej Rady Sądownictwa.

Czyli doszło do naruszenia integralności Krajowej Rady Sądownictwa poprzez najście przestrzeni, którą ona zawiaduje.

Tak, aczkolwiek nie doszło do naruszenia możliwości wykonywania obowiązków przez samą Krajową Radę Sądownictwa. W tym znaczeniu jest trochę racji w wypowiedzi ministra. Jeżeli jednak przyszli tam prokuratorzy w asyście policji, to zgodnie z art. 222 Kodeksu postępowania karnego powinni pierwsze kroki skierować do mnie. Przepis jest jednoznaczny, trzeba zawiadomić kierownika jednostki, jeżeli mamy do czynienia z jednostką państwową. KRS jest niewątpliwie organem konstytucyjnym, więc prokuratorzy powinni mnie o tych czynnościach przynajmniej poinformować. Czego chcą, co zamierzają robić.

Tak się nie stało...

Nie. Do końca nie traktowali mnie jako osobę zainteresowaną. Ponadto



FOT. NIKOŁAJ MIKOŁAJCZYK

kiedy wydawało się już, że mogę brać udział w czynnościach, poprosiłam o to, aby osobą zaufania z mojego ramienia była osoba postronna, pani, która tam przebywała, która zachowywała się racjonalnie i była obiektywna. Prokurator nie wyraził na to zgody, limitując

domienia rzeczników ad hoc Ministerstwa Sprawiedliwości. Dla mnie między rzecznikami ad hoc a rzecznikami dyscyplinarnymi sędziów sądów powszechnych powinna być jakaś korespondencja. Nie znam treści tej korespondencji, bo jej nie nadzoruję. Zdarza się tak, że jeden



Z Dagmarą Pawełczyk-Woicką,
przewodniczącą Krajowej Rady Sądownictwa
rozmawia Ryszard Gromadzki

Podmywanie fundamentów praworządności

mnie w moich uprawnieniach wynikających z Kodeksu postępowania karnego. Poza tym użyto nieproporcjonalnych środków. W najściu uczestniczyło ponad 20 uzbrojonych funkcjonariuszy policji, w kamizelkach kuloodpornych, tak jak byśmy byli jakimiś terrorystami. Był to więc jakiś pokaz siły.

Czemu miał on służyć? Chodzi o zastraszenie? Oswajanie z bezprawiem?

Tak, myślę, że chodzi o tworzenie atmosfery zastraszenia, sprawczości. Pewnie ma to jakiś polityczny cel.

Wspomnę jeszcze o kolejnej rzeczy, która dla mnie jako sędziego ma charakter bulwersujący. Oni przyszli po akta prowadzonych przez rzeczników dyscyplinarnych postępowań dyscyplinarnych czy wyjaśniających. Chcieli odebrać te akta od organu uprawnionego do prowadzenia jakiegoś postępowania, gdyż wszczęli śledztwo na podstawie zawi-

organ z drugim ma jakiś spór kompetencyjny, formalny czy zupełnie techniczny.

Przecież tych sporów nie rozwiązuje się poprzez siłowy zajazd na siedzibę oponenta. Mielibyśmy wtedy w Polsce dziką anarchię...

Właśnie o to chodzi. Dla mnie jest to rzecz niedopuszczalna. Proszę sobie wyobrazić, że prowadzone jest jakieś postępowanie i sędzia referent nie udostępnił aktu prokuraturze. Ten prokurator idzie do swego kolegi i mówi mu: „Wszcznij śledztwo, bo ja nie mogę uzyskać tych akt. Wydadź postanowienie, żebym mógł te akta wziąć z sądu”. Po czym wchodzi do sądu ekipa, która zabiera akta bez zgody sędziego, który ma prawo nimi dysponować, i bez zgody prezesa sądu. Użyłabym takiego porównania do sytuacji, która wydarzyła się w siedzibie KRS.

Czy to, co wydarzyło się w KRS, można postrzekać nie tylko jako pokaz arogancji ze strony

ministra sprawiedliwości, lecz także podważenie porządku prawnego?

Na pewno jako demonstrację siły i arogancji. Nie wiem, czy podważenie porządku prawnego. Nie chcę używać historycznych określeń. Cała sprawa jest dla mnie niepojęta. Bo jakim dowodem w sprawie są te akta? W sprawie odmowy udzielenia akt dowodem są akta. Moim zdaniem rzecznicy ministra Bodnara ad hoc posłużyli się prokuraturą, wyjmując to z treści ich komunikatu, żeby te akta uzyskać. No tak się nie robi. To jest mój zarzut do nich plus ta nieproporcjonalność. Do tego podczas swoich czynności narobili dużo szkód.

Media obieły zdjęcia zdemolowanej szafy z aktami. Widać, że podczas jej otwierania nikt nie bawił się w subtelności.

To nie była jedna szafa pancerna. Kilka szaf, każda warta ok. 7 tys. zł brutto. Do tego nie wiadomo, dlaczego wymienili nam zamki w drzwiach. Muszę teraz ponownie zainstalować w nich swoje zamki. Oceniam łącznie straty, które były efektem najścia prokuratorów z policją, na ok. 60 tys. zł. Bezsensowne marnotrawstwo. Pofatygowałam się z własnej inicjatywy do panów prokuratorów. Poprosiłam o wylegitymowanie się. Jeden z nich to uczynił, drugi, pan Myszkowicz, nie. Nie pokazali mi żadnego dokumentu. W związku z tym poinformowałam ich, że rozmawiam z rzecznikiem Schabem, że będzie w biurze następnego dnia rano, bo obecnie przebywa kilkaset kilometrów od Warszawy. Czy nie można było poczekać na jego przyjazd? Czemu to w ogóle służyło? To kolejna z całego ciągu historii, w którym mamy sędziów, którzy nawołują do tego, aby wtargnąć na teren Krajowej Rady Sądownictwa, zając siłowo KRS. Sędzia Żurek oznajmił np., że jest gotowy wykonywać swoje obowiązki, bo ma o dwa tygodnie skróconą kadencję, i chętnie przejmie obowiązki w KRS. Są to rzeczy nieprawdopodobne.

To, co pani relacjonuje, wskazuje na obraz totalnej destrukcji systemu wymiaru sprawiedliwości w Polsce. O upadku jego autorytetu w społeczeństwie nawet nie będę wspominał.

Upadek autorytetu wymiaru sprawiedliwości w społeczeństwie nastąpił już dawno temu. Idzie o większe sprawy.

■ Jakiś obywatel może sobie pomyśleć: „No dobrze, zachowali się nie w porządku, wchodząc do siedziby KRS. No, ale dla świętego spokoju może powinni im ustąpić poprzez złożenie mandatu w rądzie”. Jednak to tak nie działa. Demonstracja siły, z którą mieliśmy do czynienia w siedzibie KRS, jest pokazem dla innych sędziów. Moje obawy dotyczą tej części społeczności sędziowskiej. Co dalej z ich niezawisłością? Jak będą osądzać polityków? Mamy przecież do czynienia z procesami, które odbywają się medialnie. To bardzo niepokojące. Zawsze były różnego rodzaju wrzutki, nigdy tego nie akceptowałam. Ale obecnie ich skala jest bezprecedensowa.

Mam obawy, czy Rzeczpospolita będzie w stanie zapewnić swoim obywatelom bezstronne i niezawisłe sądy wobec skali nagonki, z którą mamy do czynienia, wobec tzw. neosędziów, jak się ich nazywa, używając pozaprawnego przyrostka. Skala tego ataku w wydziałach karnych na terenie całej Polski jest tak ogromna, że dziennikarze chyba nie zdają sobie sprawy, ile wyroków karnych jest uchylonych po długoletnich procesach tylko z tego powodu, że wydał jest „upolityczniony” sędzia. Nie wiem, w oparciu o jakie kryteria kwalifikuje się jakiegoś sędziego jako upolitycznionego. Niedawno w Poznaniu była sprawa karuzeli VAT-owskiej. Sprawa aresztowa, która toczyła się długo, zakończona wyrokiem. Sąd Najwyższy uchylił ten wyrok. To są rzeczy przykre dla samych sędziów, ale jednocześnie niesłychanie destrukcyjne dla całego wymiaru sprawiedliwości. Rykoszetem odbije się to na obywatelach, na zwykłych ludziach. Trzeba o tym trąbić. To gorsze niż ten bardzo wizualny pokaz siły w Krajowej Radzie Sądownictwa.

Czy prawdziwym celem wszystkich tych działań, które są prowadzone przez ekipę Donalda Tuska w obszarze wymiaru sprawiedliwości, jest rozchwianie prawa, stworzenie w Polakach poczucia niepewności prawa? To przecież rzutuje wprost na stan państwa. Destabilizuje je, otwiera drogę do działań siłowych.

To się rzeczywiście dzieje, chociaż nie mogę kategorycznie założyć intencjonalności. Faktem jest, że nie patrzy się na przepisy, na to, co wynika z obowiązującej ustawy. Przestaje być jasne, co jest

tym prawem. Podmywa się fundamenty praworządności. O czym my mówimy? To, co się dzieje, powinno obywateli bardzo niepokoić. Nie chcę nikogo straszyć, ale wygląda mi to na próbę rozchwiania państwa w sytuacji zagrożenia zewnętrznego.

Realnego zagrożenia. Co dalej? Czy do powstrzymania destrukcji wymiaru sprawiedliwości konieczny jest w Polsce polityczny zwrot?

Jestem uodporniona, bo od ponad sześciu lat spotykam się z groźbami kierowanymi do mnie przez niektórych sędziów. Niestety, nie mam w swoich rękach instrumentów, które pozwalałyby mi skutecznie reagować w warunkach, które mamy, i odwrócić trend anarchizujący wymiar sprawiedliwości. Nie jestem ministrem sprawiedliwości.

Wszystkie działania nowej ekipy wskazują, że jak tylko zdobędą jakąś redutę, celem ataku staje się kolejna

Dopóki był poprzedni minister sprawiedliwości, dopóty starał się jakoś trzymać to wszystko w ryzach. To nie była sytuacja idealna, broń Boże, ponieważ ten rokosz części środowiska sędziowskiego cały czas się tlił. Jednak w sądownictwie była zachowana pewna równowaga. Teraz mamy do czynienia z masową wymianą prezesów sądów, zresztą z naruszeniem przepisów prawa. Za tym idzie odwoływanie z funkcji sędziów, zgodnie z prawem lub całkowicie pozaprawnie, jak sędziów wizytatorów. A nawet odwoływanie kierowników sekretariatów poszczególnych sądów.

Środowisko sędziowskie nie odzwierciedla sympatii politycznych w społeczeństwie. Mamy w nim do czynienia z dużym przechytem na korzyść obecnej władzy. Jest grupa agresywnych sędziów zdolna do tego, żeby zastraszyć i zdominować resztę. Więc cała ta reszta w imię prawa do spokojnego wykonywania zawodu nawet się nie odezwie.

Skutki demolowania systemu sprawiedliwości odczuwamy już i – jak wszystko wskazuje – będziemy

odczuwać je jeszcze bardzo długo w postaci degradacji roli państwa. Powtórzę pytanie: Jak zatrzymać ten upadek?

Obraz polskiego wymiaru sprawiedliwości jest rzeczywiście przygnębiający. Mamy do czynienia z ciągłą destabilizacją systemu, z naciskiem na ministra sprawiedliwości, aby jak najszybciej poobsadzał „naszymi” wszystkie stołki. Nic innego się nie przebija. Ostatnio minister Bodnar mówił, że trzeba przyjrzeć się aresztom wydobywczym, długotrwałym aresztom. To rzeczywiście jest w Polsce problem. Nie tylko ks. Olszewskiego, lecz także wielu ludzi. To jest systemowy problem, którym trzeba się zająć.

Wspomniała pani o groźbach wobec swojej osoby ze strony niektórych sędziów. Co panią motywuje do tego, żeby trwać w tym systemie pomimo jego postępującego rozkładu?

Część sędziów oczekuje, że zostanie my w Krajowej Radzie Sądownictwa do końca. Na pewno nasze ustąpienie nie spowodowałoby odwrócenia destrukcyjnego trendu, z którym mamy do czynienia. Wszystkie działania nowej ekipy wskazują, że jak tylko zdobędą jakąś redutę, celem ataku staje się kolejna. Posuwają się coraz dalej. Opór zatem ma sens, bo przynajmniej wydłuża zawłaszczanie państwa w czasie.

Wydaje się, że rozstrzygające będą wybory prezydenckie. Niezależnie od strony politycznej trzeba pytać kandydatów, czy podpiszą ustawę o weryfikacji sędziów pod kątem tego, czy zostali powołani po 2018 r. Jeżeli kandydat powie, że nie podpisze, a to być może zadeklaruje każdy kandydat, to byłby rozsądny pretendent do najwyższego urzędu w państwie, niezależnie od tego, przez kogo zgłoszony. Przecież prezydent Andrzej Duda nie chciał czynić zamachu na nominacje sędziowskie dokonane przez jego poprzedników. To kwestia dbałości o ciągłość wymiaru sprawiedliwości. Postawiłabym takie pytanie kandydatom w wyborach prezydenckich. Jeśli będą kandydaci, którzy to wyraźnie zadeklarują, to być może zapas wymiaru sprawiedliwości zostanie zastopowana. Nie twierdzą, że ustąpienie z funkcji, którą sprawuję, nie miałoby wtedy sensu. Byle był prezydent, który zagwarantuje ciągłość tego urzędu, chociaż w tym zakresie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Zuzanna
Dąbrowska-Pieczyńska

Od zmiany władzy rytm polskiemu wymiarowi sprawiedliwości nadają powoływane przez ministra Adama Bodnara specjalne zespoły. Mający się zająć „przestępstwami z nienawiści”, w tym „mową nienawiści”, składa się z ludzi niedających wielkich nadziei na choćby pozorny obiektywizm

W Polsce mamy [...] do czynienia z innymi formami zniesławiania prawdy historycznej. Chodzi o twierdzenie, że Polacy wyłącznie Żydów ratowali, natomiast szmalcownictwo i inne postawy wrogości czy wręcz nienawiści wobec Żydów były marginalne – tak w tekście na łamach „Gazety Wyborczej” z okazji kolejnej rocznicy wydarzeń Marca ’68 pisała dr Aleksandra Gliszczyńska-Grabias z Instytutu Nauk Prawnych PAN. W przeszłości współpracowała m.in. z Radą Europy, Komisją Europejską, World Jewish Congress i American Jewish Committee. W czerwcu decyzją ministra sprawiedliwości Adama Bodnara stała się przewodniczącą Zespołu do spraw przeciwdziałania mowie nienawiści i przestępstwom motywowanym uprzedzeniami. Powołanie takiego zespołu ogłoszono w miejscu nieprzypadkowym – w Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN w Warszawie.

W styczniu resort sprawiedliwości poinformował, że rozpoczęły się prace nad nowelizacją Kodeksu karnego, dotyczące mowy nienawiści i przestępstw z nienawiści. Celem jest poszerzenie katalogu przesłanek. Ówczesny wiceminister – dziś już europoseł – Krzysztof Śmiszek wskazał, że przepisy będą poszerzone o takie przesłanki jak płeć, orientacja seksualna, tzw. tożsamość płciowa, wiek czy niepełnosprawność. Oznaczałoby to m.in., że będziemy zobligowani stosować wobec kobiety, która uważa się za mężczyznę (lub odwrotnie), zaimki męskie (lub jakkolwiek inne). Zakazana będzie

także krytyka praktyk homoseksualnych czy wykazywanie, że adopcja dzieci przez pary jedнопłciowe jest dla tych dzieci szkodliwa.

Powołany przez MS zespół ma przygotować „założenia systemowej, kompleksowej i szczegółowej strategii przeciwdziałania takim zachowaniom i ich karania”. W zadaniach zapisano także „przeprowadzenie analizy orzecznictwa Sądu Najwyższego i sądów powszechnych związanego ze stosowaniem przepisów”. Zespół ma opracować wytyczne w celu „zapewnienia właściwej reakcji organów władzy państwowej w związku z przestępstwami tego rodzaju, ze szczególnym uwzględnieniem problemu mowy nienawiści obecnej w Internecie”. Dodatkowo Adam Bodnar jako prokurator generalny polecił wskazanie w wybranych prokuraturach rejonowych po dwóch prokuratorów do prowadzenia postępowań w sprawach o przestępstwa z nienawiści. W prokuraturach okręgowych, regionalnych oraz w Departamencie Postępowania Przygotowaw-

posłużą się w sądzie nie tylko homoseksualiści, lecz także wielodzietne rodziny, które są w sieci obiektem stałych szykan i chamskich kpín? Skład gremium nie daje na to wielkich nadziei, ponieważ ma wyraźny rys światopoglądowy – ewidentnie lewicowy.

MIGRANCY I ANTYSEMITYZM

Szefowa wspomnianego na początku tekstu zespołu, Aleksandra Gliszczyńska-Grabias, w 2021 r., gdy na granicy polsko-białoruskiej służby Łukaszenki rozkręcały kryzys migracyjny (którego skutki odczuwamy boleśnie do dziś), nie dostrzegała, że mamy do czynienia z wojną hybrydową. „Nie mamy już gwarancji, że narzędzia ochrony naszych praw i wolności, stworzone w ramach Organizacji Narodów Zjednoczonych, Rady Europy czy Unii Europejskiej, mogą nadal stanowić dla nas skuteczną tarczę przed bezprawnymi działaniami rządzących. Trudno jest bez emocji odnosić się do dramatu wyzębionych, głodnych ludzi, nieposiadających niczego, pozosta-

Specjaliści od nienawiści

czego Prokuratury Krajowej cały czas gromadzone i analizowane są materiały dotyczące „kierunków i dynamiki tego rodzaju przestępczości oraz sposobu działania sprawców”. Widać, że rządzący potraktowali walkę z niepoprawnymi poglądami poważnie.

Czy jest szansa, że Bodnarowy zespół przygotuje wytyczne, które z taką samą troską będą chroniły każdą grupę społeczną i religijną w Polsce? Że pochyli się nad hejtem kierowanym nie tylko wobec wyznawców judaizmu, lecz także katolików? Że wypracuje narzędzia, którymi

jąc jednocześnie w poczuciu bezsilności wobec postawy tych, którzy decydują o ich życiu i śmierci” – wskazywała. Doktor Gliszczyńska-Grabias przekonywała, że nie otwierając granicy na oścież dla niezwyfikowanych imigrantów, „Polska wychodzi poza systemy ochrony praw człowieka, w których do niedawna funkcjonowaliśmy i z których dobrodziejstw korzystaliśmy jako obywatele i obywatelki demokratycznego państwa”.

Badaczka jest także, podobnie jak niektórzy inni członkowie zespołu, tropicielką polskiego antysemityzmu.

■ „W przededniu kolejnej rocznicy Marca '68 oraz zbliżającej się 80. rocznicy wybuchu powstania w getcie warszawskim również w Polsce antysemityzm ciągle o sobie przypomina. Krzywdzi nie tylko tych, wobec których wymierzony jest bezpośrednio – jego destrukcyjne działanie wpływa bowiem na całą tkankę społeczną” – pisała rok temu na łamach „Wyborczej”.

Z kolei w grudniu wprost postulo-
wała, jakby przeczuwając, jakie zadanie
powierzy jej wkrótce minister Bodnar;
wprowadzenie przepisów dotyczących
walki z nienawiścią (a dokładniej z an-
tysemityzmem). Zachwalała przy tym
Bartłomieja Sienkiewicza jako tego, który
z nienawiścią do Żydów walczył skutecz-
nie. „[...] W ciągu ostatnich lat przyzwo-
lenie – również poprzez zaniechanie,
które wobec przestępstw z nienawiści
przejawiała duża część polskiej prokura-
tury, było bowiem skrajnie niepokojące.
Przed rokiem stowarzyszenie Lex Supra
Omnia opublikowało ważne opraco-
wanie ukazujące skalę tego problemu.
Powinno ono stać się punktem wyjścia
dla przygotowania strategii dokonania
zasadniczych zmian w sposobie ściga-
nia przestępstw z nienawiści w Polsce.
Warto również sięgnąć do doświadczeń
z okresu, w którym ówczesny minister
spraw wewnętrznych i administracji Bar-
tłomiej Sienkiewicz realizował politykę
zdecydowanej reakcji wobec antysemit-
kiej aktywności skrajnych środowisk.
Elementem »nowego otwarcia« powinno
również stać się powołanie rządowego
pełnomocnika do spraw przeciwdzia-
łania antysemityzmowi” – domagała
się badaczka. Dziś ma realny wpływ na
polskie prawodawstwo.

SZARA EMINENCJA RESORTU I TĘCZOWE SKRZYDŁO

Resort sprawiedliwości w specjalnym
zespole reprezentuje sędzia Marta Kożu-
chowska-Warywoda, przedstawicielka
upolitycznionej organizacji sędziowskiej
Iustitia. W resorcie odpowiada za kadry
we wszystkich polskich sądach. Jest sza-
rą eminencją resortu, bo choć w mediach
nie pojawia się często, to ma ogromny
wpływ na personalne „rozliczanie PiS”.
W jednym z wywiadów zapewniała
zmarłą wolnym tempem zmian
dziennikarkę Onetu, że ministerstwo

„w swoim czasie dopnie swego i wymieni
nominatów Zbigniewa Ziobry w sądach
na prezesów, którym zaufa środowisko
sędziowskie”. – Minister sprawiedliwo-
ści wszczął 80 procedur dotyczących
odwołania kierownictwa sądów. Mamy
skutecznie odwołanych 62 prezesów,
w tym sześciu z sądów apelacyjnych, 22
z sądów okręgowych i 34 z sądów rejon-
owych – wyliczała z dumą. Podkreśliła,
że konieczna jest weryfikacja sędziów
powołanych przez „nową KRS”. – Nie
wyobrażam sobie, że mogłoby do niej nie
dojść, żeby nie zostały rozliczone osoby,
które wykorzystały sytuację, stanęły do
konkursów przed nielegalną, niekon-
stytucyjną KRS i awansowały – mówiła
Kożuchowska-Warywoda.

Zespół do sprawy walki z nienawiścią
ma też swoje „tęczowe” skrzydło. To
advokat Emilia Barabasz, która z bycia
lesbijką uczyniła swój znak rozpoznaw-
czy. Barabasz jest sekretarzem Sekcji

Praw Człowieka przy Okręgowej Radzie
Adwokackiej w Warszawie i współza-
łożycielką Koła Osób LGBTQ+ przy tej
jednostce. „Jest to w Polsce pierwszy
znany nam przypadek powstania grupy
osób identyfikujących się jako LGBTQ+
funkcjonującej w oficjalnych struktu-
rach samorządu zawodowego. Nie ma
takich grup w samorządzie architektów,
samorządzie lekarskim czy radcowskim.
Nie powołano ich także w żadnym innym
samorządzie w Polsce” – wskazywała
w wywiadzie dla portalu miesięcznika
„Replika”. I wyjaśniała: „Mnie bardzo
zależało na tym, żeby pokazać członkom
naszej społeczności, osobom, które jesz-
cze nie miały w sobie siły czy determinacji,
żeby dokonać coming outu, że można
to zrobić – można wykonywać zawód
zaufania publicznego i jednocześnie być
wyoutowaną osobą LGBTQ+”.

Walka z prawdziwą lub ze zmyślo-
ną dyskryminacją to także konik Anny





Minister sprawiedliwości Adam Bodnar

FOT. PIOTR NOWAK/PAP

Tatarskiej, która w Zespole do spraw przeciwdziałania mowie nienawiści i przestępstwom motywowanym uprzedzeniami reprezentuje skrajnie lewacką organizację Nigdy Więcej. Tatarska jest doktorem nauk humanistycznych i współtwórczynią „Brunatnej Księgi” – subiektywnego, często zmanipulowanego spisu rzekomych zdarzeń rasistowskich i ksenofobicznych, które niekiedy nie mają kompletnie żadnego związku z rasizmem czy ksenofobią (zapisano w niej m.in. „pobicie bezdomnego mężczyzny” z 13 stycznia 2022 r., do którego miało dojść w Sędzioszowie Małopolskim; mężczyzna ten był Polakiem).

WIERNY WYBORCA ANTY-PIS

Ekspertką do spraw hejtu w sieci jest w zespole Joanna Grabarczyk-Anders, aktywistka i współtwórczyni kampanii HejtStop. Również – cóż za zdziwienie – krytyczna wobec rządów prawicy

i konserwatystów. W wywiadzie z 2020 r. podkreślała, że dla niej „najważniejsza jest praca z ofiarami i pomoc osobom, które doświadczają przemocy. To jak zarządzanie kryzysem – zbieramy materiał dowodowy, wspieramy w rozmowach z policją i prokuraturą, działamy, by te treści zostały jak najszybciej usunięte z sieci”. Nawiązała do kampanii prezydenta Andrzeja Dudy. „Trudniej jest, gdy dochodzi do nagonek na mniejszość, np. na społeczność LGBTQ+ w ostatniej kampanii prezydenckiej” – oceniła. Grabarczyk-Anders dostrzega też nienawiść w podejściu do imigrantów (których nazywa, rzecz jasna, „uchodźcami”). „W 2015 r., przy okazji kryzysu uchodźczego, polski Internet zalały nienawistne komentarze w stosunku do osób o innym kolorze skóry niż białe. To było bagno, którego nie dało się posprzątać” – opowiadała. Aktywistka wskazała też na potrzebę dopisania do przepisów zakazu nawoływania do nienawiści ze względu na płeć, orientację i tożsamość płciową. To był rok 2020. Dziś jest w resortowym zespole.

Nie powinno dziwić, że w skład zespołu powołany został kierownik Centrum Badań nad Uprzedzeniami UW dr Michał Bilewicz, jeden z kilku znanych badaczy lubujących się w tropieniu polskiego antysemityzmu. Bilewicz przyznał, że jest „wiernym wyborcą antypisowskiej koalicji” i blisko mu do #SilnychRazem – grupy skrajnych i agresywnych zwolenników nowej władzy. W wywiadzie udzie-

może Brazylijczykowi i Amerykanom udało się nieco powstrzymać te siły, ale nie wiadomo, na jak długo” – stwierdził. Socjolog przyznał, że jest wiernym wyborcą antypisowskiej koalicji. „Blisko mi zarówno do lewicowego Razem, jak i do #Silnych Razem, czyli internetowego fanklubu Koalicji Obywatelskiej”.

Bilewicz wsparł też niedawny protest mediów, podkreślając, że to dzięki nim „przetrawiliśmy osiem lat PiS”. „Węgrzy tego nie mieli, cały rynek został kupiony przez Orbána. Dlatego jego reżim jest tak trudny do usunięcia. My zaś mieliśmy »Wyborczą«, TVN, OKO, »Politykę«, »Tygodnik«, »Newsweek«, WP, Onet, TOK FM, Radio Zet...«” – wyliczał.

Tego rodzaju poglądy są jednak tylko uzupełnieniem dla propagowanych przez Bilewicza tez o szerzącym się nad Wisłą antysemityzmie. Ulubiony chwyt Bilewicza to nie pełne zaprzeczanie istnieniu Polaków, którzy z narażeniem życia ratowali w czasie okupacji niemieckiej Żydów, ale odwoływanie się do tego, co jest dziś. Skoro obecnie jesteśmy letni, często nie reagujemy na krzywdę innych, to dlaczego wtedy byliśmy niby bardziej bohaterzy? Wszystko to podszyte jest kolejną, według Bilewicza, bardzo powszechną cechą Polaków – rasizmem. „Z różnych badań wiemy, że ludzie mniej chętnie pomagają, gdy mają do czynienia z kimś obcym kulturowo, etnicznie, religijnie, rasowo. Na przykład z badań przeprowadzonych w Stanach Zjednoczonych wynika, że biali Amerykanie znacznie

Zespół do spraw walki z nienawiścią ma swoje „tęczowe skrzydło”.

To adwokat Emilia Barabasz, która z bycia lesbijką uczyniła swój znak rozpoznawczy

lonym portalowi Gazeta.pl opowiedział o swoich politycznych preferencjach. Nie ukrywał, że jest zachwycony zmianą władzy w Polsce. „Od kilku miesięcy żyję w pewnego rodzaju ekstazie. Komu innemu na świecie udało się zatrzymać pęd autorytarnych populistów? Jeszcze niedawno byłem przekonany, że gdy już jakieś państwo wejdzie na autorytarną ścieżkę – to nie ma z niej wyjścia. Popatrz na Orbána, Ficę, Erdoğan, Putina. No,

mniej chętnie są gotowi nieść pomoc Afroamerykaninowi niż innej osobie, która zemstała. Eksperymenty zespołu Marka Levine’a w Wielkiej Brytanii pokazały, że gdy mieszkańcy Manchesteru widzą na chodniku nieprzytomnego kibica w koszulce Liverpoolu, mniej chętnie mu pomogą niż kibicowi lokalnego klubu” – przekonywał Bilewicz. I znowu – ludzie są wszędzie tacy sami, Polacy nie są od nikogo lepsi.

© P Wszelkie prawa zastrzeżone

Zanim Ministerstwo Klimatu i Środowiska, we współpracy z Narodowym Funduszem Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, przedstawiło projekt programu „Mój rower elektryczny”, takie programy na własną rękę od dawna prowadziło już kilka miast w Polsce. Oczywiście – w innej skali.

Do rowerów dopłacały już w swoich programach m.in. Gdynia, Kraków, Bydgoszcz, Łódź czy Białystok. Skorzysta z tego mogą mieszkańcy, którzy udowodnią, że są tam zameldowani. Na ile mogą liczyć? Na przykład w Gdyni, gdzie do zakupów dokłada Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Gdańsku, dotacja wynosiła do 2,5 tys. zł.

Zainteresowanie było gigantyczne. W 2022 r. w pierwszych dniach zapełniła się pierwsza pula 600 wniosków. Rok później Gdynia dopłacała już do 1,1 tys. rowerów elektrycznych.

Jak wynika ze wstępnych ocen – choć miasta oferowały też dopłaty do takich rowerów mikroprzedsiębiorcom, to po pieniądze zgłaszały się głównie osoby prywatne.

CAŁY KRAJ NA ELEKTRYKI?

Skala miejskich programów dopłat jest tak niewielka, że można uznać ją najwyżej za swego rodzaju zabawę, ewentualnie dobrą akcją PR-owską władz, które chcą wpisać się w trend „zrównoważonego transportu”.

Nie inaczej będzie z programem na poziomie rządowym. Bo przez kilka lat przy pomocy pieniędzy podatników ma zostać zakupionych w sumie 46 667 sztuk rowerów elektrycznych. To nie jest liczba, która może przesądzać o jakichś zmianach nawyków transportowych.

Po co więc wydamy 300 mln zł z pieniędzy podatników? Ministerstwo w celach wpisało sobie rzeczy, które da się zmierzyć. Uznało, że wrzucenie na rynek dopłat do ok. 46 tys. pojazdów ma spowodować mniejsze emisje. CO₂ ma być przez to mniej 83 139 Mg/rok, pyłów PM₁₀ – 0,393 Mg/rok, a tlenków azotu – 283,24 Mg/rok.

Zatrzymajmy się chwilę. Przecież jeśli rowery rozejdą się z dopłatami po kraju, to nawet nie wiadomo, gdzie można by zmierzyć mniejsze emisje. Wszystko będzie więc tylko papierowym celem – teoretycz-

Kręcenie z elektrykami



Łukasz Zboralski

Rząd chce dopłacać z kieszeni podatników każdemu, kto kupi rower elektryczny. Czy to dobry pomysł?



FOT. ADRIAN STOK

nie spełnionym. Ale żeby nawet teoretycznie udowodnić zmniejszenie emisji, trzeba by choć udowodnić, że ci, którzy kupią rowery elektryczne z dopłatami, zamiast podróże samochodami na podróże ze wspieranym pedałowaniem. Nikt nie będzie w stanie tego zmierzyć. Przecież część rowerów kupią ci, którzy i tak już

mają rower elektryczny. Część kupią ci, którzy mają rower zwykły, a woleliby mieć wspomagany itd. W dodatku trudno nie zauważać, że prawie całą energię elektryczną w Polsce wytwarzamy wciąż z węgla, a to oznacza emisje do środowiska.

Program zakłada dopłaty do 5 tys. zł na zakup roweru elektrycznego i do

9 tys. zł na zakup roweru elektrycznego cargo lub wózka rowerowego. I nie sposób oprzeć się wrażeniu, że tak samo jak w przypadku dopłat do samochodów elektrycznych będzie niczym innym niż subsydiowaniem zamożnej części społeczeństwa przez tę biedniejszą. Samochody elektryczne są dużo droższe niż spalinowe – zatem kupują je ludzie relatywnie zamożni. Jednocześnie dopłaty pochodzą z podatków także tych, których stać na 10-letniego, używanego diesla.

Rower elektryczny nie jest tani. Można kupić samemu z Chin cały zestaw z silnikiem w kole i wymienić sobie te elementy w zwykłym rowerze za koszt do 2,5 tys. zł. Jednak jeśli ktoś chce mieć sprzęt ze sklepu, ten musi wydać od ok. 5 tys. zł do 10 tys. zł. A jeśli ma to być rower z wyższej półki, to jego cena wyniesie nawet kilkadziesiąt tysięcy złotych.

Zatem jeśli rowery elektryczne są wciąż stosunkowo drogie (będą taniały z czasem, ale rządowe dopłaty zawsze raczej powodują wzrost cen produktów subsydiowanych), to ich zakup, nawet z dopłatą, będzie częściej dostępny głównie dla zamożniejszych obywateli. Czy to nie prowadzi do pogłębiania nierówności społecznych, skoro dofinansowanie trafiać będzie głównie do osób, które już i tak stać na zakup takiego sprzętu?

Zwróć uwagę na dwie ciekawostki, które znalazły się w projekcie wyłożonym do publicznych konsultacji. Po pierwsze, trwałość projektu – tak to się urzędniczo nazywa – wyznaczono na dwa lata. Po tym okresie będzie można sobie z takim rowerem zrobić, co się chce. Na przykład sprzedać. Czyli bogaci dostaną dofinansowania, pojeżdżą i potem jeszcze dostaną pieniądze, jak sprzedadzą używany rower biedniejszym.

Po drugie, gdy ktoś taki rower zostanie skradziony, to może on ponownie ubiegać się o dofinansowanie. Tu widzę pewną zachętę do nieuczciwości, choć ta zostanie ograniczona – każdy rower z dopłatą będzie musiał zostać obowiązkowo oznaczony na policji poprzez wygrawerowanie numeru i wpisanie go do bazy rowerów.

Trzecia ciekawostka – oprócz osób prywatnych rękę po pieniądze podatników na ten cel będą mogły wyciągnąć samorządy. Czyli na rower elektryczny skusi się pewnie wielu wójtów czy prezy-

dentów miast albo radnych. Sfinansują to im oczywiście podatnicy.

Wśród przedsiębiorców, którzy będą mogli ubiegać się o takie dofinansowanie, wymieniono m.in. tych, którzy zajmują się transportem drogowym (czyli rowery będą mogły kupić np. firmy kurierskie), oraz osoby zajmujące się działalnością pocztową czy sklasyfikowaną jako „wypożyczanie i dzierżawa sprzętu rekreacyjnego i sportowego”. Zwłaszcza w tym ostatnim przypadku dla czego podatnicy mieliby finansować rozwój akurat takiego biznesu? Skoro będzie na niego zapotrzebowanie, to sfinansuje się on sam.

NIEBEZPIECZNE DLA SENIORÓW

Argument o tym, że system dopłat zachęci ludzi do przesiadania się z samochodów na rowery, jest kontrowersyjny. Bo dlaczego nie mogą przesiąść się na rowery tradycyjne – będzie to w ogóle zeroemisyjne (baterie elektrycznych rowerów trzeba będzie ostatecznie przeciw utylizować) i na pewno dużo zdrowsze. Tu kontrargumentem ma być to, że elektryczny rower w dojazdach do pracy pozwala na większy komfort, człowiek nie przyjeżdża tak zmęczony i spocony.

Dodatковым argumentem ma być ten, że dzięki dopłatom rowery elektryczne mogą kupić seniorzy. A to im w ogóle ułatwi przemieszczanie się, gdyż część z nich nie ma szans dojechać daleko, pedałując o własnych siłach. Pomijając to, że seniorzy nie są tą zamożną grupą, którą będzie na to stać nawet z dopłatami, jednak warto by wziąć pod uwagę to, co stało się w Niderlandach.

Tam właśnie rowery elektryczne wśród seniorów zaczęły być bardzo popularne. No i zaobserwowano gigantyczny wzrost liczby wypadków. Takim rowerem ludzie poruszają się szybciej, a w zaawansowanym wieku ich reakcje nie są już jednak tak błyskawiczne. Elektryczne rowery są też cięższe od tradycyjnych, co zwiększa ryzyko poważnych obrażeń w razie wypadku. Starsze osoby, które często korzystają z tych rowerów, są bardziej narażone na upadki z powodu problemów z równowagą, wolniejszych reakcji i ogólnej kruchości fizycznej. W rezultacie wypadki te często kończą się poważnymi urazami głowy, klatki piersiowej oraz kończyn,

co wymaga dłuższej hospitalizacji i bardziej intensywnego leczenia, a więc także dużo bardziej kosztownego.

Dodatkowo – na co wskazywano w publikacjach w Niderlandach – wielu rowerzystów nie zakłada kasków i nie zakłada ich także na rower elektryczny. Dlatego w tym kraju rozmawia się o ustanowieniu prawa, które zobowiązałoby do zakładania kasków użytkowników rowerów elektrycznych poruszających się z prędkościami powyżej 25 km/h (tu dodajmy, że polska prawna definicja roweru elektrycznego dotyczy pojazdów, które wspierają silnikiem pedałowanie tylko do prędkości 25 km/h).

Wydaje się, że – po pierwsze – zamiast tak zaplanowanych dopłat do elektrycznych rowerów w Polsce powinniśmy wydać te pieniądze efektywniej. 300 mln zł oczywiście nie pomoże nam poważnie rozbudować infrastruktury rowerowej, ale można by je przeznaczyć choćby na ekspertów, którzy wreszcie uporządkują prawo oraz system edukacyjny w tym zakresie.

Bo tak się składa, że w polskim Prawie o ruchu drogowym do dziś nikt nie napisał ani słowa o tym, jak zachować ma się rowerzysta dojeżdżający do przejazdu dla rowerów. Urzędnicy Ministerstwa Infrastruktury jakoś się do tego nie kwapią. A przejazdy rowerowe to szczególnie niebezpieczne miejsca – tam ruch rowerowy krzyżuje się z samochodowym i często dochodzi do zderzeń.

Po drugie, do dziś kształcenie przyszłych rowerzystów w szkołach podstawowych jest jednym wielkim bałaganem zrzuconym na barki nauczycieli, którym nikt w tym nie pomaga. Do dziś nikt nie pokusił się o sporządzenie jednolitych, aktualizowanych, mądrych testów na kartę rowerową. Dzieci uczą się często nieaktualnych przepisów i testuje na nie całkiem mądrych testach drukowanych z rozmaitych stron z Internetu. Nauczyciele nie mają też udostępnionej dobrej bazy wiedzy, która pozwalałaby im rzetelnie prowadzić taką naukę. Tu nie trzeba nawet milionów. Na wykonanie takiego zaplecza wystarczy setki tysięcy złotych.

Po trzecie, ludzie przede wszystkim muszą mieć bezpieczną i sensownie ułożoną w miastach infrastrukturę rowerową. A to w Polsce niestety wciąż poważnie kuleje.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Koniec pięknej epoki



FOT. AMERICAN STOCK ARCHIVE/GETTY IMAGES



Piotr Gociek

Teksty z tomu „Ostrożnie, proszę!” powstały, gdy życie i twórczość F. Scotta Fitzgeralda były już na równi pochyłej. Ale to wciąż teksty znakomite

Od nostalgii, przez rozczarowanie, do chwili, w której „popękałem jak stary talerz” – snuje Francis Scott Fitzgerald swoje rozważania o sukcesie, szalonych latach 20. poprzedniego wieku i wreszcie o starości. Choć przecież stary nie był ani gdy pisał te słowa, ani gdy umierał, licząc lat czterdzieści i cztery. Może więc nie starość, ale gorzka dojrzałość człowieka, który odkrył, że „to, co miał przed sobą, nie było tym daniem, które zamówił na piątą dekadę życia”.

Teksty, które znajdziemy w tomie „Ostrożnie, proszę!” (Czuły Barbarzyńca

Press 2024), wyjęto z obszerniejszego zbioru „The Crack-Up” (1945), który ukazał się pięć lat po śmierci pisarza. Była to książka grochu z kapustą ułożona przez krytyka literackiego i pisarza Edmunda Wilsona, prywatnie przyjaciela Fitzgeralda. To Wilson przygotował do druku ostatnią, nieukończoną powieść Fitzgeralda „Ostatni z wielkich” („The Last Tycoon”, 1941). Trochę żał, że w polskim wyborze ominięto inne fragmenty spuścizny autora „Pięknych i przeklętych”, które znalazły się w „The Crack-Up”: listy do pisarza od Gertrudy Stein, Edith Wharton i T.S. Eliota wychwalające „Wielkiego Gatsby’ego” czy utrzymane w podobnym tonie wystąpienia krytyczne na ten sam temat, m.in. Johna Dos Passosa. Szczęście w nieszczęściu – arcyciekawe listy Fitzgeralda do córki ukazały się w polskim przekładzie w 1982 r.

POTĘGA PIÓRA FITZGERALDA

Zachwycony jestem tomikiem „Ostrożnie, proszę!”, bo to wspaniałe przypomnienie potęgi pióra Fitzgeralda, niesamowitego talentu, którego nie

utracił mimo upływu lat i nieustających zmagani z alkoholizmem. Był jednym z największych amerykańskich stylistów XX w. i wszyscy, którzy przyszli po nim, są u niego zadłużeni (tak jak u Faulknera). Pierwsze dwa teksty – „Echa Ery Jazzu” i „Moje utracone miasto” – równie dobrze mogłyby być zaginionymi kawałkami „Wielkiego Gatsby’ego”. Zresztą posłuchajcie: „Była to era cudów, była to era sztuki, była to era przesyty i była to era satyry” albo: „W tamtym czasie moi rówieśnicy zaczęli znikać w ciemnej gardzieli przemocy. Na Long Island mój kolega ze studiów zabił żonę, a potem siebie; inny spadł »przez przypadek« z wieżowca w Filadelfii, a jeszcze inny, już umyślnie, z wieżowca w Nowym Jorku. Jeden z moich znajomych został zabity w nowojorskiej meelinie, a drugi doznał w podobnym lokalu poważnych obrażeń i doczołgał się do Klubu Princeton, aby tam umrzeć” („Echa Ery Jazzu”). „Ciemna gardziel przemocy” albo wrzucone kilka akapitów później „wiosną 1927 roku niebo rozbiłyśło czymś jasnym i nieznany” to znakomity Fitzgerald w najlepszej formie.

„Moje utracone miasto” to także hymn ku czci Nowego Jorku, owego centrum Fitzgeraldowskiego świata, w którym wirowały dziewczęce sukienki i tace pełne wykwinnych drinków. „Nowy Jork opalizował w sposób, który przywołał na myśl początek świata. Zdemobilizowane oddziały maszerowały w górę Piątej Alei, a dziewczęta instynktownie ciągnęły do nich z Zachodu i Południa – byliśmy najwspanialszym narodem świata; wszędzie panowała atmosfera festynu”. Jak notował Fitzgerald, była to „imponująca sceneria dla mojego życia”. A potem konfrontuje swoje młodzieńcze wspomnienia z chwilami późniejszymi o dwie dekady, by rzec: „Żegnam się z moim utraconym miastem. Widziane z pokładu promu wczesnym rankiem nie sączy już do ucha obietnic fantastycznych sukcesów i wiecznej młodości [...]. »Wróć, wróć do mnie migoczący nieskalany fantazmacie!«”.

Czyta człowiek i chciałby więcej, na szczęście jest co czytać, bo w ostatnich latach Bellona wznosiła powieści „Piękni i przeklęci”, „Czuła jest noc” oraz „Z tej strony raju” (znane też jako „Po tej stronie raju”), „Wielki Gatsby” zaś ma to szczęście, że jest wznawiany nieustannie – i zawsze nakład się wyprzedaje, niezależnie od wersji przekładu. Zdałoby się uzupełnić kolekcję nowym opracowaniem „Ostatniego z wielkich” – trzy polskie wydania oparte były na wersji Wilsona z 1941 r., tymczasem w roku 1993 ukazała się nowa, opracowana przez Matthew J. Bruccoliego, uznanego eksperta od Fitzgeralda (jego wersja nosi tytuł „The Love of the Last Tycoon”). Były liczne wybory opowiadań, ale żadnego porządnego, więc dalej jest na co czekać.

Wróćmy jednak do „Ostrożnie, proszę!”. „Zaprowadź pana i panią F. do numeru...” to tekst, pod którym podpisani są zarówno F. Scott Fitzgerald, jak i jego żona Zelda. Ukazał się oryginalnie 1 maja w 1934 r. na łamach „Esquire”. Małżonkowie od dawna wiodli osobne życie, Zelda często w rozmaitych sanatoriach dla poreperowania zdrowia psychicznego. W melancholijnym, błyskotliwym, acz smutnym eseju/opowiadaniu opisują niekończącą się listę rozmaitych hoteli, w których mieli okazję mieszkać, skacząc w czasie tam i z powrotem niby Billy Pilgrim z powieści Vonneguta

„Rzeźnia numer 5”. Kończą wyliczankę na Bermudach w roku 1933. „Na balustradach spały koty, wokół dorastały cudowne dzieci. Jeździliśmy na rowerach po wymiecionych przez wiatr ścieżkach”. I ostatnie zdanie: „Uznaliśmy, że Bermudy są dobrym miejscem, aby zakończyć naszą wieloletnią wędrówkę”. Cała opowieść ujawnia wszystkie warstwy dopiero wówczas, gdy przypomnimy sobie skomplikowane losy małżeństwa Francisa i Zeldy.

TRUDNA SZTUKA UNIKÓW

Wreszcie „Rozpad”, który dał tytuł tomowi zredagowanemu przez Edmunda Wilsona („The Crack-Up”). „Rozpad”, który wraz z „Trzeba się pozbierać” i tytułowym „Ostrożnie, proszę!” układa się w zadziwiającą, pesymistyczną spowiedź pisarza, który robi wrażenie gotowego na złożenie do grobu, bo nic go już nie cieszy. „Dzie się lat przed czterdziestymi dziewięć urodzinami uświadomiłem sobie nagle, że się przedwcześnie rozpadłem” – wyznaje Fitzgerald. Spowiedzi dokonał na łamach trzech kolejnych numerów „Esquire” (luty–kwiecień 1936 r.), ogólnikowo opisując wizyty u lekarza i nieciekawe

Ten ekshibicjonizm zdaje się chwilami męczący, a czasem szokuje, gdy Fitzgerald biczuje się bez opamiętania

diagnozy. Pół roku później Michel Mok z „New York Post” w artykule przedrukowanym jak Ameryka długa i szeroka ogłosił światu, że Fitzgerald jest chronicznym alkoholikiem, którego kariera literacka już się skończyła. Doprowadziło to autora „Wielkiego Gatsby'ego” do nieudanej próby samobójczej. W czasie, gdy pisał „Rozpad” i jego kontynuację, Fitzgerald był bankrutem, mieszkał w podrzędnym hoteliku i próbował – ze zmiennym szczęściem – pisać i sprzedawać opowiadania. Materialnym wybawieniem okazały się wkrótce przenosiny do Hollywood, gdzie zarabiał, pisząc scenariusze, i gdzie ostatecznie zmarł w roku 1940.

Dziwna to lektura. Epatuje Fitzgerald szczerością, a zarazem ćwiczy trudną

sztukę uników: omija siebie współczesnego, krytykuje zaś Fitzgeralda młodszego o lat 15 czy 20. A przecież niezależnie od przyczyn rozpadu największe wyzwania niesie teraźniejszość: przestać pić, pozbierać się, wrócić do pisania, zacząć znów żyć, po prostu. Jest to więc materiał dla biografów, jest to ciekawostka dla czytelników, a także materiał dla badaczy uzależnień: jakże łatwo rzucić odpowiedzialność za obecne biedy na młodzieńca hulakę, który dziś stał się „ponurym literatem piszącym artykuły na temat stanu emocjonalnego wyczerpania”.

Ten ekshibicjonizm zdaje się chwilami męczący, a czasem szokuje, gdy Fitzgerald biczuje się bez opamiętania, łącznie z twierdzeniem, że nie posiada osobowości, że nie umie kochać, lecz tylko udawać kochanie, że żył z innymi ludźmi. Konia z rzędem temu, kto rozróżni tu depresję od szczerości. Ale kolejne wyznanie – „Szybki sukces” – sprawia, że możemy spojrzeć na narzekania pisarza nieco przychylniejszym okiem. Oczywiście sam jest architektem swej ruiny, ale sporo uwag na temat katastrofalnych skutków zbyt szybkiej jazdy windą do literackiej sławy zdaje się trafnych. Choćby: „Przedwcześnie sukces wyzwała w człowieku niemal mistyczną wiarę w przeznaczenie jako przeciwieństwo siły woli – najgorzej, gdy człowiek zaczyna żyć napoleońskimi mrzonkami” – notuje Fitzgerald. „Ktoś, kto spełnia się w młodym wieku, wierzy, że świat jest posłuszny jego woli, ponieważ świeci jego gwiazda”.

I, co ciekawe, zaczyna pisarz (w tekście o półtora roku późniejszym niż „Rozpad”) błędów młodości bronić. „Nagrodą za bardzo wczesny triumf jest przekonanie, że życie to romantyczna przygoda. Człowiek pozostaje młody w najlepszym tego słowa znaczeniu. Gdy o najważniejsze cele w miłości i finansach nie musiałem się już starać, a chwiejna sława przestała mnie fascynować, miałem kilka ładnych lat do stracenia – lat, których nie jestem w stanie z czystym sumieniem żałować”. I ja to rozumiem. Z dwojga złego lepiej skończyć jak F. Scott Fitzgerald, oszołomionym przedwcześnie sławą, niż jak Martin Eden, który zabił się przekonany, że jego sława przysłała niezastępowanie i zbyt późno.

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Przeszło trzy dekady po śmierci Roman Wilhelmi wciąż jest aktorem rozpoznawalnym.

MAGDA JAROS: Utkwił w naszej pamięci za sprawą wielu kreacji. Popularność na przełomie lat 60. i 70. przyniósł mu Olgierd Jarosz w „Czterech pancernych i psie”. Serial systematycznie wznawia któraś ze stacji telewizyjnych, toteż aktor siłą rzeczy gości w naszych domach. Ale są również inne role, ważne i obecne. Choćby Fornalski w „Zaklętych rewirach”, dziennikarz radiowy w „Ćmie”, tytułowa w „Karierze Nikodema Dyzmy”, dozorca Stanisław Anioł w serialu „Alternatywy 4”, Jerzy Fryderyk Haendel w telewizyjnej adaptacji „Kolacji na cztery ręce” Paula Barza... Nie da się powiedzieć, która jest najlepsza, która dała Wilhelmiemu „nieśmiertelność”. Każdy z widzów powinien zdecydować o tym sam.

W Nikodema Dyzmę wcielił się, wygrywając – używając współczesnej terminologii – casting?

Chociaż trudno w to uwierzyć, to dwukrotnie odmówił tej roli. W wywiadach tłumaczył, że nie chciał wejść w buty Adolfa Dymy, który w tę postać wcielił się wcześniej. No i nie wiedział, jak rozdzielić aktorskie środki, żeby bohater z powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza był dla widzów ciekawy. W książce jest dość jednowymiarowy, po prostu grubianin i cham. Był jeszcze jeden powód: Wilhelmi bał się po raz kolejny wejść w serial, bo po „Czterech pancernych” trafił na kilka lat do „szuflady”. Ostatecznie pomógł fortel, którego użył jego przyjaciół, reżyser Maciej Domański. Skłamał, że Dyzmę zgodził się zagrać Jerzy Stuhr. To podziałało natychmiast. Z pożytkiem dla wszystkich, bo trudno wyobrazić sobie w tej roli innego wykonawcę.

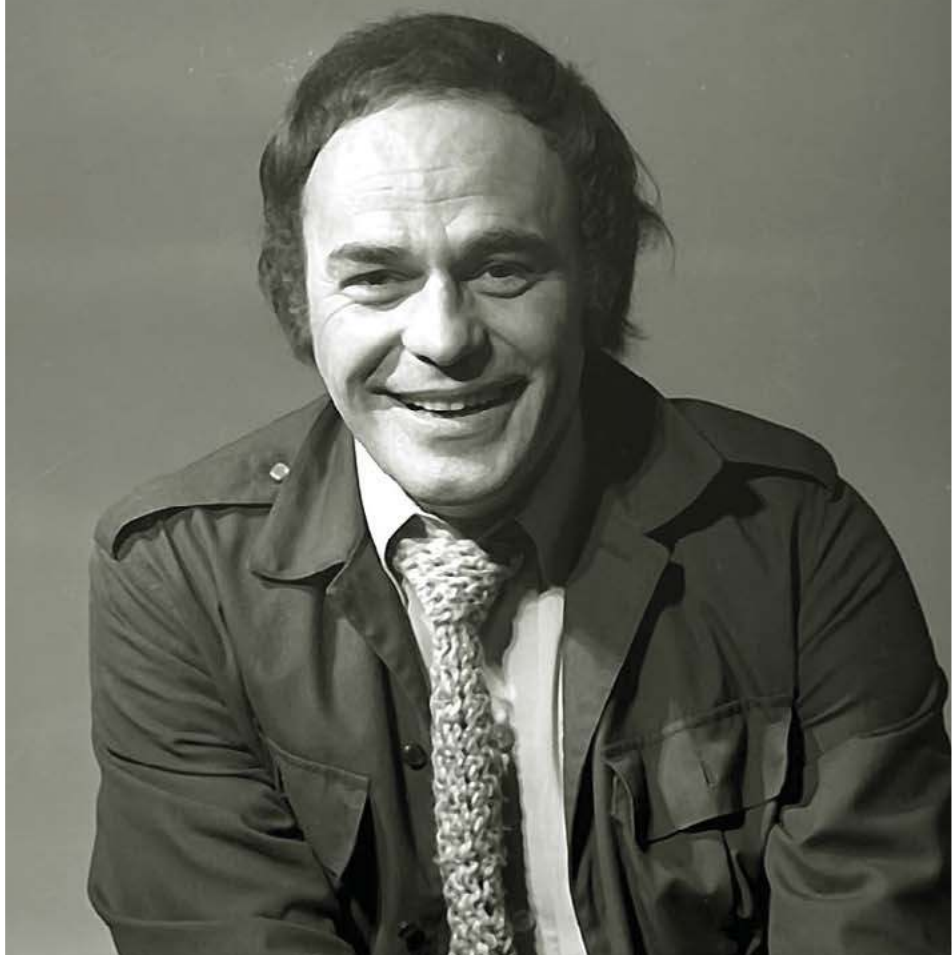
Chociaż w kinie także pokazał kunszt, dajmy na to Pochroń w „Dziejach grzechu” czy dygnitarz w „Bez znieczulenia”, niejednokrotnie firmował też knoty („Zapach psiej sierści”, „Okolice spokojnego morza”, „Kłątwa Doliny Węży”). Przyjmował rolę ze względów finansowych?

Ten aspekt także był ważny. Pamiętamy, że w latach 80., a wtedy powstały wymienione filmy, aktorzy zarabiali słabo. Gwiazdorskie stawki przyszły



Z Magdą Jaros, dziennikarką i pisarką
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Anioł i twardziel



FOT. MAC

dopiero po transformacji ustrojowej. Dodatkowo znajomi wspominają, że Wilhelmi pieniądze wydawał lekką ręką. Kiedy nimi dysponował, wydawał bez opamiętania. Tak więc często znajdował się w finansowej potrzebie. Myślę też, że on po prostu miał głód grania, zwłaszcza że przez dekadę występował niewiele, zarówno w teatrze, jak i w kinie. Mówił nawet, że nie miał na co zaprosić rodziców do Ateneum. Kiedy w końcu nadszedł jego czas, akceptował mnóstwo propozycji. Szkoda, że zabrakło przy nim mądrej osoby, agenta, który by powiedział, że ról poniżej jego talentu nie powinien przyjmować.

Najwybitniejszą kreację teatralną stworzył, zastępując kolegę?

Sam najbardziej cenił rolę „Peer Gynta” w sztuce Henrika Ibsena, którą zagrał w teatrze Ateneum. Ale „Lot nad kukułczym gniazdem” w Teatrze Powszechnym był w gigantycznym szlagierem. Po bilet na tę sztukę napisała przez Dale’a Wassermanna na kanwie sławnej powieści Kena Keseya pod tym samym tytułem kolejki ustawiały się od rana. Był też smaczek towarzyski. Pierwotny odtwórca postaci McMurphy’ego, Wojciech Pszoniak, wyjeżdżał do Francji. Plotkowano, że Wilhelmi oszalała, przystając na zastępstwo. Niektórzy koledzy po cichu liczyli, że się wyłoży. Kiedy zagrał świetnie, dla niektórych lepiej niż Pszoniak, przedmiotem spekulacji stała się gaża – 1,4 tys. zł za spektakl. To była niebotyczna kwota!

Macierzystą scenę porzucił ze względów ambycyjnych?

W „Ryszardzie III” Williama Szekspira miał zagrać rolę tytułową. Marzył o niej. Próby były zaawansowane, uszyto już kostiumy, Franciszek Starowieyski przygotował dekoracje, gdy Janusz Warmiński – dyrektor teatru Ateneum i reżyser inscenizacji – zdecydował, że zmienia obsadę. Ryszard III miał zostać Jan Świdorski. Wilhelmiemu tak to rozłożyło się, że wystąpił o bezpłatny urlop, a potem odszedł z teatru. Co ciekawe, premiera przedstawienia nigdy się nie odbyła. Zespół stanął po stronie Wilhelmi i nie chciał przy tym spektaklu współpracować ze Świdorskim. Trudno powiedzieć, kto na tym rozstaniu stracił

bardziej: teatr Ateneum czy Roman Wilhelmi. Chcę wierzyć, że ten pierwszy.

Jak to się stało, że wybrał aktorstwo?

Wspominał, że zdecydował się na ten fach już w szkole podstawowej, u księży salezjanów w Aleksandrowie Kujawskim, gdzie w teatryku zagrał w jasełkach Jezusa. Podobno usłyszał szmer zachwyty publiczności i wiedział, że to jest to. Ale faktycznie bardzo konsekwentnie dążył do zawodu. Skończył Szkołę Technik Teatralnych w Poznaniu i wreszcie Państwową Wyższą Szkołę Teatralną w Warszawie. Z wielką determinacją osiągnął to, co sobie założył.

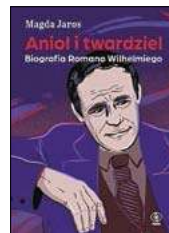
Artystycznie mógł się chyba czuć usatysfakcjonowany. A rodzinie?

Nie przypuszczam, żeby czuł się spełniony aktorsko. To był typ, który chciał więcej i był nienasycony. O ile jednak, będąc aktorem, był nagradzany, odnosił sukcesy, o tyle jego prywatne życie nie było udane. Dwie żony wystąpiły o rozwód, dla jednego syna nie był dobrym ojcem. Na te katastrofy miała wpływ sztuka. To ona zawsze była na pierwszym miejscu, życie, rodzina i codzienne sprawy zawsze łądowały na dalekim tle.

Za kołnierz nie wylewał...

W tamtych czasach pili wszyscy, alkohol był jednym ze sposobów na przynębiającą rzeczywistość i komunę. Podobno Wilhelmiemu wyradniała wyjątkowo mocna głowa i rzadko się upijał, niemniej zdarzały mu się poważniejsze wpadki. Kiedyś przyszedł grać wyjazdowy spektakl „Kogel-mogel” w stanie mocno wskazującym. Partnerująca mu Iga Cembrzyńska wściekła się tak bardzo, że zagroziła odwołaniem przedstawienia. Za zwrócone bilety miał zapłacić Wilhelmi. Trzeba było wezwać pogotowie, podać kroplówkę i postawić Wilhelmięgo na nogi. Szkoda, że alkohol zniszczył mu zdrowie i ostatecznie życie. Zmarł, mając zaledwie 55 lat. Nas, widzów, pozbawił wielu ról, które mógłby zagrać.

Ślady opisywanego odnalazła pani również w archiwaliach Instytutu Pamięci Narodowej...



MAGDA JAROS
„ANIOŁ
I TWARDZIEL”
REBIS 2024

Kierując samochodem pod wpływem alkoholu, został zatrzymany przez drogówkę i stracił prawo jazdy. Szybko zainteresowała się nim Służba Bezpieczeństwa. Wilhelmi był dla niej łakomym kąskiem z racji przynależności do zespołu teatru Ateneum. Bardzo rozpolitykowanego. W zamian za zwrot dokumentu został zarejestrowany jako kandydat na Tajnego Współpracownika.

Z esbecją musiał potem prowadzić jakąś grę, bo po prawie dwóch latach werbujący go oficer zanotował w aktach, że Wilhelmi nie przejawia cech psychofizycznych, niezbędnych dla TW. W aktach nie ma śladu, aby donosił, komuś zaskodził czy inkasował pieniądze. Dla mnie, autorki jego biografii, to była ulga.

Odnalazłby się w telenowelach albo sitcomach?

Zdecydowanie nie, jestem przekonana, że tej granicy w aktorstwie by nie przekroczył. Zwłaszcza że w takich produkcjach nierzadko pojawiają się półamatorzy, a w stosunku do słabych partnerów Wilhelmi potrafił być bezlitosny. Werbalnie tego nie okazywał, lecz całym sobą manifestował, że nie ma z kim grać. Myślę, że wzięłby sprawy we własne ręce i produkował spektakle, w których chciałby grać. Razem z Grażyną Barszczewską zagrałi w świetnej sztuce Williama Gibsona „Dwoje na huśtawce”. W poznańskiej Scenie na Piętrze wyreżyserował ją Kazimierz Kutz. Potem aktorzy jeździli z tym przedstawieniem po Polsce i byli w tym prekursorami. Wydaje mi się, że Wilhelmi poszedłby tą drogą. Ale może zaskoczyłby nas w jakiś inny sposób?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Magda Jaros – dziennikarka i pisarka, autorka książek „Pojednanie ze złem” (razem z Leonem Weintraubem), „Oddam matkę w dobre ręce”, „Ty pieronie! Biografia Franciszka Pieczki” i najnowszej: „Anioł i twardziel. Biografia Romana Wilhelmięgo”.



FOT. MATERIAŁ PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE



No i co, że smoki



★★★★★
SEZON 2
„DOM SMOKA”
 („HOUSE OF
THE DRAGON”)
USA 2024

Przygotowania do nakręcenia pierwszego odcinka „Gry o tron” trwały kilka lat. W tym czasie HBO odrzuciła nakręcony już pilot serialu, a twórcy serialu – David Benioff i D.B. Weiss – spędzili dwa lata, pisząc na nowo scenariusz epizodu otwierającego późniejszy hit. Nie wiem, ile pisano drugi sezon „Rodu smoka”, ale myślę, że gdyby ktoś kiedyś przyszedł z takimi atrakcjami do HBO, by zachęcić stację do inwestycji, to wyrzuceni zostaliby za drzwi. Czekałem z tą recenzją, by nie wystawiać oceny pochopnie, ale nie mam już na co czekać: drugi sezon „Rodu smoka” może i jest bardzo drogi, ale jednocześnie jest bardzo zły. Zapomnijcie o błyskotliwych dialogach, które pamiętamy z „Gry

o tron”, zapomnijcie o świetnie nakreślonych postaciach drugoplanowych, zapomnijcie o misternych intrygach wewnątrz intryg. Cofnęliśmy się blisko o dwa wieki, by ujrzyć upadek Targaryenów. OK. Tyle tylko, że przy okazji cofnęliśmy się w rozwoju sztuki narracyjnej.

Sezon pierwszy był niezły, choć złamany konstrukcyjnie w dwóch miejscach: podczas przeskoaku akcji z dzieciństwa do dorosłości Alicent i Rhaenyry oraz w odcinku siódmym („Driftmark”), który tak naprawdę powinien być odcinkiem pierwszym, bo to, co wcześniej, mogło być sprzedane w dialogach, zmuszając widzów do samodzielnego odtworzenia kluczowych wydarzeń (tak jak w „Grze o tron”

rekonstruowaliśmy prawdziwe dzieje rebelii Roberta Baratheona oraz sekret pochodzenia Jona Snowa). Sezon drugi jest nudny i prostacki, walka o tron pełna działań idiotycznych, podejmowanych tylko dla wygody scenarzystów. Główne figury przechadzają się, wygłaszając drętwe dialogi, i powtarzają w kółko to samo, postaci, które zdawały się ciekawe w sezonie pierwszym (jak kanclerz Otto Hightower), są już jednowymiarowe. Szczwany Larys jest cieniem Varysa, konflikt braci Arryka i Erryka to parodia smutnych dziejów Sandora i Gregora Clegane’ów.

Jedyne, co pozostaje, to smoki i sceny batalistyczne. Długo trzeba na nie czekać, a kiedy już orgia zniszczenia rozpęta się na ekranie, też nie jest tak emocjonująca jak najlepsze bitewne odcinki „Gry o tron”. Potem znów przychodzi czas nudy, drętłych dialogów oraz czekania na smoki. HBO zapowiada trzeci sezon. Już mi się nie chce czekać. ©©



NOWE SERIALE: „W POSZUKIWANIU CZARLA”

Uroczą animacją dla nieco młodszych widzów, ekranizacją pierwszego tomu trylogii autorstwa Tony’ego DiTerlizziego. Eva, nastolatka urodzona i wychowana w podziemnym bunkrze, odkrywa cuda przyszłej Ziemi, zamieszkałej przez niezwykle istoty i rośliny z innego świata. Nie tak mroczna

jak „Fallout”, nie tak szalona jak „Kipo i Dziwozwierze”, rzecz bardziej w klimacie kreskówek Pixara czy DreamWorks. ©©

Piotr Gociek

• sezon 1 „W poszukiwaniu CzarLa” („WondLa”), USA 2024



NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- sezon 1 „Most zbrodni” („Under the Bridge”), USA 2024
- sezon 3 „Wina” („Guilt”), Wielka Brytania/Szkocja 2023
- reż. Peter Segal „Mój przyjaciel szpieg” („My Spy: The Eternal City”), USA 2024



Diabeł w Hollywood

KINO

Film w filmie, czyli Ti West na tropie Briana de Palmy, naśladowcy Hitchcocka. Akcja rozgrywa się w 1985 r., więc jest czego posłuchać.

Panna z branży porno stara się o angaż w sequelu satanistycznego horroru „Purytanka”. W realu zdarzały się takie kariery, nie bez powodu okrzyknięto Hollywood nowym Babilonem. Dziewczę wpada w oko równie ambitnej reżyserce. „Maxxxine” też próbuje być słasphemem z wyższej półki, zawiera jednak samobójczy ładunek autoironii. Nieprzypadkowo bohaterka, spacerując po Walk of Fame, gasi peta na gwiazdzie Thedy Bary, pierwszej ekranowej femme fatale. Pastisz wbrew pozorom jest wymagającym gatunkiem. Jeszcze trudniej łączyć

straszenie z rozbawianiem. Nawet świętej pamięci Wes Craven miał z tym kłopoty. Ti West, skoncentrowany na przedrzeźnianiu poprzedników, mroczne aspekty fabuły po prostu odfajkował.

Znalazł jednak idealną muzę. Nie dam sobie ręki uciąć, że typek grany przez Kevina Bacona to najbardziej obrzydliwy prywatny detektyw dekady (bo konkurencja jest spora), lecz Mia Goth z pewnością zasługuje na berło królowej straszego kina. W „Maxxxine” nie usłyszycie jej krzyku. O łaskę skomlą tylko panowie, na tyle głupi, by podnieść rękę na siostrę Furiosy – twardzielki z przeszłością, która do celu zmierza po trupach. Jakie czasy, taka heroina. ©©

Wiesław Chełminiak



★★★★★
REŻ. TI WEST
„MAXXXINE”
USA/NOVA
ZELANDIA/
KANADA 2024

wyst. Mia Goth,
Elizabeth Debicki,
Kevin Bacon

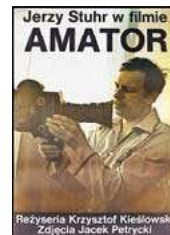


FOT. MATERIAŁY PRACOWNE

FILIP Z KONOPI

35mm

Mówisz: Stuhr, myślisz: Kieślowski. Obaj już nie żyją. Razem stworzyli „Amatora” – jeden z najważniejszych filmów w historii polskiego kina. Opowieść o cenie, jaką musi zapłacić dokumentalista, który za bardzo zbliży się do prawdy, tudzież obywatel zapomniący o porządku dziobania w 1979 r., miała siłę pocisku. Zaopatrzeniowiec Filip był mniej wyrazistą postacią niż Lutek z „Wodzireja”, lecz właśnie ta rola zdecydowała o przyszłości Stuhra. Wcześniej z powodzeniem ograł swoją vis comica w „Spotkaniach z balladą” i na festiwalu w Opolu. Cytując redaktora z telewizji: „Pracował w usługach”. Z czasem poszerzył aktorskie emploty, lecz reżyserzy nie bardzo umieli zagospodarować talent oraz energię pana Jerzego. Postanowił więc ich wyrzucić, wejść w buty mentora. Wyszło, jak wyszło, natomiast „Amator” zachował blask. A w gabinetach nadal pokutuje przekonanie, że „ludzie nie dorosli do tego, żeby wiedzieć”. ©©



★★★★★
REŻ. KRZYSZTOF
KIEŚŁOWSKI
„AMATOR”
POLSKA 1979

wyst. Jerzy Stuhr, Małgorzata Ząbkowska,
Stefan Czyżewski

SABINKI Z OREGONU

prime video

W połowie XIX w. życie na Dzikim Zachodzie było ciężkie. Podobno na jedną kobietę przypadało 10 mężczyzn. Tytułowi bracia, chłopcy na schwał, wzorem starożytnych Rzymian umyli więc porwać dziewczęta z sąsiedniego miasteczka. Film Donena, oglądany 70 lat po premierze, sprawia radość pogrobowcom patriarchy: dziewczęta z ekranu nie marzą o niczym innym, jak o zamążpójściu, sprzątaniu, pichceniu smacznych posiłków i niańczeniu dzieci. W wolnych chwilach czytają Biblię i klasyków historiografii. Amerykanie (i nie tylko) kochali western. Mógł być komedią, melodramatem, musicaliem, a oni i tak chcieli go oglądać. Dzisiaj pocziwość, tylna projekcja i krajobrazy malowane na kartonie są démodé. Muzyka, nagrodzona Oscarem, wydaje się banalna. Nie zestarzała się natomiast choreografia. Kowboje tańczący zbrojnickiego – to jest to! Zamiast puenty – żarcik: „Na co mi maniery? Mam żonę”. ©©



★★★★★
REŻ. STANLEY
DONEN
„SEVEN BRIDES
FOR SEVEN
BROTHERS”
USA 1954

wyst. Jane Powell, Howard Keel,
Russ Tamblyn

Wiesław Chełminiak

GRA TYGODNIA: „FINAL FANTASY XIV DAWNTRAIL”

Piąte już duże rozszerzenie do „Final Fantasy XIV”. Oprócz wątku fabularnego przynosi graczom nową krainę, kolejne klasy postaci, a także pewne ulepszenia graficzne. Żadnych rewolucji, raczej ewolucja, i to – zdaniem wielu graczy –

bardzo zachowawcza. Na plus walki z bossami. Widać, że w tym aspekcie twórcy się przyłożyli. Są dynamiczne, wymagają kreatywności i sprawiają wiele frajdy. No a przecież na tłuczeniu dungeonów i triali fani gry spędzą sporo czasu. Ale jasno trzeba sobie



FOT. MATERIAŁY PRACOWNE

powiedzieć, że nie jest to najlepszy dodatek w historii „FF XIV”. ©©

Radosław Wojtas

- **Gatunek:** MMORPG
- **Platforma:** PS5, PS4, XSX, PC
- **Producent, dystrybutor:** Square Enix

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Nasza chata z kraja

Naczelny cel ruchu ochotniczego był jasny dla wszystkich: dotrzeć do Moskwy, obalić bolszewików i wyzwolić Rosję – jasno stawiał sprawę w wydanej po raz pierwszy po polsku „Białej Armii”, przeznaczonym dla cudzoziemców skrócie czterotomowej pracy o rewolucji i wojnie domowej w Rosji, Anton Denikin, dowódca rosyjskiej Armii Ochotniczej, wróg bolszewii, którą podsumowywał słowami skazanego na śmierć gen. Nikołaja Ruzskiego: „Nie dostrzegam tu nic poza wielkim bandytyzmem”.

Denikin odniósł spektakularne sukcesy w roku 1918 i w następnym szykował się do ofensywy na Moskwę, którą jednak w pierwszym rządzie uniemożliwiło – o czym pisał z goryczą i wyrzutem – postępowanie nie kogo innego, jak Józefa Piłsudskiego. To on na mocy tajnego układu wstrzymał działania wojenne przeciwko bolszewikom, dzięki czemu mogli oni rzucić wszystkie swoje siły na „białych”.

„Z rosyjskiego punktu widzenia – grzmi Anton Denikin – taki akt ze strony rządzącego w Polsce marszałka Piłsudskiego może budzić jedynie najgłębsze oburzenie. A jednak, może miało to służyć interesom narodu polskiego? Historia odpowiedziała już na to pytanie: sześć miesięcy później hordy bolszewickie, szerząc terror i spustoszenie, zbliżyły się do Warszawy, stawiając odrodzoną Polskę wobec widma upadku”.

Losy wojny jednak, jak wiadomo, odwróciły się: „Pod koniec sierpnia, dzięki przeniesieniu części wojsk bolszewickich na front krymski i dzięki pomocy Francuzów, Polacy rozgromili bolszewików. Armie Czerwone uciekały w popłochu [...]”.

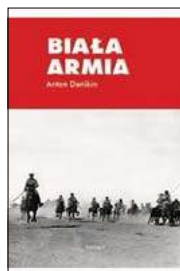
Anton Denikin już w kwietniu zrzekł się dowództwa na rzecz gen. Piotra Wrangla, a sam na pokładzie brytyjskiego okrętu opuścił Krym, udając się przez Konstantynopol na emigrację, gdzie zmarł w 1947 r. Nigdy nie krył, że – jako rosyjski patriota – prześlągnięty był ideą jednej niepodzielnej Rosji. A to wiele wyjaśnia. Nawiasem mówiąc, urodził się on w 1872 r. we Włocławku, gdzie pochowany został jego ojciec, chrzest prawosławny przyjął w Łowiczu, a matka Antona Elżbieta Wrzesińska była Polką. Ukończył Akademię Sztabu Generalnego. Pierwsze stanowiska dowódcze objął w Brześciu Litewskim i Warszawie. To w tym pierwszym 3 marca 1918 r. miało dojść do – jak pisał we wspomnieniach – „zawarcia układu pomiędzy państwami centralnymi a rządem sowieckim, na samo wspomnienie którego boleść i gorzkie upokorzenie odzywają się w sercu każdego prawdziwego Rosjanina”. Najpewniej zdecydowana większość „prawdziwych Rosjan” z satysfakcją przyjmowała późniejsze zapowiedzi Antona Denikina, że w przyszłości „nie odda Polsce ani piędzi ziemi rosyjskiej”. A o kształcie przyszłej Polski, której jakąś formę niepodległości dopuszczał, zadecydować miała rosyjska konstytuanta i nikt poza nią.

Nie dziwi więc, że dla Józefa Piłsudskiego „biała” neoimperialna Rosja była równie nienawistna jak ta dawna – carska i ta wynurzająca się dopiero z krwawej wojny domowej – bolszewicka. Nie chciał wchodzić z nimi w żadne kompromisy ani tym bardziej sojusze, co najwyżej mógł toczyć negocjacje o przyszłym kształcie granic. Pamiętać również trzeba o tym, co wyluszczył w swojej pracy „Polska i trzy

Rosje” prof. Andrzej Nowak: „Jako Naczelny Wódz Wojska Polskiego i Naczelnik Państwa sprzymierzonego z ententą Piłsudski prowadził w rzeczywistości wojnę z bolszewikami o polskie rubieże wschodnie, ale też miał wciąż otwartą drogę do przekształcenia jej w wojnę z Rosją (rosyjskim imperializmem) o wyzwolenie narodów dawnych Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej i związanie ich z Polską”.

Tak właśnie by było, a o tym, co naprawdę myślał Józef Piłsudski o Rosji, jaka by ona była, najlepiej świadczy to jego, mocno niepoprawne politycznie, wyznanie, które uczynił 13 listopada 1919 r. w Belwederze hr. Michałowi Kosakowskiemu, podczas audjencji udzielonej temu negocjatorowi w rozmowach z bolszewikami: „Zarówno bolszewikom, jak i Denikinowi jedno jest tylko do powiedzenia: Jesteśmy potęgą, a wyście trupy. Mówiąc inaczej językiem żołnierskim: dławcie się, bijcie się, nic mi to nie obchodzi, o ile interesy Polski nie są zahaczone. A jeśli gdzieś zahaczycie je, będę bił. Jeśli gdziekolwiek i kiedykolwiek was nie biję, to nie dlatego, że wy nie chcecie, ale dlatego, że ja nie chcę. Lekceważę, pogardzam wami. Jesteście pogrążeni w rękach Żydów i junkrów niemieckich, nie wierzę wam, waszemu gatunkowi ludzkiemu. O jakichkolwiek tedy stosunkach lub rozmowach dyplomatycznych mowy być nie może, bo ich warunkiem podstawowym są wiara i dyskrecja, a wy nie zasługujecie na jedno, nie znacie drugiego, zdradzacie cywilizację, własny kraj i jeden drugiego”.

Cokolwiek by powiedzieć, to mieliśmy kiedyś przywódców z prawdziwego zdarzenia. ©



★★★★★
ANTON DENIKIN
„BIAŁA ARMIA”
DEREGGIO,
WARSZAWA 2024



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

W ciemnościach

Czterech przyjaciół wyrusza w podróż do Arizony, by szukać tajemniczego klasztoru zamieszkanego przez wybrańców, którzy obdarzeni zostali nieśmiertelnością. Życie wieczne dostępne jest dla każdego o tyle, o ile tylko gotów jest, by zaryzykować życiem doczesnym. Wedle „Księgi czaszek”, manuskryptu sprzed wieków, do ostatecznej próby musi przystąpić czterech śmiśków. Jeden poniesie śmierć z własnej ręki, jeden zostanie zamordowany przez towarzysza podróży – dwóch pozostałych otrzyma bezcenny dar.

Czy to ponury żart czy prawdziwa szansa? Jedna z najlepszych powieści (jeśli nie najlepsza) Roberta Silverberga nie daje jednoznacznej odpowiedzi. Książka zaliczana jest do fantastyki, lecz wszystkie wypadki, których jesteśmy świadkami, da się wyjaśnić całkowicie racjonalnie. Reszta to kwestia interpretacji. Słusznie więc zauważa w przedmowie tłumacz Krzysztof Sokołowski (odwołując się do Umberto Eco), że jest to jedna z nielicznych w dziejach fantastyki powieści spełniających warunki dzieła otwartego.

Jednocześnie rzecz jest wyśmienita literacko. Czterech bohaterów to jednocześnie czterech różnych narratorów,

którzy na zmianę przedstawiają swój punkt widzenia, dzieląc się marzeniami i traumami. Silverberg po mistrzowsku kreśli ich psychologiczne portrety. Ich portrety to Ameryka w pigułce: jest tu dumny przedstawiciel WASP-owskiej elity, jest imponujący tężyzną fizyczną wieśniak z Midwestu, jest pełen kompleksów (niczym daleki kuzyn Portnoya) żydowski intelektualista, a do kompletu homoseksualista o artystycznych ciągach.

Na naszych oczach autor dokonuje bezlitosnej i wiwisekcji postaci, które im więcej o nich wiemy, tym okazują się mniej sympatyczne. Ważne pytania pozostają bez odpowiedzi, ocena należy do czytelnika – każdy z wędrowców zasługuje na potępienie. Ale czy którykolwiek na wieczne życie? A może to wszystko pułapka demiurga i właśnie wymierzona nieśmiertelność będzie dla ocalałych karą? Droga do ostatecznej próby bohaterów wiedzie przez parodię rytuału spowiedzi, lecz próżno szukać pokuty, obietnicy poprawy i szansy na odkupienie. W ponurym świecie bez Boga mroków ludzkiej duszy nie rozjaśni nic, a wieczność to tylko szyderstwo. Wiele rzeczy zjeży włosy na głowie czytelnikowi „Księgi czaszek”, ale ta ostatnia – najbardziej. ©



★★★★★
ROBERT SILVERBERG
„KSIĘGA CZASZEK”
VESPER 2024

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Jedna z mniej znanych eseistycznych książek autora „Żartu”, a bez wątpienia warta lektury. Dużo o literaturze, trochę o muzyce, sporo o historii, wzrusza szczególnie krótki tekst o małżeństwie Skvoreckych.



MILAN KUNDERA
„SPOTKANIE”
W.A.B.

Wybory do europarlamentu mogły przynieść wygraną prawicy, potwierdziły jednak status quo. W takim razie co dalej? Czy skończą się próby budowy superpaństwa wbrew woli dużej części krajów i wyborców?



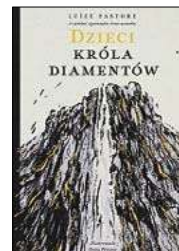
DARIUSZ LIPIŃSKI
„CZY UNIA EUROPEJSKA PRZETRWA ROK 2024?”
ZYSK I S-KA

Choć tytuł podpowiada podobieństwo do „Lata z Homerem” i „Lata z Rimbaudem” Sylvaina Tessona, to tym razem dostajemy obszerny komentarz subiektywny do dzieła renesansowego myśliciela, słynnych „Prób”.



ANTOINE COMPAGNON
„LATO Z MONTAIGNE'EM”
NOIR SUR BLANC

Przepięknie ilustrowana opowieść (autorstwa Eviji Pintany) o skarbach Wenezueli, inspirowana życiem łotewskiego podróżnika Aleksandra Laimego. Dla młodszych czytelników, ale spodoba się i dorosłym.



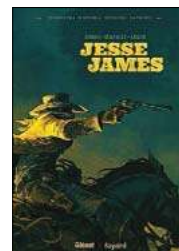
LUIZE PASTORE
„DZIECI KRÓLA DIAMENTÓW”
WYDAWNICTWO WIDNOKRĄG

recenzuje Piotr Gociek

KOMIKS TYGODNIA:

„JESSE JAMES”

Z cyklu „prawdziwa historia Dzikiego Zachodu”: nie „amerykański Robin Hood”, lecz ponury mściciel, który najpierw szukał pomsty za śmierć ojca, potem stał się członkiem bandy byłych konfederatów wymierzających „sprawiedliwość Jankesom”, by ostatecznie zarabiać krocie na rabowaniu



CHRIS REGNAULT, DOBBS
„JESSE JAMES”
SCREAM COMICS 2024

banków i zginąć w niesławie. Plus obszerny materiał historyczny Farida Ameura.

Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Rozpętać sztukę

Trudno uwierzyć, że ten artysta, obecny na scenie od pięciu dekad, nie miał jeszcze dużej przeglądowej wystawy w warszawskiej publicznej galerii – pisze Krystyna Różańska-Gorgolewska, kuratorka wystawy prac Jerzego Kaliny „Rozpętać sztukę”. A dlaczego nie miał? Zapewne po części ze względu na podejmowaną tematykę. „Kalina nawiązuje do najbardziej bolesnych, trudnych

i wrażliwych momentów historii Polski, takich jak powstania narodowe czy katastrofa pod Smoleńskiem”. Sorry, taki mamy klimat.

Wystawa jest retrospektywą, z akcentem położonym na twórczość Kaliny z lat 70. i 80. Kiedy to – jak pisze Krystyna Różańska-Gorgolewska – tworzył „w nurcie neoawangardy, który Kalina nasycił oryginalnym duchem wywiezionym z romantycznej tradycji polskiej kultury”.

Oczywiście są i prace nowsze, i najnowsze. A jako że Kalina znany jest również z plenerowych działań, z jego twórczością spotkać można się w niejednym polskim mieście. ©©

GDZIE? Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski w Warszawie
KIEDY? do 29 września



FOT. CSW ZAMEK UJAZDOWSKI



FOT. MUZEUM MIASTA GDYNI

W GDYNI NIE PADA

Zakłęcie kuracjuszy wzięto na tytuł wystawy historyczno-sensorycznej będącej „hołdem i listem miłosnym do gdyńskiego letniska na przestrzeni pierwszego trzydziestolecia XX w.”. Wystawę stworzono tak, by komfortowo i swobodnie czuli się na niej młodzi odwiedzający. „To odejście od przeladowanych multimediami ekspozycji muzealnych. To wystawa pełna eksponatów i ich replik, stworzonych specjalnie z myślą o najmłodszych odbiorcach, którzy potrzebują fizycznego kontaktu z przedmiotem” – piszą autorzy. ©©

GDZIE? Muzeum Miasta Gdyni
KIEDY? do 28 lutego 2025 r.



★★★★★
**MATEUSZ
SMOCZYŃSKI**
„ADAM'S APPLE”
WARNER

Współzałożyciel Atom String Quartet nagrał dwa koncerty skrzypcowe. Tytułowy, orkiestrowy, inspirowany twórczością Johna Adama, jest autorstwa Smoczyńskiego, a „Koncert jazzowy” napisał Zbigniew Seifert przed 51 laty.



★★★★★
MDOU MOCTAR
„FUNERAL
FOR JUSTICE”
MATADOR

Tuareg z Nigru uważany jest za zachodnioafrykańskiego Hendriksa. Łączy puystynnego bluesa z ryczącymi, hardrockowymi zagrywkami. Z pasją wzywa, w języku tamasheq, do walki z kolonialną opresją oraz opowiada o dramacie rodaków wypędzanych z Mali, Nigru i Algierii.



GRZEGORZ
BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Zmysłowy orient

Arooj Aftab urodziła się przed 39 laty w Rijadzie w Arabii Saudyjskiej, dokąd jej rodzice wyemigrowali z Pakistanu. Dziś jest wyzwoloną obywatelką świata. Śpiewa w urdu i po angielsku.

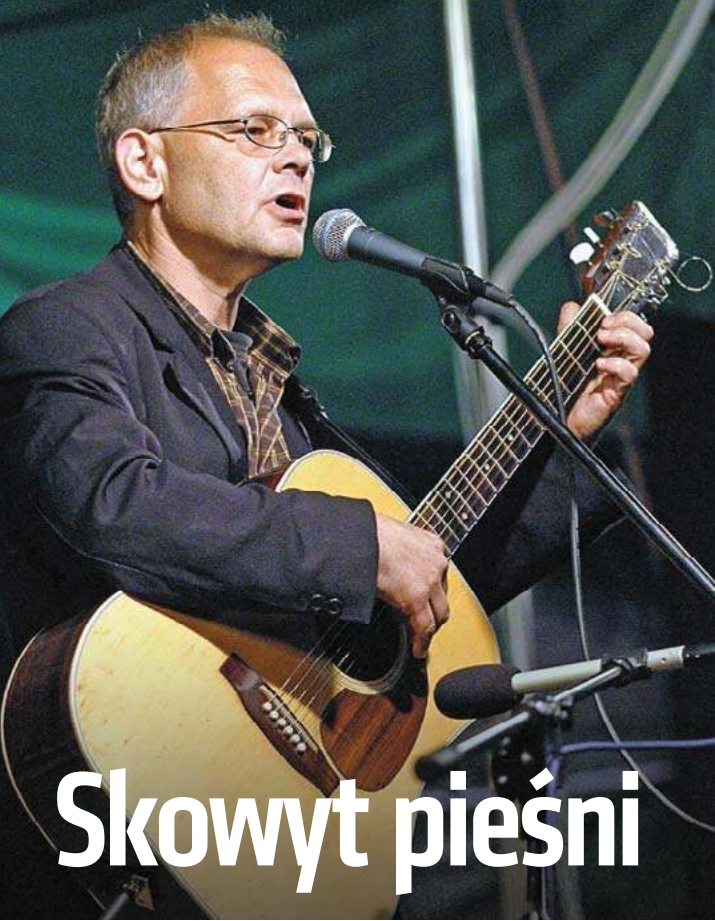
Już pod względem instrumentalnym płyta jest bardzo ciekawa. Oprócz klasycznego składu instrumentów jazzowych usłyszymy w nagraniach harfę, wibrafon, tubę, flet oraz deklamacje Moor Mother i Chocolate Geniusa. Różnorodność brzmieniowa ma odzwierciedlać mnogość duchów, które rządzą nocą. Przy czym Arooj interesują te, których domeną jest pożądanie. Wokalistka śpiewa dwa wiersze XVIII-wiecznej, hinduskiej poetki i kurtyzany Mah Laqa Bai, fragment

poematu XIII-wiecznego wieszczki perskiego Rumi'ego, a także piosenkę aktorki Yasry Rizvi. Interpretuje standard jazzowy „Autumn Leaves”. Natomiast folkowa „Whiskey” jest współczesną balladą, w której Aftab opisuje fizyczny powab odurzona napojem kochanka.

Pakistanka przeważnie śpiewa delikatnie, ale dzięki wielowarstwowym nakładkom głosu buduje wspaniałe przestrzenie. Do śpiewu dodaje rozbudowane harmonie instrumentalne, dzięki czemu zwiększa dramaturgię utworów, przy czym jednym z głównych narratorów jest harfa. „Night Reign” to fascynująco zaaranżowana i bardzo zmysłowa płyta, a Arooj Aftab jest obecnie jedną z najciekawszych poszukujących artystek. ©©



★★★★★
AROJ AFTAB
„NIGHT REIGN”
VERVE



Skowyt pieśni



Krzysztof Masłowski

Bodaj pierwszym zarejestrowanym nie na płycie nawet, a na wydanej w końcu lat 70. przez Tonpress kasecie była dziwnie zatytułowana piosenka „Pozytywka elektryczna z elementami łagodnej perswazji AD 1976” z jakże znaczącym w tamtym czasie przesłaniem:

*Gaście światła, obywatele
Elektrownie czekają na prąd
Jasna przyszłość naszym jest celem
Lepiej będzie widoczna stąd.*

Rzecz nawiązywała do sławnego przedśmiertnego wezwania Goethego: „Więcej światła”, a już całkiem wprost odwoływała się do propagowanej przez władze oszczędności energii elektrycznej, co wyrażać miało zgrabne, zdaniem tychże władz, hasło: „Kilowaty nie na straty”. Piosenka jako prześmiewcza w radiu i telewizji nie miała prawa zaistnieć, dopusz-

czona jednak została do wykonania na studenckim festiwalu w Krakowie, a nawet została tam nagrodzona, dostępując potem zaszczytu zaistnienia na kasecie z „Przebojami piosenki studenckiej” wraz z m.in. „Warszem” Wałów Jagiellońskich, „Piosenką na wskroś optymistyczną” Jana Wołka i „Obławą” Jacka Kaczmarskiego.

Mniej więcej w tym samym czasie inny utwór – Stanisława Klawego, bo o nim mowa – „Witaj, drogi Książę” w podobny sposób znalazł drogę do szerszej publiczności niż ta bywająca w studenckich klubach, takich jak stołeczny Riviera – Remont, w którym Klawe stał się jednym z założycieli Piosenkariatu, do którego należeli także – uwaga – Jacek Kaczmarski, Przemysław Gintrowski i Zbigniew Łapiński oraz Stanisław Zygmunt. A „Witaj, drogi Książę” odwoływał się tyleż do Szekspira, ile do Zbigniewa Herberta, konkretnie do jego „Trenu Fortynbrasa”:

*Tak, mój książę, to rozważa
tchórzami nas czyni
Być, jak sam powiedziałeś, to wcale
niełatwe
W blasku reflektorów nasze śmieszne
podrygi
Na miarę bohaterów komedii
dell'arte.*

To zdumiewające, jaką popularność zdobywały w tamtym czasie piosenki nagrywane na kasetowcach takich jak np. już legendarny dziś MK-122. Jak również same ich teksty, wielokrotnie przepisywane, jak ten z 1976 r.:

*Coś mi pękło, robię ogląd
A to pękł mi światopogląd
[...]
Światopogląd – rzecz nabyta
Się załata go i kwita
Wezmę tylko grubych nici
I już się jak nowe świeci.*

Ale największy hit wśród utworów Stanisława Klawego to chyba „Kiedym stawił się”, ballada, którą Małgorzata Bratek wyśpiewała nagrodę Brązowego Knebla na Przegładzie Piosenki Prawdziwej w gdańskiej Olivii w roku 1981, a która stała się wielkim przebojem drugiego obiegu, już nie tylko poligraficznego, lecz także fonograficznego, bo nielegalnie nagrywanych kaset było coraz więcej i można było wysłuchać z nich słów:

*Kiedym stawił się u nieba wrót,
przed Najwyższym się skłonić kazali.
Przeżyczył mi, jakem swe życie
wiódł:*

– Jak to jak? Budowałem socjalizm.

Maria Duszka w tekście „Stanisław Klawe – Między cyrylicą a szwabachą” przywołuje opowieść o tym, jak jej bohater przywitał stan wojenny. Występował wtedy w Poznaniu wraz z m.in. Markiem Grechutą, Przemysławem Gintrowskim, Leszkiem Wójtowiczem i Andrzejem Poniedziałkim. Odbił się tylko jeden koncert – 12 grudnia: „Śpiewaliśmy swoje ballady, a z drugiej sceny były podawane teksty ówczesnej

oficjalnej propagandy. To było takie zestawienie rzeczywistości z jej opisem satyrycznym czy refleksyjnym. Rano obudził mnie dzwonek telefonu hotelowego. Podniosłem słuchawkę, usłyszałem głos Andrzeja Poniedziałkiego. Powiedział, że... wojna. Ja pocieszyłem go: – Nie martw się, będziemy pisać i śpiewać pieśni”.

Tak też robił, choć żyło się jak w jego „Państwowej izbie prywatnych wytrzeźwień” z 1983 r.: „Starzejemy się tak łatwo / Dzień wczorajszy – bólem głowy / Dni nas tu nie rozpieszczą / A nocami pieśni skowyt”.

Ale pisał nieprzerwanie, dla siebie i innych, jak choćby dla Piotra Machalicy za jego „Piosenkę pieska pokojowego” nagrodzonego przez publiczność na festiwalu w Opolu w 1986 r. On sam występował Pod Egidą u Jana Pietrzaka, z kabaretem Długi, a z Markiem Ławrynowiczem współtworzył kabarety Polžart i Pod Okiem. Satyra nie zdominowała jednak nigdy jego działalności artystycznej. Pisał muzykę do wierszy Czesława Miłosza (najbardziej znana była „Piosenka o porcelanie”) i śpiewał je, co się nawet nobliście podobało, tworzył też kompozycje do wierszy Lechonia i Gałczyńskiego. A w 2000 r. nagrał płytę „Nad wodą wielką i czystą” napisaną do wierszy Mickiewicza i Słowackiego.

Jak na klasycznego barda przystało, Staszekowi Klawemu nie bardzo podoba się ta właśnie etykieta, jako że zawsze najważniejszy był dla niego tekst, a bard to przecież facet z gitarą. Otóż to, tylko i aż. W 2012 r. Klawe napisał „Więć (Piosenkę pod niebanalnym tytułem)”:

*Więć jeszcze żyję, ot, z nawyku
Na chwilę tylko wpadłem tu
Uwagę moją świat ten przykuł
Chcę jakoś się odwdziżyć mu. © ©*

W sprawie wizyt Viktora Orbána do Kijowa, Moskwy, Pekinu – ale przede wszystkim właśnie na Kreml, oczywiście w związku z wojną rosyjsko-ukraińską – ogółowi komentarzy umknęło kilka najważniejszych szczegółów.

Cokolwiek by sądzić o „inicjatywie pokojowej” węgierskiego premiera, którego kraj od 1 lipca przewodniczy Radzie Unii Europejskiej, postępuje on spójnie i skutecznie wedle swej linii politycznej, ponieważ to on zarzuca swym przeciwnikom istotny dla siebie temat, przejawia obecnie inicjatywę posunięć na szachownicy i dyktuje tempo wymiany ciosów, z których wychodzi, do tej pory, obronną ręką.

W rzeczy samej, w całej werbalnej wrzawie towarzyszącej jego moskiewskiemu spotkaniu z Władimirem Putinem, którą, chcąc nie chcąc, wywołali wiodący europejscy politycy, powielające ich oburzenia media oraz wtórujący im chór dyżurnych komentatorów, uderza dokonany przez Orbána spektakularny dyplomatyczny blitzkrieg: w przeciągu dosłownie kilku dni od objęcia przez Węgry przewodnictwa w Radzie UE węgierski polityk zdołał, przed nadchodzącym waszyngtońskim szczytem NATO, odwiedzić główne ośrodki decydenckie mogące zakończyć bieżącą wojnę i przeprowadzić, zdaje się, szczerą rozmowę na najwyższym szczeblu.

REALISTA JAKO CHŁOPIEC DO BICIA

Oczywiście nie dziwi dość powszechna reakcja odcinania się od Orbána i potępiania go, w czambuł i na wyrost. W końcu, po porażce parlamentarnej PiS, jest to w zasadzie jedyny pozostały na arenie europejskiej znaczący chłopiec do bicia dla establishmentu, który to musi przecież wykazywać się zwalczaniem ekstremizmów, jeśli nie skutecznym, to przynajmniej hałaśliwym. Za ekstremizmy zaś w dobie postępującej w Europie budowy tęczowo-migrancko-ekologicznego raju uchodzą par excellence suwerenne państwo narodowe, nierozmyta tożsamość chrześcijańska i silna rodzina – a przecież nie ma wątpliwości, że podobne przejawy białego, patriarchalnego terroru wobec społeczeństwa pozostają w ścisłym sercu węgierskiej polityki. Viktor Orbán do tych jednak obrzydliwych herezji społeczeństwa „zamkniętego” dorzucił w 2022 r. jeszcze bardziej odrażającą zbrodnię

O co walczy Viktor Orbán



Wojciech Golonka

Premier Węgier może przejść do historii jako dyplomata, który przyspieszył zakończenie rozlewu krwi na Ukrainie. Zjadliwość reakcji na jego wizyty w ośrodkach władzy mających wpływ na zakończenie wojny jest zastanawiająca

politycznego odstępstwa, odmawiając przystąpienia do międzynarodowej koalicji na rzecz militarnego wspierania Ukrainy (której skądinąd dopomaga humanitarnie).

Nie ma potrzeby przypominać tu dotychczasowej odrębności stanowiska Węgier, przemawiających za nimi racji, obszernie omawianych na łamach tygodnika „Do Rzeczy” w formie konstruktywnej dyskusji. Jednakże w tym wypadku nastąpiło coś dodatkowego i znaczącego, choć nie sposób dziś jednoznacznie rozstrzygnąć, czy zasięg tego znaczenia pozostanie czy to symboliczny czy przyniesie konkretne rozwiązania polityczne (których a priori wykluczyć nie można, o czym za chwilę). Premier Węgier okazał się bowiem nie tylko tym, który dotychczas mówił „nie” masowemu wysyłaniu zachodniej broni walczącej Ukrainie, który krytykował eskalację i towarzyszące jej ryzyka, straszył widmem trzeciej wojny światowej i nuklearnej apokalipsy, a w konsekwencji również z powodu troski o ludzkie życie apelował o bezzwłoczne zakończenie wojny. Otóż Viktor Orbán do tego znaczącego wyłomu dorzucił obecnie realne i realistyczne kroki na rzecz podjęcia negocjacji pokojowych, oblatując po kolei ośrodki władzy mające decydujący wpływ na sposób i zakończenie bieżącej wojny.

Zjadliwość reakcji na to ostatnie posunięcie jest jednak zastanawiająca.

OBNAŻONA ZŁA STRATEGIA

Realizm przywódcy Fideszu jest właśnie, najprawdopodobniej, tym elementem, który wywołał tak ostrą reakcję krytyczną, ponieważ swym poczynaniem Orbán zadał kłam może nie tyle samej strategii krajów wspierających militarnie Ukrainę, przynajmniej nie wprost, ile ich notorycznej narracji na temat drogi do osiągnięcia pokoju. Jak słusznie i prosto wyłożył to, udając się z Pekinu, gdzie rozmawiał z Xi Jinpingiem, do Waszyngtonu, w sumie pięć ośrodków władzy może łącznie zakończyć obecną wojnę: strony wojujące, tj. Moskwa i Kijów, to oczywiście, a także trzy związane z tymi stronami mocarstwa – Stany Zjednoczone, Chiny i Unia Europejska, ta ostatnia będąca nie tyle państwem mocarstwowym, ile potęgą polityczną korelatywną do swego znacznego potencjału finansowego i sąsiedzkiego położenia. Innymi słowy, swymi kilkoma szybkimi posunięciami Viktor Orbán przypomniał zachodniemu światu, że odsunięta przezeń na bok dyplomacja polega na rozmawianiu, a w konsekwencji na wzajemnym wysłuchaniu imperatywów, celem wypracowania wspólnego, akceptowalnego dla wszystkich stanowiska. Nie oznacza to w żadnej mierze, że węgierski przywód-



FOT. PIER MARIO TRCCA / GETTY IMAGES

nieakceptowalne, a zachodni przywódcy deklarują wprost, iż nie można dopuścić w ogóle do zwycięstwa Rosji.

W tej sytuacji wydają się logiczne dwie opcje: albo prędzej czy później jednak dojdzie do rokowań, a wówczas będą miały one, siłą rzeczy, formę mniej lub bardziej przypominającą działania podjęte przez Viktora Orbána, który po prostu okaże się prorokiem wyprzedzającym swój czas; albo celem podtrzymania wysiłku zbrojnego Ukrainy zaangażowanie Zachodu po jej stronie będzie eskalować z niewiadomym, acz ryzykownym rozwojem spraw – wszak mowa o utworzeniu na Ukrainie wojskowej misji NATO (od której to Węgry stanowią się odcinając), będącej w zasadzie przedślonkiem do bezpośredniej konfrontacji na linii Rosja – sojusz północnoatlantycki, a wówczas prorocze obawy Orbána, jeśli nie w pełni uzasadnione, to są jednak w pełni zrozumiałe.

Uprzedzające zatem NATO-wski szczyt waszyngtoński działania Orbána, sondującego strony i przyszłość oraz bezsprzecznie dążącego do zapobieżenia fatalnemu rozwojowi wypadków, przed którym ostatnio w bardzo mocnych słowach przestrzegał również prezydent Serbii, są jak najbardziej zrozumiałe i konsekwentne z przyjętą przez nich dotychczasową linią postępowania, choć – ma się rozumieć – kolidują one z działaniami głównych sił prowojennych po stronie Ukrainy i dlatego mogą wydawać się z góry skazane na porażkę.

Pod tym względem nasuwa się jednak kilka istotnych uwag. Po pierwsze, festiwal oburzenia na wizytę Orbána w Moskwie, choć po części zrozumiałe emocjonalnie u części komentatorów, jest w dużej mierze festiwalem hipokryzji na tle rzeczywistych stosunków międzynarodowych, byle tylko postrzegać je bez myślenia sobie zbyt oczu. Oto dzień po obrazoburczej wizycie Orbána na Kremlu do Rosji zjechał nowy-stary premier Indii Narendra Modi, witany i traktowany jak stary dobry przyjaciel, a który to dosłownie kilka tygodni wcześniej gościł we Włoszech na szczycie G7, również jako stary-nowy, ale przede wszystkim dobry partner do rozmów. Wiodące jest to jeszcze bardziej, jeśli chodzi o Xi Jinpinga, który pozostaje w ścisłych stosunkach z prezydentem Władimirem Putinem w ramach „strategicznego partnerstwa” rosyjsko-chińskiego, a który niemniej pozostaje pierwszorzędnym

partnerem do rozmów z Zachodem, o czym świadczy ostatnia wizyta Andrzeja Dudy w Pekinie, w sumie w roli petenta.

Jeśli zatem Orbán za swój ruch traktowany jest werbalnie jak trędowaty, to dlatego, że zakłada się a priori, że Węgry nie mają prawa na Zachodzie do odrębnych zdania, które skądinąd jak najbardziej toleruje się u partnerów do rozmów z Zachodem – innymi słowy, w zasadzie explicite odmawia się Węgrom prawa do samostanowienia w polityce zagranicznej, czyli suwerenności. Wprawdzie w Polsce dawno już przywykliśmy do niewychylania się dyplomatycznie przed szeregiem, jednak ta zbiorowa histeria wokół Węgier, w tym u nas, raz a dobrze potwierdza mające rzadzić Unią prawo: co wolno wojewodzie...

Po drugie – i najważniejsze – Orbán traktowany jest z największą powagą przez Donalda Trumpa, którego zespół już pracuje nad pokojowym planem dla Ukrainy – nie popadając więc w dywagację, czy węgierski premier nie jest w tym wypadku również nieformalnym przedstawicielem walczącego o powrót do Białego Domu Donalda Trumpa, trzeba stwierdzić, że w przypadku jego reelekcji działania Orbána mogą nabrać nieprzypuszczanej dziś sprawności.

Okrzykiwany jako apostoł fałszywego pokoju węgierski premier może równie dobrze przejść do historii jako dyplomata, który przyspieszył zakończenie rozlewu krwi na Ukrainie, pozbawionej szans na poprawienie jej pozycji przy negocjacyjnym stole (bo tym właśnie, w przypływie szczerości, zachodnia generalicja uzasadnia dalszy sens walki zbrojnej z jej strony).

Prawdą jest, że prędzej czy później szeregowy mieszkaniec tego kraju może zadać sobie pytanie o sens śmierci swoich najbliższych, o realne szanse wygranej w starciu z siłami Federacji Rosyjskiej bez bezpośredniego zaangażowania sił zbrojnych NATO, o intencje zachodnich partnerów i swych oligarchicznych elit, o odpowiedzialność – nie tylko tę oczywistą Kremla, lecz także własnych władz, w tej tragedii narodu. W tej perspektywie trudnych pytań niekoniecznie trędowatym i wrogiem okaże się ten, który dziś głośno wzywa do zaprzestania rozlewu krwi.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

ca uzyskał właśnie gotowe warunki pokoju na Ukrainie. Jest wręcz przeciwnie: będąc w Moskwie, powiedział, że dziś stanowiska Kijowa i Moskwy są dyplomatycznie nie do pogodzenia (choć trzeba pamiętać, że i sam prezydent Zełenski pod koniec czerwca zaanonsował podjęcie wkrótce prac nad rozmowami pokojowymi).

Jednocześnie w kilka dni on sam, premier małego państwa, ze swą dość skromną świątą skompromitował, przez kontrast, brak powagi międzynarodowej konferencji „pokojowej” w Szwajcarii, której farsa była proporcjonalna do jej pretensjonalności: nie da się bowiem, poza przypadkiem bezwarunkowej kapitulacji, jednostronnie ustalić warunków pokoju bez udziału jednej ze stron wojujących, a – jak zdroworozsądkowo wskazuje Orbán – nie ma co liczyć na pokonanie Rosji w terenie, tj. doprowadzić do sytuacji, w której będzie można jej narzucić warunki pokoju.

TYLKO DWE OPCJE

Podobną opinię co do niemożliwości rozstrzygnięcia tej wojny na polu bitwy wyrażali zresztą różni doświadczeni generałowie, z Markiem Milleyem na czele, wówczas głównym szefem sztabów amerykańskiej armii, jednak domniemane warunki rozejmu są dziś wzajemnie odrzucane przez Kijów i Moskwę jako

O ROZMOWACH POKOJOWYCH W SPRAWIE WOJNY NA UKRAINIE CZYTAJ TAKŻE NA STR. 66



Paweł Chmielewski

Stolica Apostolska ogłosiła w pierwszy piątek lipca, że słynny arcybiskup Carlo Maria Viganò jest ekskomunikowany, a to znaczy, że ma znajdować się poza Kościołem. To prawdopodobnie ostatnie słowo Watykanu w sprawie tego hierarchy. On sam nie składa jednak broni i stara się rozszerzyć swoje wpływy

Arcybiskup Viganò jest jednym z najlepiej znanych krytyków papieża na świecie. W 2018 r. wezwał go do rezygnacji z urzędu. Zarzucił mu, że wiedział o przestępstwach seksualnych amerykańskiego kardynała Theodore'a McCarricka, ale nie reagował. W ten sposób rozpoczął kampanię wymierzoną we Franciszka, którego krytykował przez lata bezlitośnie – i często bardzo trafnie. W 2023 r. ogłosił jednak, że Jorge Mario Bergoglio nie jest jego zdaniem prawdziwym papieżem, ale po prostu uzurpatorem. To właśnie ściągnęło ekskomunikę. Sprawa abp. Viganò przykuwa tak wielką uwagę, bo to postać z samych szczytów hierarchii Watykanu.

W NIEŁASCIE

W latach 70. ukończył elitarną Papieską Akademię Kościelną w Rzymie i rozpoczął kościelną służbę dyplomatyczną. Piastował na przestrzeni kilku dziesięcioleci wiele ważnych i odpowiedzialnych stanowisk – zarówno w Watykanie, jak i na świecie. W 2011 r. Benedykt XVI powierzył mu urząd nuncjusza apostolskiego w USA. Był to wyraz głębokiego zaufania, bo Stany Zjednoczone są dla Watykanu ważne nie tylko ze względu na swoją rolę w polityce światowej, lecz także ze względu na finanse: regularny strumień pieniędzy z Ameryki jest jednym z najważniejszych filarów watykańskiej ekonomii.

Po objęciu władzy przez Franciszka nie było słyhać o żadnych napięciach między nim a nuncjuszem. W 2015 r.

Upadek arcybiskupa



Arcybiskup Carlo Maria Viganò

FOT. MASSIMILIANO MIGLIORATO/CPPI/POLARIS/EAST NEWS

Viganò przygotował podróż apostolską Franciszka do USA. Choć przebiegała ona zasadniczo bardzo dobrze, to nie obyło się bez istotnej kontrowersji. Wśród wielu spotkań arcybiskup zorganizował papieżowi również jedno, które Franciszkowi nie mogło się podobać. Przedstawił mu Kim Davis, urzędniczkę z Kentucky, która odmówiła parze homoseksualnej zaświadczenia o „małżeństwie” cywilnym. Spotkanie było przelotne, ale krytycznie odnotowała je liberalna prasa amerykańska i źle przyjęli progresywni kardynałowie.

W 2016 r. Viganò osiągnął kościelny wiek emerytalny i złożył przepisową rezygnację. Papież ją przyjął, choć nie musiał tego robić. Dla porównania: obecny nuncjusz w Waszyngtonie, Francuz Christophe Pierre, pełni swój urząd już dziewiąty rok, choć wiek emerytalny osiągnął trzy lata temu. Pierre jest jednak głęboko zaangażowany w promocję „Kościoła synodalnego” i w krytykę konserwatywnych hierarchów w USA, dlatego papież trzyma go dalej na stanowisku. Z usług Viganò zrezygnował – a co więcej, nie powierzył mu już żadnego innego zadania. Było ewidentne, że hierarcha popadł w niełaskę.

MEDIALNA BOMBA

Przez dwa lata abp Viganò nie dawał o sobie znać, aż nagle, w 2018 r., wrzucił do światowych mediów prawdziwą bombę. We wrześniu tamtego roku opublikował obszerny list, w którym oskarżył papieża Franciszka o to, że posiadając szeroką wiedzę na temat przestępstw seksualnych kard. Theodore’a McCarricka, chronił go i chętnie korzystał z jego usług w dyplomacji. Tekst Viganò zakończył apelem bezprecedensowym w historii Kościoła: wezwał papieża do rezygnacji z urzędu, to znaczy do powtórzenia aktu Benedykta XVI z 2013 r.

Franciszek wprawdzie nie ustąpił, ale oskarżenia potraktowano poważnie. Ówczesny przewodniczący Konferencji Episkopatu USA kard. Daniel DiNardo stwierdził, że należy gruntownie przebadać całą sprawę; sam papież odnosił się do twierdzeń Viganò wielokrotnie. Choć nigdy nie wymieniał go z nazwiska, to polecił swoim zaufanym dziennikarzom przygotować książkową odpowiedź na twierdzenia byłego nuncjusza w Wa-

Arcybiskup Viganò tekst zakończył apelem bezprecedensowym w historii Kościoła: wezwał papieża do rezygnacji z urzędu

szyngtonie. Oskarżenia Viganò przyspieszyły też watykańskie działania względem McCarricka: po publikacji jego listu Franciszek polecił sporządzić dossier tej sprawy. Kilka miesięcy później Watykan uznał McCarricka winnym przestępstw seksualnych i wydalil go ze stanu kapłańskiego. Opinia publiczna odebrała to jako triumf arcybiskupa.

Włoski hierarcha nie spoczął na laurach i dalej wypowiadał się publicznie na temat skandali w Kościele; udzielił m.in. obszernego i głośnego wywiadu dziennikowi „The Washington Post”. Jego działalność nie budziła wówczas w środowiskach konserwatywnych zasadniczo większych zastrzeżeń. Sytuacja zaczęła się stopniowo zmieniać po wybuchu pandemii COVID-19, kiedy abp Viganò postanowił wypowiadać się również na inne kwestie. Na początku maja 2020 r. opublikował list otwarty w sprawie restrykcji sanitarnych, krytyczny wobec tego, co można nazwać „nowym porządkiem świata”. Pod listem widniały – oprócz podpisu Viganò – również nazwiska kardynałów Roberta Sarah, Gerharda Müllera, Josepha Zena i Janisa Pujatsa. Robert Sarah ogłosił kilka godzin po publikacji tekstu, że to jakaś pomyłka i on niczego nie podpisywał. Treść listu była bardzo wyrazista, ale biorąc pod uwagę konserwatywną publicystykę doby pandemii, bynajmniej nie zaskakująca; zawierała wiele standardowych dla tego nurtu spostrzeżeń. Od tego momentu Viganò zaczął publikować coraz więcej tekstów; zajmował się szczególnie chętnie tematem kryzysu Kościoła po Soborze Watykańskim II i sytuacją polityczną na świecie. Poparł Trumpa w wyborach prezydenckich w 2020 r. W swoich tekstach używał coraz mocniejszych, niekiedy wręcz brutalnych sformułowań. Pisał o „deep church”, które wzorem amerykańskiego „deep state” miało od wewnątrz rozkładać Kościół. Szybko

zyskał sobie jeszcze większą sympatię: dawno nie było w Kościele kogoś, kto mówiłby o problemach z taką otwartością i jednoznacznością.

Jednocześnie hierarcha budził rosnącą konsternację środowisk konserwatywnych i tradycyjnych. W czerwcu 2020 r. zaproponował tak radykalne odcięcie się od Soboru Watykańskiego II, że gdyby wcielić je w życie, to można byłoby mówić już nie o jakiejś korekcie czy zmianach, ale o „wymazaniu” tego wydarzenia z historii Kościoła. Zaczął ostro krytykować również nowy ryt Mszy Świętej, co samo w sobie jest naturalnie uzasadnione, jakkolwiek budziło zdziwienie, a wręcz zgorzsenie: zdziwienie, bo arcybiskup nigdy wcześniej nie wypowiadał się na tematy liturgiczne i nie był znany z upodobania do starej liturgii; zgorzsenie, bo nowy ryt określał nie tyle jako zły, ile po prostu jako szatański. Cóż, mówiono wówczas, człowiek dojrzewa całe życie, a publicystyka ma swoje prawa, nawet jeżeli wychodzi spod pióra ludzi Kościoła... O papieżu Franciszku w tym czasie Viganò pisał bardzo nieprzychylnie, ale wciąż z pewnym szacunkiem, nazywając go naprzemiennie „Jorge Mario Bergoglio” i „papież Franciszek”.

FASCYNACJA ROSJĄ

Wkrótce publicystyka Viganò zaczęła stawać się coraz bardziej kuriozalna. Zniknęły z niej określenie „papież” i imię „Franciszek”; Ojciec Święty stał się po prostu „Bergogliem”. Hierarcha wszedł też w nowe kręgi; zaczął też brać udział w spotkaniach z Rosjanami i publikować prorosyjskie artykuły. Już w 2021 r. wziął zdalny udział w konferencji antyglobalistycznej, której innym prominentnym uczestnikiem był zafascynowany okultyzmem i głęboko przesiąknięty nienawiścią do świata łańciskiego rosyjski filozof Aleksander Dugin.

Być może Viganò nie wiedział, w czym rzecz, i ktoś po prostu wprowadził go tam przez pomyłkę. Problem w tym, że krótko po wybuchu wojny na Ukrainie hierarcha opublikował długi artykuł w obronie prawa Rosji do prowadzenia wojny. Ukraińców uznał za neonazistów, opisywał ukraińskie zbrodnie w Donbasie itd. Co ciekawe, rosyjskie prawo do „obrony” poprzez atak uzasadniał rzekomą chrześcijańskością Rosji,

posuwając się do określenia tego państwa mianem „trzeciego Rzymu”. Nie jest to określenie neutralne doktrynalnie: odwołuje się do heretyckiej prawosławnej koncepcji, która powstała w XVI w. w opozycji do roszczeń Stolicy Apostolskiej do sprawowania władzy nad całym chrześcijaństwem. Arcybiskup został wtedy publicznie upomniany m.in. przez włoskiego historyka Roberta de Mattei, którego teksty, jak było wiadomo z prowadzonych przez nich debat, regularnie czytał. Nie wiele to jednak dało, bo już rok później Viganò wziął zdalny udział w kongresie założycielskim Międzynarodowego Ruchu Rusofilów w Moskwie; wygłosił przy tej okazji przemówienie, w którym ponownie odwołał się do herezji „trzeciego Rzymu”, mówiąc, że po upadku Rzymu misja Wiecznego Miasta przeszła do Konstantynopola, a po jego upadku – właśnie do Moskwy. Nazwał ponadto prawosławnych władców rządzących Rosją po 1453 r. – a więc cztery wieki po schizmie wschodniej – „świętymi”.

Skąd wzięła się u Viganò ta nagła i chyba dość głęboka fascynacja Rosją? Jako że arcybiskup od lat konsekwentnie się ukrywa i wszelki kontakt z nim jest utrudniony, trudno to jednoznacznie rozstrzygnąć. Wiele wskazuje jednak na to, że po zakończeniu misji w Waszyngtonie hierarcha nawiązał bliskie kontakty z włoskimi kręgami tradycjonalistycznymi o prorosyjskim nastawieniu. Oskarżycielski list wobec Franciszka z 2018 r. opublikował za pośrednictwem dziennikarza Alda Marii Vallego. Włoch jest znany ze swojej sympatii do Rosji. Na swoim blogu publikuje teksty legitymizujące np. Doniecką Republikę Ludową. Kiedy w 2020 r. Viganò opublikował antyglobalistyczną odezwę, okazało się, że uczynił to we współpracy z niejakim Pietrem Siffim, człowiekiem, który kształcił się w dwóch tradycjonalistycznych seminariach, ale z obu odszedł w nieznanych okolicznościach. Być może abp Viganò już wcześniej miał takie poglądy, ale o nich nie mówił; możliwe jednak, że zostały mu zaszczeplone przez nowe środowisko, w które wszedł. Na włoskiej prawicy sympatia do Moskwy nie jest niczym dziwnym. Jednak od doświadczonego dyplomaty i obrońcy katolickiej doktryny można było oczekiwać czegoś więcej niż podpisywania się pod sloganami rodem

z prawosławnej i nacjonalistycznej antyzachodniej propagandy Kremla.

Chociaż już od kilku lat można było podejrzewać, że Viganò przestał uznawać Franciszka za papieża, to stało się to jasne w grudniu 2023 r. Opublikował wówczas przemówienie, gdzie Franciszka nazwał „uzurpatorem” i „dzikiem w Winnicy Pańskiej”, oświadczając, że wypowiada mu posłuszeństwo i wszystkich zachęca do tego samego. Viganò przekonywał, że zna „prawdziwe intencje” papieża i wie, iż w związku z tym jego wybór na następcę św. Piotra był po prostu nieważny. Nie przytoczył jednak żadnych dowodów, wskazując tylko na znane skandale związane z przebiegiem jego pontyfikatu. Jednocześnie ogłosił, że zakłada swoje własne seminarium we Włoszech, które ma pozwolić na przechowanie autentycznej doktryny katolickiej. Kilka miesięcy później postanowiła się nim zająć Dykasteria Nauki Wiary, następczyni

Obecnie abp Carlo Maria Viganò może zostać zakwalifikowany jako tzw. sedewakantysta

Świętej Inkwizycji. 11 czerwca tego roku Dykasteria wysłała do arcybiskupa e-mail, w którym poinformowała go o wszczęciu procesu pozasądowego dotyczącego przestępstwa schizmy. Zarzucono mu, że zerwał jedność z papieżem, Kurią Rzymską, Kościołem katolickim oraz odrzucił Sobór Watykański II. Zaproszono go na spotkanie celem udzielenia wyjaśnień. Viganò nie przyszedł, ale zamieścił w sieci manifest. Ogłosił, że z Franciszkiem jednośći rzeczywiście nie ma i w dodatku w ogóle jej nie chce, podobnie jak z jego nominatami. Soboru nie uznaje. Uważa jednak, że nadal jest w jedności z „prawdziwym” Kościołem.

W tej sytuacji Dykasteria przeprowadziła proces pod nieobecność arcybiskupa. Na spotkaniu urzędników Dykasterii 4 lipca stwierdzono, że schizma jest faktem, toteż arcybiskup znajduje się w stanie ekskomuniki i jest poza Kościołem. Do hierarchy przesłano 11-stronicowe wyjaśnienie, a opinii publicznej przedstawiono

krótki komunikat. Arcybiskup ogłosił, że proces i wyrok napawają go dumą.

W chwili obecnej abp Carlo Maria Viganò może zostać zakwalifikowany jako tzw. sedewakantysta – katolik, który uważa, że nie ma dziś prawdziwego papieża. Właśnie tak określiło go Bractwo Kapłańskie św. Piusa X, założone przez abp. Marcela Lefebvre’a. Bractwo w specjalnym komunikacie obwieściło, że Viganò – który lubi porównywać się z Lefebvre’em – ogłaszając papieża uzurpatorem, wkroczył na drogę sedewakantyzmu, a to oznacza, że uczynił coś, na co abp Lefebvre i FSSPX nigdy się nie ważyli. Owszem, abp Lefebvre również był ekskomunikowany, ale tylko z powodu udzielenia święceń biskupich bez zgody papieża, co uważał za konieczne dla zachowania Tradycji; nie odrzucił papieskiej władzy jako takiej. Od postawy Viganò odciął się też bp Athanasius Schneider. Kazachski biskup odradzał Watykanowi ogłaszanie ekskomuniki z obawy przed zwiększeniem podziałów w Kościele, ale przyznawał, że Viganò wyznaje błędne koncepcje i – formalnie rzecz biorąc – ekskomunika jest uzasadniona.

Viganò związał się w ostatnich miesiącach z bp. Richardem Williamsonem, hierarchą wyrzuconym w 2012 r. z Bractwa św. Piusa X za notoryczne nieposłuszeństwo, a szerzej znanym z negowania Holokaustu. Brytyjczyk od lat buduje własne struktury kościelne, udziela samowolnie święceń biskupich i kapłańskich. Williamson był niedawno w Polsce, by umacniać także w naszym kraju struktury alternatywnego kościoła. Viganò wyzywa dziś wszystkich, by tak jak on i Williamson odeszli z „kościół bergoglińskiego” i przyłączyli się do „prawdziwej” wspólnoty, gdzie Bergoglio i jego ludzi nie ma. Mieliby to zrobić, przede wszystkim odrzucając autorytet Franciszka i wszystkich jego urzędników.

To spektakularny, ale zarazem smutny upadek arcybiskupa, w którym wielu pokładało autentyczną nadzieję na odnowę życia katolickiego. Odpowiedzialny za schizmę jest oczywiście sam Viganò, ale trzeba uczciwie przyznać: publikując swoje dokumenty, Franciszek bynajmniej nie łagodził problemów, które skłoniły byłego nuncjusza do podjęcia tak ekstremalnych decyzji.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą PCh24.pl.

Myśl państwo, że umieją państwo pisać poprawnie po polsku? To się niedługo zmieni za sprawą ortograficznej rewolucji, którą postanowiła wprowadzić Rada Języka Polskiego. Od 2026 r. wiele zapisów niepoprawnych stanie się poprawnymi – i odwrotnie. Skala zaplanowanych zmian jest porażająca, a sama RJP porównuje to do najdalej idącej i do dziś krytykowanej reformy polskiej ortografii z roku 1936.

Wbrew temu, co można by sądzić, zmiany nie są neutralne kulturowo. To nie jest zwykłe porządkowanie reguł. Przynajmniej część z nich ma charakter celowego i przemyślanego zubażania języka pisanego. Co więcej, nie są to zmiany wprowadzające pisownię alternatywną, ale jedyną poprawną, czyli zmieniające zasady o 180 stopni.

RADA BEZ LEGITYMACJI

Zacznijmy od przypomnienia, dlaczego w ogóle Rada Języka Polskiego może taki przewrót w polszczyźnie robić w zasadzie według własnego uznania. Sytuacja jest dziwaczna, bo RJP nie ma żadnej legitymacji ani nie zostały na nią nałożone żadne obowiązki związane np. z konsultowaniem swoich postanowień. Rada to wyspecjalizowany komitet, powołany w 1996 r. przy Prezydium Polskiej Akademii Nauk, który Ustawą o języku polskim z 1999 r. został wyposażony w daleko idące kompetencje. Ustawa mówi: „Rada, na wniosek ministra właściwego do spraw kultury i ochrony dziedzictwa narodowego [...] lub z własnej inicjatywy, wyraża, w drodze uchwały, opinie o używaniu języka polskiego w działalności publicznej oraz w obrocie na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej z udziałem konsumentów i przy wykonywaniu na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej przepisów z zakresu prawa pracy oraz ustala zasady ortografii i interpunkcji języka polskiego”.

W skład rady wchodzi kilkadziesiąt osób, w tym tak znani językoznawcy jak profesorowie Mirosław Bańko, Jerzy Bralczyk czy Jan Miodek. Przewodniczącą jest dr Katarzyna Kłosińska. Ale nie wszyscy członkowie RJP są pracownikami naukowymi czy językoznawcami. W składzie RJP jest choćby „Bartek” Chaciński (on sam uparcie używa zdrobniałej formy imienia), dziennikarz lewicowego tygodnika „Polityka”.

Opinie RJP od jakiegoś czasu coraz bardziej wydają się powodowane względami ideologicznymi. Tak było wówczas, gdy przedmiotem sporu było używanie słów takich jak „Murzyn” albo gdy mowa była o wymuszonej ekspansji feminatywów. Jak wiadomo, lewica traktuje język jak środek do zmieniania świadomości.

Kolejnym kontrowersyjnym stanowiskiem RJP było to dotyczące określenia „w Ukrainie”. Dzisiaj używane przez większość mediów i wielu publicystów o proukraińskim nastawieniu stało się absurdalnym w gruncie rzeczy probierzem stosunku do relacji polsko-ukraińskich. Przy czym w języku

tać w drukowanych wydawnictwach poprawnościowych). Przyimki »w« oraz »do« są zalecane szczególnie w języku publicznym (urzędowym, prasowym) i w tych kontekstach, w których moglibyśmy zastąpić słowo »Ukraina« wyrażeniem »państwo ukraińskie«.

Skierowałem wówczas do RJP pytania, jakie faktycznie względy zostały wzięte pod uwagę, jak wyglądały konsultacje w tej sprawie oraz ile osób w tej kwestii odezwało się do rady – skoro powoływała się ona na „odczucia ukraińskich przyjaciół”. Z odpowiedzi podpisanej przez panią dr Kłosińską wynikało, że żadnych szerokich konsultacji ani masowych apeli

Demolka polszczyzny



Łukasz Warzecha

Rada Języka Polskiego wprowadza zmiany rewolucyjne, które prowadzą do sprostaczenia pisanej polszczyzny. Kilka z nich likwiduje pożyteczne i potrzebne środki pisanego języka polskiego

codziennym kompletnie się nie przyjęło. W tej sprawie RJP ogłosiła stanowisko w lipcu 2022 r. Mogliśmy w nim przeczytać: „Biorąc pod uwagę szczególną sytuację i szczególne odczucia naszych ukraińskich przyjaciół, którzy wyrażenia »na Ukrainie«, »na Ukrainę« często odbierają jako przejaw traktowania ich państwa jako niesuwerennego, Rada Języka Polskiego zachęca do szerokiego stosowania składni »w Ukrainie« i »do Ukrainy« i nie uznaje składni z »na« za jedyną poprawną (jak można przeczy-

Ukraińców do RJP nie było. Przewodnicząca RJP napisała: „W sprawie składni »na« lub »w« Ukrainie Rada otrzymała – już w 2019 i 2021 r. – listy od kilku osób z Polski i Ukrainy (po polsku). Autorzy większości z tych listów apelowali o uznanie poprawności składni »w Ukrainie« (zob. opinia na stronie internetowej RJP), choć były głosy broniące formy tradycyjnej (zob. opinia na stronie internetowej RJP) [...]”. Pisząc o »odczuciach ukraińskich przyjaciół«, nie mamy na myśli oficjalnych stanowisk organizacji

ukraińskich; zwracamy uwagę na głosy słyszalne w przestrzeni medialnej, por. np. artykuł Andrija Sawencia z portalu Open Culture z roku 2012 lub demonstracja Julii Kriwicz z roku 2019”.

Innymi słowy, przewodnicząca RJP przyznała wówczas, że rada sugerowała się jakimś pojedynczym artykułem, kilkoma listami czy demonstracją aktywistki, a tak naprawdę atmosferą politycznej poprawności wokół Ukrainy, i tylko na tej podstawie postanowiła wesprzeć nienaturalną formę „w Ukrainie”.

O tych przypadkach warto pamiętać, sięgając po spis zmian, które teraz mają być wprowadzone do pisanego języka polskiego. Zmiany te zawarte w uchwale RJP z 10 maja zawierają się w aż 11 punktach. Tylko dwa z nich wprowadzają pisownię alternatywną do już istniejącej. Pozostałe zmieniają obowiązujące obecnie reguły ortograficzne.

NASYCENIE WIELKIMI LITERAMI

Oto kilka najważniejszych i najdalej idących zmian.

Wielką literą mają być pisane nazwy mieszkańców miejscowości czy osiedli: „Warszawianin”, „Retkinianin”. Ma to być odpowiedź na... potrzebę dumy z lokalnej przynależności.

Wielką literą mają być pisane nie tylko nazwy marek produktów, lecz także ich pojedynczych egzemplarzy. Dotychczas pisaliśmy: „Mam samochód marki Mazda”, ale: „Pojechałem tam swoją mazdą”. Teraz w obu przypadkach będzie wielka litera.

Cząstka „-by” ma być pisana oddzielnie ze spójnikami. Dotychczas pisaliśmy: „Gdyby kózka nie skakała, toby nóżki nie złamała”. Teraz ma być „to by”.

Jedną z najdrastyczniejszych zmian jest zniesienie oddzielnej pisowni „nie” z imiesłowami odprzymiotnikowymi. Dotychczas mogliśmy w piśmie zaznaczyć za pomocą pisowni łącznej lub oddzielnej, czy chodzi nam o coś, co dzieje się w danej chwili, czy też o trwałą cechę. Oto dwa zdania, których znaczenie jest odmienne: „Wszyscy niepalący musieli wyjść z sali” oraz: „Wszyscy nie palący musieli wyjść z sali”. W pierwszym przypadku chodzi o osoby, które w ogóle nie palą; w drugim – o osoby, które nie paliły w tym konkretnym momencie. RJP postanowiła to rozróżnienie zlikwidować.



Zmiany w pisowni zostały tak pomyślane, żeby pójść na rękę użytkownikom języka, którzy go kaleczą

Kolejna zmiana o podobnej naturze to skasowanie pisowni wielką literą przymiotników od nazw osobowych, zakończonych na „-ski”, w zależności od ich znaczenia. Dotąd mogliśmy napisać: „poemat Mickiewiczowski” – gdy chodziło nam o poemat, którego autorem był Mickiewicz, oraz: „poemat mickiewiczowski”, gdy chodziło nam o utwór w stylu Mickiewicza, ale nie przez niego napisany. RJP odbiera nam to narzędzie językowe.

Rada postanowiła nasycić polską pisownię wielkimi literami. Wielką literą mają być pisane pierwsze człony nazw geograficznych, gdzie drugi człon jest rzeczownikiem w mianowniku (było „morze Bałtyk”, będzie „Morze Bałtyk”), pierwsze wyrazy w nazwach różnych obiektów (było „zamek Książ”, będzie

„Zamek Książ”), wszystkie człony nazw lokali usługowych (było „kino Bałtyk”, będzie „Kino Bałtyk”).

Wreszcie ostatnia istotna zmiana to łączna pisownia „nie” z przymiotnikami i przysłówkami odprzymiotnikowymi w stopniu wyższym i najwyższym. Było „nie najlepszy” i „nie gorszy”, będzie „nienajlepszy” i „niegorszy”.

WSPÓLNE CECHY REWOLUCJI

To zmiany rewolucyjne, które mają kilka wspólnych cech. Pierwszą jest to, że prowadzą do sprostaczenia pisanej polszczyzny. Kilka z nich likwiduje pożyteczne i potrzebne środki pisanego języka polskiego. Uzasadnienie, które możemy znaleźć na wstępie uchwały, jest porażające. Czytamy tam: „Rada uznała, że wprowadzenie tych zmian, dotyczących wyłącznie tzw. konwencjonalnych zasad pisowni, przyniesie korzyść w postaci uproszczenia i ujednoliceń zapisu poszczególnych grup wyrazów i połączeń, eliminacji wyjątków, a także likwidacji przepisów, których zastosowanie jest z różnych powodów problematyczne, np. wymaga od piszącego zbyt drobiazgowej analizy znaczeniowej tekstu. To zaś



FOT. ANDRZEJ STOLIK

mie konsekwencje. Nie tylko wymusi zmiany w wydawnictwach słownikowych czy encyklopedycznych, lecz także np. w zapisie aktów prawnych. Ba, tam rewolucja językowa RJP może nawet zakłócić brzmienie i rozumienie przepisów – dotyczy to zmiany zapisu „nie” z imiesłowami odprzymiotnikowymi. Dla prawidłowego odczytania przepisu ważne jest, czy mowa jest o trwałej cesze czy chwilowej czynności.

Największy natomiast koszmar czeka uczniów. Nie wiadomo, jak podejść do sytuacji, w której jedne reguły są poprawne do połowy roku szkolnego, a od stycznia 2026 r. staną się błędne. Jakie zasady mają zostać uwzględnione w przypadku matur za dwa lata? Jakiej ortografii uczyć?

Skierowałem do RJP pytania m.in. o to, czy podejmując decyzję o zmianach, konsultowała się z jakimkolwiek ze środowisk szczególnie nimi dotkniętych: nauczycielskim, dziennikarskim, prawniczym. W odpowiedzi pani dr Kłosińska napisała: „... rada nie prowadziła konsultacji społecznych dotyczących planowanych zmian”. Nawiasem, w tym zdaniu szefowa RJP zrobiła błąd ortograficzny, pisząc słowo „Rada” wielką literą, podczas gdy taka pisownia obowiązuje jedynie w przypadku zapisu całej nazwy: „Rada Języka Polskiego”, gdy natomiast używamy tylko pierwszego słowa, zapisujemy je małą literą.

Zapytałem również o szczegółowe uzasadnienie poszczególnych zmian. Okazuje się, że, owszem, takie istnieje, ale jest bardzo skrócone. Na przykład w sprawie zapisu wielką literą nazw mieszkańców miast brzmi ono: „Ujednolicenie pisowni w grupie rzeczowników osobowych pochodnych od nazw geograficznych. Zgodnie z aktualnymi zasadami nazwy utworzone od nazw miast, dzielnic osiedli i wsi zapisuje się małą literą, co stanowi wyłom w zasadzie ogólnej, który nie jest niczym uzasadniony”. Innymi słowy – zmieniamy utrwaloną zasadę ortograficzną, ponieważ uważamy ją za bezzasadną. I tyle. W przypadku jednolitej pisowni „nie” z imiesłowami jest jeszcze lepiej. Oto jednozdaniowe uzasadnienie zmiany: „Usunięcie niejasnego sformułowania zezwalającego w określonych wypadkach na »świadomą pisownię rozdzielną«”. Podobnie wyglądają inne uzasadnienia.

Z protokołów obrad można wnioskować, że przynajmniej niektóre decyzje podejmowano niemal z doskoku, całkowicie spontanicznie. Jedną ze zmian to zapis wielką literą nazw ironicznych lub pogardliwych określeń narodowości – np. „Rusek” czy „Angol”. Oto jak ta decyzja została podjęta: „Prof. Marian Bugajski zaproponował, aby ujednolicić także zapis nieoficjalnych nazw etnicznych typu Angol i zapisywać je zawsze dużą [sic!] literą [...]”. Profesor Rafał Zimny zasugerował także, by w przykładach ilustrujących funkcjonowanie każdej z zasad zachowano odpowiednie proporcje co do płci”. Poraża dezynwoltura, z jaką to niemające legitymacji, zamknięte grono postanawiało o jak najdalej idących zmianach w polskiej pisowni.

Spójrzmy jeszcze do załącznika numer 2, w którym zapisano wszystkie obowiązujące obecnie reguły, opatrzone to dłuższym wstępem. Nawiązano w nim do reformy ortografii sprzed blisko 90 lat:

„Tamtą kodyfikacja powstawała w atmosferze sporu i nie wszyscy chcieli się jej podporządkować [...], a jej główni architekci, profesorowie Kazimierz Nitsch i Stanisław Szober, doświadczili tego, co dzisiaj modnie nazywa się hejtem. Historia poucza, że każda reforma pisowni, jako oddziałująca na szerokie grupy społeczne i rozległe obszary życia, spotyka się z emocjonalnymi reakcjami. Przypuszczalnie będzie tak i w wypadku tej najnowszej [...]”.

Można to zrozumieć jako dość beczelne stwierdzenie: możemy nas hejtować, a my i tak zrobimy swoje. Można to też odebrać jako demonstracyjną odmowę wyciągnięcia wniosków z odbioru zmian z 1936 r.

Ta reforma nie jest wcale potrzebna. A już na pewno nie w takim zakresie. Nie tylko oznacza ona kapitulację przed językowym barbarzyństwem, ustąpienie nieukom i oszczędzenie „procesów myślowych” tym, którzy mają z nimi kłopot, lecz także znacząco zubaża pisaną polszczyznę. Dlatego powinna zostać oprotestowana. Ludzie, którzy pracują językiem, szczególnie pisanym, a których w ogóle nie pytano o zdanie, powinni wyrzucić presję na radę. Presja zaś miewa sens.

przyczyni się do zmniejszenia liczby błędów językowych oraz – być może – umożliwi piszącym skupienie się na innych niż ortograficzne aspektach poprawności tekstu”. Inaczej mówiąc – RJP uważa, że pisany literacki język polski należy dostosować do tych, którzy sobie z nim nie radzą, tak żeby nie musieli przesadnie wysilać mózgowicę i siłić się na „drobiazgową analizę znaczeniową tekstu”.

Druga cecha to pójście na rękę użytkownikom języka, którzy go kaleczą. Zmiany zostały tak pomyślane, żeby uwzględnić najczęściej popełniane błędy, wynikające z nieznaności reguł ortografii.

Trzecia cecha to ukłon w kierunku reklamarzy i marketerów, którzy uwielbiają zapisywać, co się tylko da, rozpoczynając od wielkich liter. Jest to zarazem zgoda na koszmarną manierę, wynikającą z bezmyślnego kopiowania do naszego języka angielskich reguł. Tam prawie w każdym rodzaju nazwy czy tytułu obowiązuje zapis każdego członu od wielkiej litery.

Można by pomyśleć, że sprawa dotyczy wąskiej dziedziny. To nieprawda: planowana zmiana będzie mieć olbrzy-



Dariusz Wieromejczyk

Przed drugą wojną światową media wprowadzały ludzi w błąd, donosząc, że Niemcy są słabo przygotowani, mają kiepski sprzęt wojskowy i brakuje im jedzenia. Aliantów za to wychwalano. Czy nie to samo dzieje się dziś?

Niepokojąco znajome wrażenie robi na czytelniku lektura polskiej prasy z ostatnich miesięcy przed wybuchem drugiej wojny światowej. Zapowiedzią nadciągającego konfliktu stała się wszechobecna w ówczesnych czasopiśmiech propaganda wojenna. Jak pisał we „Wspomnieniach warszawskich” Antoni Słonimski: „Czołgi niemieckie, jak wiadomo, zrobione były z tektury, nie będą mogły przejść Wisły, a jakby próbowały, to się rozkleją”. Czy w gazetach z przedednia wojny głoszone rzeczywiście tak zdumiewające poglądy?

Polski rynek prasowy w ostatnich latach przed wojną był niesłychanie bogaty i znacznie bardziej zróżnicowany od dzisiejszego. Dziesiątki gazet codziennych ukazywały się w nakładach, o których prasa współczesna może tylko marzyć. Ich sympatie polityczne, tematyka i stylistyka dziennikarska sprawiają na czytelniku wrażenie niesłychanej różnorodności, ekstrawaganckiego bogactwa, a także oszałamiającego chaosu. Opisanie całego tego, rozkwitającego przed burzą i unicestwionego nagle świata byłoby zadaniem na wielotomową rozprawę prasoznawczą. Tekst niniejszy jest co najwyżej zbiorem pobieżnie poczynionych spostrzeżeń, nie wyczerpującą analizą.

Wiele z gazet roku 1939 redagowanych było na wysokim poziomie i zamieszczały one oceny sytuacji politycznej napisane z rozwagą, często wbrew powszechnie głoszonym sztaampom. Szczególnie cenne wydaje mi się w tym względzie znakomicie redagowane przez Stanisława Mackiewicza, ukazujące się w Wilnie „Słowo”. Drukowane w nim artykuły budzą szacunek swoją niezależnością, odwagą i trzeźwością formułowa-

nym sądów. Pism rzetelnych, dalekich od propagandowej masówki było w tamtym czasie więcej. Niestety, nie one nadawały ton „głównemu nurtowi” ówczesnej prasy.

NIEMIECKA ARMIA BEZ WARTOŚCI

Pierwszą rzucającą się w oczy cechą przedwrześniowej propagandy prasowej było przedstawianie armii niemieckiej

jako formacji niemal bezwartościowej. Pierwsza z brzegu, zatytułowana „Samoloty niemieckie to latające trumny” notatka odsłaniała przed czytelnikami wileńskiego „Głosu Ziemi” (lipiec 1939 r.) następujące odkrycia: „Według statystyk amerykańskich Niemcy zajmują niezaszczytne, bo pierwsze miejsce pod względem ilości katastrof lotniczych w czasie lotów ćwiczebnych. Średnio co drugi dzień w takich wypadkach ginie



Układa przed tragedią

przeciętnie 3 lotników. Tak więc w roku 1938 na skutek katastrof lotniczych zginęło 700 lotników. Wysoki procent wypadków jest następstwem zbyt szybkiego tempa przygotowań kadr lotniczych i niskiej wartości materiałów, z których są budowane ich samoloty”.

O następstwach takich wypadków informował tekst „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” (sierpień 1939 r.) pt. „Niemcy dobijają swych rannych lotników, by nie mieć kłopotów z inwalidami!”: „Wielkie wrażenie w sferach lotniczych wywołała wiadomość o zgonie jednego z asów lotnictwa niemieckiego, który uległ niedawno wypadkowi podczas ćwiczeń. Lotnik ten, który przebywał w szpitalu, miał w tych dniach wyjść, stan jego zdrowia poprawił się bowiem. Lotnik ten jednak miał pozostać na resztę życia kaleką. Śmierć nastąpiła w tajemniczych okolicznościach po wizycie lekarza delegowanego przez władze. W sferach lotników berlińskich rozeszła się pogłoska, że na skutek wydanych ostatnio zarządzeń lotnicy, którzy stają się kalekami, mają być po prostu dobijani podczas leczenia”.

Podobnych informacji znaleźć można znacznie więcej. Zazwyczaj były one podparte autorytetem anonimowych, amerykańskich lub europejskich ekspertów i nie miały z prawdą wiele wspólnego. Nadawano im jednak pozory wiarygodności, powołując się na zagraniczne doniesienia prasowe. W cytowanym już „Głosie Ziemi” (maj 1939 r.) pt. „Zatonęła niemiecka łódź podwodna” informowano czytelników: „Z Kopenhagi donoszą, że w dniu 15 maja r.b. rybacy duńscy wyłowili boję, pochodzącą z niemieckiej łodzi podwodnej U 25. Według powszechnych przypuszczeń, łódź ta uległa katastrofie podczas ostatnich manewrów floty niemieckiej u wybrzeży Danii i Norwegii. Załoga U 25 liczy 40 marynarzy”. Zanim w sierpniu roku 1940 U-25 wszedł na aliancką minę na Morzu Północnym, zdołał zatopić osiem alianckich statków o łącznym tonażu 50 tys. ton.

Nie tylko wadliwe samoloty i tonące „według powszechnych przypuszczeń” okręty były zmartwieniem niemieckiej armii. Bezwartościowe miały też być pojazdy mechaniczne. Co pisał o nich, w przededniu wybuchu wojny, wydawany w Krakowie „Ilustrowany Kurier Codzienny”?

Oto, jaki obraz niemieckiej motoryzacji przedstawiał pochodzący z sierpnia 1939 r. artykuł pt. „Ersatze nie wygrają wojny”: „Za maszerującą kolumną wojsk zmotoryzowanych jadą długim szeregiem warsztaty samochodowe, kuźnie polowe, szweiserie, kolumny monterów, bormaszyny motorowe zajmujące wązowiskiem swoim tyle terenu drogowego, co sama kolumna wojsk liniowych. A jechać muszą, gdyż w okresie letnich ćwiczeń kolumn zmotoryzowanych na terenie wschodnich połaci Prus Książęcych odpadła jedna trzecia wozów, zatarasowując sobą drogi i absorbując na wycofanie siebie całe bataliony wojsk. Zużytkowuje się ponadto na podobną karawanę niesłychaną ilość paliwa, którego coraz to większy brak się wyczuwa i do którego dolewa się już dziś przedziwne mieszanki, zanieczyszczające przewody maszyny [...]. Na ersatach daleko się nie pojedzie. Wobec zupełnej klapy motoryzacji nawrócono ostatnio do siły konia...”.

Ten sam tekst kończył się wypowiedzią ubolewającego nad katastrofą swojego kraju Niemca: „– Plony niezbrane porastają na polach, z powodu braku żelaza konstruktywnego brakuje w Rzeszy 2 000 000 mieszkalnych domów, cóż nam po motoryzacji, gdy z powodu braku paliwa nie można z maszyn korzystać, cóż z motoryzacji armii, która nie jest w stanie dobrać do frontu, na gratach, które się łamią i wał”.

NIEMCY NIE MAJĄ CO JEŚĆ

Kpiny z „tekturowych czołgów” nie były, niestety, wymysłem Antoniego Słonimskiego. Wszystkie rodzaje niemieckiej broni opisywano w polskich gazetach jako niegroźne, wybrakowane, żałośnie nieefektywne. Nawet konie niemieckie miały być fatalnej jakości, karmione najgorszymi paszami i zaniedbane z powodu „obsesyjnego” zwrócenia się Hitlera ku pozornym zaletom motoryzacji. Cóż tu jednak mówić o jakichś paszach dla koni, skoro w samych Niemczech ludność była rzekomo wygłodzona, a z zajętego dopiero co terenu Czechosłowacji rabować miano chleb, mięso, a nawet niedostępne w Rzeszy Niemieckiej mydło.

O powszechnych w Niemczech niedoborach żywności lub panującym powszechnie głodzie pisano w polskiej

prasie, co następuje: „Zamiast cebuli po sklepach widnieją małe, zgrabne flaszczyki z napisem »Zwiebel Extract«, miast jajek – jajka w konserwach i proszek jajka zastępujący, z barwnikiem szafranowym. Ilość konsumowanej kawy na rodzinę nie może przekraczać kwantum od 30–125 gramów tygodniowo, masło wydziela się na rodzinę w ilości 170 gramów... a tłuszczami zwierzęcymi należy się obejść, zastępując je ilością 100 gramów tłuszczów roślinnych tygodniowo. Ersatze, miast pełnowartościowego pożywienia dla organizmu, łudzące smak namiastki wyjąłowane z białka i niedające ciepła kaloryjnego pracującym mięśniom” („Ilustrowany Kurier Codzienny”, sierpień 1939 r.).

Nic więc dziwnego, że wygłodniałymi żołnierzami niemieckimi nie byli nawet w stanie udźwignąć karabinu, a ludność cywilna, morzona głodem, sabotowała pracę w fabrykach lub starała się z Niemiec uciekać. Fatalne braki żywności owocować miały chorobami, które ze szczególną zaciekłością atakowały przywódców Trzeciej Rzeszy. Informacje o śmiertelnych chorobach trapiących Hitlera i wielu jego paladynów ukazywały się w przedwojennej prasie również często, jak pogłoski o chorobach Putina w mediach współczesnych.

Jaskrawym przeciwieństwem słaniających się na nogach żołnierzy niemieckich mieli być, w relacjach polskiej prasy, wojacy angielscy i francuscy. Oto co pisał o nich „Ilustrowany Kurier Codzienny” (sierpień 1939 r.): „Niedawno oświadczył w izbie gmin angielski minister wojny Hoare Belisha, że żywi żołnierze »niczem pensjonariuszy w sanatorium«. Komisja kontrolująca tę sprawę dowiodła, że wojskowi angielscy otrzymują na śniadanie herbatę, grzanki, masło i marmeladę, na obiad zupełne mięso z ziemniakami i deser; na podwieczorek herbatę z ciastem biszkoptowym, na kolację cztery potrawy [...]. Anglia tak kocha swoją młodą armię, że wobec obfitości środków spożywczych w tym kraju nie zniszłaby, gdyby pupile narodu nie byli odpowiednio odżywiani”.

POTĘGA ALIANTÓW

Peany na cześć uzbrojenia i potęgi armii francuskiej, a jeszcze częściej brytyjskiej pojawiają się w przedwojennej prasie stale – w tygodniach

■ poprzedzających wojnę – codziennie. Ze szczególnym zapalem komplementowano brytyjskie lotnictwo, które w razie wybuchu wojny spotykać się miało z polskimi bombowcami nad płonącym Berlinem.

Gazety informowały, że Brytyjczycy już teraz produkują tysiąc maszyn bojowych miesięcznie, a w razie konieczności z łatwością wyprodukować mogą 40 tys. samolotów bojowych rocznie. Nowoczesne maszyny właśnie opuszczają miały „ogromne hale fabryczne” w Kanadzie i tysiącami docierać do brytyjskich lotnisk drogą powietrzną, nad Atlantykiem i Irlandią. Potęgę tę wspierały rzekomo zakupy nowoczesnych samolotów ze Stanów Zjednoczonych. O eksporcie tym, liczącym w setkach milionów dolarów, a adresowanym do Wielkiej Brytanii i Francji z entuzjazmem informowano polskich czytelników. W prasie nie tylko drukowano liczne fotografie najnowszych brytyjskich samolotów bojowych, lecz także informowano o ich zasięgach, prędkości i uzbrojeniu.

Co wydaje się dziwne, uzbrojenie polskiej armii nie było opisywane tak chętnie – jego zdjęcia pojawiały się raczej w kontekście zbiorów organizowanych na Fundusz Obrony Narodowej. Charakterystyczne jest zamieszczenie w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym” zdjęcie polskich bombowców „Łoś” opatrzone komentarzem: „Eskadra naszych bombowców »Łoś«, które według opinii pułkownika Lindbergha należą do najlepszych na świecie”. Opinia amerykańskiego lotnika podana była jako argument rozstrzygający.

Bardzo charakterystyczne dla propagandy tamtego czasu było nieustanne powoływanie się na sądy polityków i dziennikarzy krajów Zachodu – zwłaszcza sojuszniczej Francji i Anglii. To ich pochwały miały utwierdzać polską determinację do walki. Zacytujmy relację zamieszczoną w „IKC”, odwołującą się do opublikowanego w brytyjskim piśmie „Observer” tekstu „znanego publicysty” Garwina. „Polacy, jak trzeba, będą walczyli do ostatniej kropli krwi o zachowanie swej pełnej wolności. W tej walce będą oni mieli nie tylko bezzwłoczne poparcie swoich aliantów, lecz także sympatię dziesięciu dziesiątych całego świata” – oświadcza Garwin. Wygląda na to, że kompleksy wobec krajów Zachodu i chęć przypodobania się tamtejszej

opinii publicznej stanowiły skuteczną sprężynę propagandowego przekazu – bardzo podobnie jak dziś.

Niezmiernie popularne było powoływanie się na opinię Stanów Zjednoczonych. Także ich pomoc, udzieloną Polsce w wypadku hitlerowskiej agresji, uważano za pewnik. Tydzień przed wybuchem wojny „Ilustrowany Kurier Codzienny” opisywał odbywającą się w Warszawie uroczystość. Zajmujący całą stronę, bogato ilustrowany artykuł opatrzony został tytułem „Jedyna w dziejach manifestacja.

Polska prasa w okresie poprzedzającym wojnę światową nie informowała czytelników w sposób rzetelny

Zbiorowy hołd Stanów Amerykańskich dla Polski”. Opisywał on „wydarzenie niebotowane dotychczas w historii żadnego narodu. Będzie to bowiem zbiorowy hołd Ameryki dla Polski, uroczystość po prostu niebywała w dziejach, a posiadająca ogromne znaczenie propagandowe dla Polski [...]. Zbliżająca się obecnie uroczystość odbiega swą formą od wszelkich spotykanych dotąd przejawów sympatii międzynarodowych. Oto wszystkie stany, terytoria i wyspy Stanów Zjednoczonych Ameryki, wraz z miastem Chicago jako stolicą wychodźstwa polskiego w Ameryce, oraz odległe Wyspy Filipińskie ofiarowały swoje sztandary w hołdzie Polsce. Wraz ze sztandarami wręczone będą p. Prezydentowi RP LISTY HOŁDOWNICZE nadesłane na jego ręce przez gubernatorów poszczególnych stanów [...]. Wyspy Hawajskie przysłały sztandar wraz z listem gubernatora J.B. Pointdextera z Honolulu. List z życzeniami zaopatrzony jest w wielką pieczęć urzędową koloru niebieskiego z herbem Wypu Hawajskich, wokół którego biegnie napis w narzeczu hawajskim »Ua Mau Ke Ea O Ka Aina I Ka Pono«, co w przekładzie na język polski brzmi »Przez światło zarządzenia i posłuszeństwo narodu można budować wielkie i potężne państwo«.

Nawet w obliczu wieści o zawartym właśnie w Moskwie pakcie Ribbentrop-

-Mołotow przedstawiano go jako wyraz dyplomatycznego osamotnienia hitlerowców. „Trwałość i wartość umowy moskiewskiej, przy słowności i solidności obu kontrahentów jest więcej niż problematyczna, jeżeli dodamy do tego niemal pewność, po ostatnich oświadczeniach amerykańskich, iż po pierwszych strzałach w Europie Kongres zmieni ustawę o neutralności i że ogromne zapasy Ameryki staną do dyspozycji państw broniących prawa i pokoju, to izolacja Niemiec, wywołana paktem moskiewskim, wbrew wszystkim pozorom wystąpi jeszcze jaśniej” („IKC”).

W ciekawym artykule z „Kuriera Poznańskiego” (sierpień 1939 r.), w którym wspomniano nawet o pogłoskach dotyczących podpisania w Moskwie „tajnego protokołu” niemiecko-sowietkiego, interpretowano to jako kolejną klęskę Niemiec. Gazeta pisała bowiem, że protokół ów najpewniej wymierzony jest w interesy Japonii na Dalekim Wschodzie, a co za tym idzie, spowoduje azjatyckie mocarstwo do porzucenia państw Osi.

Trudno nie wyciągnąć wniosku, że polska prasa okresu poprzedzającego wojnę światową nie informowała czytelników w sposób rzetelny o gwałtownie pogarszającej się sytuacji międzynarodowej Polski. Czy przedstawianie przeciwnika wojennego jako niegroźnego słabeusza było działaniem służącym interesom wojennym kraju? Można sądzić, że przyniosło ono wymierne szkody nie tylko morale ludności, lecz także duchowi bojowemu wojska. Co musieli pomyśleć o elitach swojego państwa żołnierze, gdy przekonali się, że niemieckie czołgi nie psują się po przejechaniu byle rowu, a samoloty nie spadają rojami z nieba w wyniku fatalnego wyszkolenia lotników i „ersatzów” materiałowych, czyniących je niezdolnymi do walki?

Okłamywanie obywateli nie jest formą wprawiania ich do obowiązków obronnych, a lekceważenie przeciwnika nikomu jeszcze w walce nie posłużyło. Błędy popełnione przez autorów sanacyjnej propagandy przyczyniły się do trwającej przez wiele pokoleń zbiorowej traumy. Można odnieść wrażenie, że ludzie nadający dziś ton współczesnym polskim mediom niewiele się z tej historii nauczyli.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Kategoryzacja

Kategoryzacja – pojęcie bardziej znane z historii Związku Sowieckiego miało zastosowanie również w Polsce Ludowej, która była de facto nieformalną prowincją Wielkiego Sądada. Przy czym owo „prawie” nie czyniło specjalnej różnicy.

Komuniści w Polsce po 1944 r. kopiowali masowo wiele rozwiązań, znanych już dobrze w Sowietach. Jednym z nich była kategoryzacja ludności, czyli jej podział według określonych kryteriów. Dziś mamy PESEL-e, Pegasusy i kto tam wie, co jeszcze. Gawiedź aż piszczy na dźwięk tego ostatniego słowa, choć to nie jest szczytowe osiągnięcie totalniackich ciągów europejskiego zjednoczenia „szczególnego pokroju”, jakby to nazwał towarzysz Józef Stalin.

Władza ludowa chciała – i z oczywistych powodów musiała – znać niedawną przeszłość swych poddanych, czyli według ówczesnej nowomowy: obywateli. Przede wszystkim dotyczyło to „elementu przestępczego i podejrzanego”. Mówiła o tym specjalna instrukcja, wydana 21 stycznia 1949 r. Owi „przestępcy i podejrzeni” podzieleni zostali na aż 25 wydzielonych kategorii. Łatwiej było ich w ten sposób śledzić i rozpoznawać, czy może coś tam jeszcze złego knują?

Kilka z tych kategorii wielce „przestępczych” warto przypomnieć. Bo kto wie, co nas jeszcze czeka?

– „Osoby rozpowszechniające wrogą propagandę”: byli

to np. wypowiedzi o chronicznym braku towarów na rynku (nawet tych kartkowych) czy o ich stale rosnących cenach;

– „przemysłowcy, wielcy kupcy, bogacze wiejszy oraz ich rodziny”: pod panowaniem komunistów ta kategoria całkowicie zaniknęła, na skutek gwałtownych konfiskat została całkowicie unicestwiona. Reszty dopełniły wyroki. Ale to nic, odpowiedzialność za przeszłość nadal obowiązywała i dotyczyła również rodzin;

– „przedwojenni pracownicy na kierowniczych stanowiskach w aparacie wymiaru sprawiedliwości, w aparacie państwowym, samorządowym, gospodarczym i instytucjach społecznych”. To nic, że ciągłość ich pracy i zaangażowania przerwały obie okupacje po 1939 r. (niemiecka i sowiecka), następnie panowanie Polski Ludowej po 1944 r.

Klasyfikacja/kategoryzacja obywateli Polski Ludowej ciągnęła się za nami jeszcze długo. Kto dziś pamięta z tamtych lat konieczność wpisywania w życiorysach i wszelkich ankietach... „pochodzenia społecznego”? Były dwa główne: robotnicze i inteligencja pracująca. Za to pierwsze były przecież dodatkowe punkty, choćby w przyjęciach do określonej szkoły i na studia (niezależnie od zdania egzaminów wstępnych). Nie było natomiast takich kategorii, jak lumpenproletariat i „awans społeczny” (po sowiecku: wydłużenie). Tego akurat szkoda. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Po bitwie pod Grunwaldem

Ostatnim akordem batalii z 15 lipca 1410 r. było zdobycie krzyżackiego obozu. Zaraz potem Jagiełło polecił rozbić wszystkie znalezione tam beczki z winem, które zakonnicy przygotowali na ucztę zwycięstwa. Monarcha był zupełnym abstynentem, obawiał się zresztą, że pod wpływem alkoholu dojdzie do samosądów na wziętych do niewoli. Tym bardziej że w rękach polskich znalazło się wielu członków znakomitych rodów.

Natomiast to, co wydarzyło się w następnych dniach, do dzisiaj wzbudza spory wśród historyków. Nagle jakby coś się zacięło w sprawnie działającej polsko-litewskiej machinie militarnej. Wprawdzie armia nie obozowała zbyt długo na polu bitwy, ale niespodziewanie bardzo wolno wędrowała w kierunku Malborka. Niecałe 100 km pokonano w dziewięć dni, podczas gdy wcześniej zajmowało to trzy razy mniej czasu. Wcześniej do Malborka dotarł nawet wóz ze zwłokami wielkiego mistrza, Ulryka von Jungingena, które na polecenie króla odnaleziono na polu bitwy, obmyto i ustrojono purpurą. W tym czasie w krzyżackiej stolicy zapanała kompletna panika, a dowódca obrony zamku, komtur Świecia, Henryk von Plauen, zaproponował nawet Jagielle oddanie Pomorza w zamian za pokój.

Rada królewska zażądała jednak bezwarunkowej kapi-

tulacji i von Plauen, nie mając wyboru, bronił Malborka. Nie miał z tym większych problemów, gdyż oblężenie prowadzono wyjątkowo nieudolnie, a Jagiełło sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie zależało mu na zdobyciu zamku.

Na pewno nie chciał tego Witold, który po kilku tygodniach postanowił wrócić na Litwę. Wkrótce potem król nakazał odwrót do kraju i rozpuścił armię. Henryk von Plauen twierdził później, że gdyby Jagiełło przedłużył oblężenie o dwa tygodnie, to Malbork skapitulowałby z braku żywności.

Jagiełło miał jednak własne plany i chciał utrzymać unię polsko-litewską na partnerskich zasadach. Natomiast w przypadku całkowitego zniszczenia zakonu Polska zyskiwałaby przewagę i zdominowałaby Litwę. A do tego król nie chciał dopuścić.

Warto też pamiętać, że Polsce groził najazd ze strony sprzymierzeńca zakonu, Zygmunta Luksemburskiego. Król Węgier nigdy nie zgodziłby się na całkowite zniszczenie państwa krzyżackiego, gdyż zmieniłoby to sytuację polityczną w tej części Europy. Jagiełło o tym doskonale wiedział i nie zamierzał rzucić polskiego rycerstwa w kolejną ciężką wojnę. Nie zmienia to jednak tego, że z punktu widzenia polskich interesów triumf pod Grunwaldem nie został wykorzystany. Zakon został tylko osłabiony, a do tego nie odzyskano Pomorza utraconego przed 100 laty. ©©



Francja w powyborczym impasie



Marek Jurek

Największą partią Francji pozostaje nadal Zjednoczenie Narodowe. Euforia liberalnych mediów zagłuszyła to, że również w drugiej turze wyborów partia Marine Le Pen dostała najwięcej głosów

Urzędowa Europa wpadła w euforię, jej protegowani u nas też. Niezrównany Michał Szczęcha zawołał, że „we Francji zatrzymano zło”, a Sławomir Nitras ogłosił, że „Mbappé jednak wygrał”. Mocno się jednak pomylił. Owszem, Mbappé zaapelował o głosowanie przeciw Zjednoczeniu Narodowemu, ale zaraz potem przegrał.

Francja pod wodzą Mbappé odpadła w półfinale mistrzostw Europy. Wybory nie przyniosły jej szczęścia.

PO CO MACRON ROZWIĄZAŁ PARLAMENT?

Cały świat stawiał sobie to pytanie. Decyzję prezydenta Macrona o wcześniejszych wyborach parlamentarnych przywódcy i komentatorzy liberalni porównywali do ogłoszenia przez Davida Camerona referendum na temat pozostania Wielkiej Brytanii w Unii Europejskiej. Nie ma tu jednak analogii. Cameron był pewien swego przywództwa i gdy ogłaszał referendum – miał dane, by je wygrać. Owszem, przegrał, ale za pozostaniem w Unii głosowało ponad 48 proc. Brytyjczyków. Emmanuel Macron rozwiązywał Zgromadzenie Narodowe w zupełnie innej sytuacji. Nie chodziło nawet o to, że Zjednoczenie Narodowe wygrało wybory do Parlamentu Euro-

pejskiego. Partia Marine Le Pen wybory europejskie wygrywa regularnie od 10 lat, jest największą partią Francji i nic nie wskazywało, żeby miało się to zmienić.

O ile jednak przed pięć laty Zjednoczenie Narodowe wygrało z obozem Emmannuela Macrona (Maszerująca Republika, Ruch Demokratyczny itp.) różnicą niespełna 1 proc. głosów, o tyle teraz zdobyło ponaddwukrotnie większe poparcie od listy prezydenckiej. Zwolennicy urzędującego prezydenta nie przekroczyli nawet progu 15 proc. Wybory stanowiły więc kompletną delegitymizację obecnej władzy.

Co niosła sytuacja? Macron miał przed sobą dwa i pół roku słabej prezydentury, w obliczu opozycji z lewa, z prawa i na ulicy. Prezydent – skazany na reprezentowanie rządu pozbawionego poparcia w kraju – nie dysponowałby żadnym decydującym atutem, by odwrócić bieg wydarzeń. Należało się więc spodziewać, że poparcie dla proprezydenckiego rządu będzie systema-

Jean-Luc Mélenchon (przy mównicy)
swoją sukces zawdzięcza w dużym
stopniu szerokiemu poparciu francuskich
muzułmanów. FOT. THOMAS PADILLA/AP/EAST NEWS



podstawą jego pozycji w przyszłości. A Konstytucja V Republiki nie wyklucza jego ponownego kandydowania po pięcioletniej przerwie. I już w tej chwili daje w ręce prezydenta niezwykle ważne uprawnienie, zawarte w art. 12. Prezydent może już po roku po raz kolejny rozwiązać parlament, więc przeprowadzić coś w rodzaju „reassumpcji” wyborów. Do tej pory doświadczenie powtarzanych referendów europejskich (w Danii czy w Irlandii) pokazuje, że w systemie liberalnym taki manewr popłaca. Z pewnością ten wariant brał pod uwagę Emmanuel Macron w wypadku wygranej Zjednoczenia Narodowego.

NIE MA WROGA NA LEWICY ANI W MOSKWIE

Pierwsza tura wyborów prezydenckich pokazała jasno, że bez skrajnej lewicy nie ma większości przeciw Zjednoczeniu Narodowemu. Obóz Macrona przegrał bowiem nie tylko z narodową prawicą, lecz także z – to nie opis, nazwa jest zupełnie oryginalna – Nowym Frontem Ludowym. Macron wezwał więc przed drugą turą wyborów do sformowania szerokiego „frontu republikańskiego”, co prawicowy tygodnik „Valeurs actuelles” skwitował okładką ze zdjęciem prezydenta z przywódcą skrajnej lewicy, Jeanem-Lucem Mélenchonem i z hasłem „No pasarán!”.

We Francji Front Republikański już nieraz oznaczał rozszerzony Front Ludowy. Ów sojusz (któremu z takim zapalem kibicowali Donald Tusk i „Gazeta Wyborcza”) dobrze zobrazowała francuską alternatywę. Mélenchon w młodości działał w Komunistycznej Partii Internationalistycznej, nawiązującej nie do nudnego „socjalizmu realnego”, ale wprost do rewolucji bolszewickiej. Jego aktualna partia, Francja Niepokorna, zjednoczyła rozmaite grupy skrajnej lewicy, począwszy od Francuskiej Partii Komunistycznej, przez Nową Partię Antykapitalistyczną i Lewicę Ekosocjalistyczną, na wielu innych podobnych grupach skończywszy.

Choć sam Mélenchon lubi powoływać się na Robespierre’a, to nie należy uważać melenchonistów za rekonstrukcyjnych marzycieli, motywowanych przez ekosocjalistyczną utopię albo marzenia o przeżyciu raz jeszcze dawnych rewolucji. Ich idee są nader konkretne. Mélenchon jest zapalonym przeciwnikiem

przymierza atlantyckiego, po aneksji Krymu opublikował artykuł „Krym to strata dla NATO, tym lepiej”. Tłumaczył w nim, dlaczego Putin powinien być zaatakować Ukrainę. „Jak tak dalej pójdzie – Rosjanie stracą Donieck. A Polacy też się wtrąca, choć to już inna historia”. To ostatnie było echem antypolskich manii, tak łatwo przyjmujących wszelkie insynuacje wobec naszego kraju, np. absurdalne twierdzenia Moskwy o polskich pretensjach terytorialnych wobec Ukrainy. To niejedyny przykład poglądów Mélenchona na temat środkowoeuropejskiej geopolityki. Sojusz Polski i innych państw Europy Środkowej z państwami zachodnimi w ramach NATO Mélenchon uznał za prowokację i otwarte naruszenie „liter traktatu północnoatlantyckiego”. W tym kontekście jego zamiłowanie do marksistowskich reżimów w Ameryce Łacińskiej, podziw dla Hugona Cháveza czy Nicolása Maduro można traktować już tylko jako mniej istotną ciekawostkę.

Dwa lata temu Mélenchon wprowadził skrytykował agresję Rosji na Ukrainę, ale jeszcze w trakcie koncentracji wojsk na ukraińskich granicach mówił na antenie France Inter, że „Rosja nie jest przeciwnikiem, ale partnerem, choć niełatwym”. Miesiąc przed rosyjską agresją (18 stycznia 2022 r.) oświadczył, że każdy kraj, mając takiego sąsiada jak Ukraina, gromadziłby wojska na jego granicy. Agresję rosyjską potępił, owszem, ale od razu oświadczył, że sytuacja wymaga „dyskusji”, a nie sankcji. I że oczywiście choć nie jest neutralny, to nie podpisuje się pod stanowiskiem żadnej ze stron w tej wojnie.

Paweł Kowal, odpowiadając w ramach koalicji rządzącej za politykę wobec Ukrainy, po wyborach oświadczył, że po raz pierwszy w życiu jest szczęśliwy, że lewica wygrywa wybory i że Putin we Francji przegrał. Tym bardziej warto poznać poglądy tych, których wygrana Kowalowi sprawiła tyle radości.

CZY FRANCJA MA ISTNIEĆ NADAL?

Jean-Luc Mélenchon swój sukces zawdzięcza jednak w znacznie większym stopniu szerokiemu poparciu francuskich muzułmanów niż swym poglądom geopolitycznym. Choć (co wyjaśnię za chwilę) to nie są rzeczy całkiem odrębne. Osobliwe zjawisko sojuszu francuskiej marksistowskiej lewicy i islamu

tycznie maleć. Narzucającą się alternatywą była więc dwuwładza czy – jak się częściej u nas mówi – kohabitacja.

Jego najbardziej klasycznym przykładem był drugi rząd Chiraca, za prezydentury François Mitterranda. Oczywiście okoliczności wtedy były inne niż dziś. Chirac doszedł do władzy nie po wyborach przedterminowych, ale po regularnych, w 1986 r. Jednak mimo wyraźnego mandatu dwa lata współrządzenia z prezydentem superwizorem, komentującym, ale nie ponoszącym odpowiedzialności, skończyły się dla Chiraca przegraną w wyborach prezydenckich i odzyskaniem pełni władzy przez prezydenta Mitterranda.

Macrona nie czekają wybory prezydenckie (nie będzie mógł kandydować po 10 latach władzy), co nie zmienia tego, że z pewnością nie ma zamiaru po złożeniu urzędu wycofywać się z życia publicznego. Koniec prezydentury będzie

■ socjolog Pierre-André Taguieff już dawno temu określił jako islamolewactwo. A konwergencja ta ma charakter o wiele głębszy niż tylko wyborczy. Mélenchon jest wprost zwolennikiem nowej konstrukcji (albo raczej po prostu dekonstrukcji) francuskiej tożsamości. Zamiast asymilacji imigrantów proponuje „kreolizację” Francji, świadome dążenie do przemieszania ras i kultur.

Éric Zemmour, prawnicowy rywal Marine Le Pen, trafnie skłonił, że Mélenchonowi nie chodzi o to, by przyszła Francja była bardziej podobna do Martyniki niż do Owernii, ale o to, by była podobna do Libanu albo wprost – do Syrii. „Kreolizacja” to tylko egzotyczna formuła, której realna treść nie ma wiele wspólnego z urokami Antyli. Mélenchonowska „kreolizacja” w praktyce oznacza islamizację, ze wszystkimi jej konsekwencjami. Krótko przed wyborami grono francuskich uczonych (m.in. Georges Bensoussan, Pierre-André Taguieff, Pascal Perrineau) zaapelowało o „zagrozenie drogi do władzy Nowemu Frontowi Ludowemu, która to koalicja stanowi dziś największe zagrożenie dla żydowskich Francuzów i dla Francji w ogóle”. Szczególnie skrytykowali przewodnią siłę Frontu, Francję Niepokorną, która „uczyniła z antyżydowskiej nienawiści strategię wyborczą”.

Komuniści zawsze potrafili odwoływać się do uprzedzeń społecznych, jeśli to było dla nich korzystne. I nie oznacza to tylko ekscytowania arabskiej wrogości do Żydów. W 2005 r. Mélenchon pisał, że „polski hydraulik” wybrał „narodowo-katolicką i anieuropejską większość sprzymierzoną ze skrajną prawicą” i zaraz potem atakował Polskę za zastrzeżenia do Karty praw podstawowych UE. Łatwo zrozumieć, że atakował Polskę. Ale jakżeż przywódca proletariackiej lewicy mógł atakować hydraulików?!

CO NIESIE PRZYSZŁOŚĆ?

Witold Orłowski, ambasador we Francji za prezydentur Lecha Kaczyńskiego i Bronisława Komorowskiego, stwierdził po wyborach, że prezydent Macron „kupił sobie czas”. Najlepszym tego dowodem jest względnie cierpliwe przyjęcie jego decyzji o czasowym pozostawieniu u władzy premiera Attala „dla utrzymania stabilności w kraju”. Ale to tylko część prawdy.

Teoretycznie Macron powinien być w Zgromadzeniu arbitrem między narodową prawicą a radykalną lewicą. Wypełniałby w ten sposób powołanie (konstytucja czyni go „arbitrem” właśnie) i miałby do tego instrumenty. Popierająca go koalicja Razem dla Republiki będzie drugą siłą w Zgromadzeniu Narodowym, z przewagą 25 mandatów nad Zjednoczeniem Narodowym (od którego zdobyła prawie 3 mln mniej głosów, 6,4 mln – 9,3 mln). To wystarczająca reprezentacja, by utworzyć większość zarówno z narodową prawicą, jak i z radykalną lewicą. Co więcej, żadna większość parlamentarna nie będzie bez zwolenników prezydenta możliwa.

Zjednoczenie Narodowe swą porażkę krajową szybko przekuło na sukces europejski

Tak to wygląda w teorii. W praktyce jednak Macron nie będzie arbitrem, ale zakładnikiem skrajnej lewicy, którą wypromował. Czas więc, który sobie kupił, nie musi trwać długo. Co więcej, jest bardzo mało prawdopodobne, by macroniści uzyskali po raz drugi wynik, który udało im się osiągnąć teraz. W ciągu najbliższych miesięcy polaryzacja polityczna Francji może się tylko pogłębić. Macron mógł zachować dystans wobec rządu w warunkach dwuwładzy ze Zjednoczeniem Narodowym, teraz będzie musiał wziąć odpowiedzialność za rząd z udziałem radykalnej lewicy, postulującej (poza wszystkim) pełną anarchię budżetową. A gdy się od niego zdystansuje – wyniki jego zwolenników, zawdzięczających mandaty poparciu skrajnej lewicy w drugiej turze, nie będą już tak dobre.

Największą partią Francji pozostaje nadal Zjednoczenie Narodowe. Euforia liberalnych mediów zagłuszyła to, że również w drugiej turze wyborów partia Marine Le Pen dostała najwięcej głosów. Co więcej, o ile w pierwszej turze przewaga prawicy narodowej nad lewicą wynosiła trochę ponad pół miliona głosów, o tyle w drugiej urosła do ponad półtora. Nie dlatego jednak, by lewicy spadło

poparcie, ale dlatego, że jej zapaleni zwolennicy – w ramach „frontu republikańskiego” – oddawali w drugiej turze głosy również na kandydatów Macrona.

W konstytucji francuskiej V Republiki decydującą rolę ma prezydent. Nie tylko wyznacza premiera, lecz także przewodniczy posiedzeniom Rady Ministrów. Może też rozwiązać parlament. Przez referendum może się zwracać o bezpośrednie poparcie do narodu. Nie darmo politolodzy nazwali ten stworzony przez gen. de Gaulle’a ustrój monarchią republikańską. Sam de Gaulle wzorował go na polskiej konstytucji kwietniowej.

Jeśli utrzymają się trwające od wielu lat tendencje, to za dwa lata najważniejszymi kandydatami do urzędu prezydenta będą Marine Le Pen i Jean-Luc Mélenchon. To oni kierują największymi obozami politycznymi we Francji. Przymierza historycznej lewicy z Mélenchonem i neogaullistów Érica Ciottiego z Marine Le Pen to tylko polityczny wyraz społecznych trendów. Z pewnością prezydent wybrany w 2027 r. zarządzi nowe wybory parlamentarne i zapewne (taka była do tej pory socjologiczna reguła) w nowym parlamencie uzyska większość wspierającą jego politykę. Francja nie może odraczać wyboru w nieskończoność i wybierze dalsze pograżanie się w dekadencji lub jakąś próbę odnowy, jeśli będzie do tego jeszcze zdolna, jeśli nie będzie za późno.

A POLSKA?

Na koniec jeszcze jedna uwaga. Zjednoczenie Narodowe swą porażkę krajową szybko przekuło na sukces europejski. Marine Le Pen porozumiała się z Viktorom Orbánem i niedoszły premier Jordan Bardella zostanie w Parlamencie Europejskim przewodniczącym nowej grupy Patrioci dla Europy, do której przeszły m.in. hiszpański VOX i Duńska Partia Ludowa, sprzymierzone do tej pory z Prawem i Sprawiedliwością. Viktor Orbán już kilka miesięcy temu oświadczył, że przyszłość prawicy europejskiej zależy od porozumienia dwóch kobiet – Giorgii Meloni i Marine Le Pen. Porozumienia obu pań jeszcze nie ma, ale tymczasem to premier Węgier zmontował najsilniejszą grupę prawicy w Parlamencie Europejskim. Dlaczego nie my?

© Wszelkie prawa zastrzeżone



KARA ZA CAŁOWANIE ŻONY

Karę 200 franków szwajcarskich (czyli ok. 900 zł) musi zapłacić kolarz Julien Bernard. Ten francuski zawodnik w trakcie wyścigu Tour de France zatrzymał się, gdy na drodze stanęła mu grupa kibiców. Byli to jego znajomy i żona. Bernard uścisnął bliskich, pocałował małżonkę i pojechał dalej. Nagranie z tego zdarzenia obiegło Internet i stało się wiralem. Po ukończeniu wyścigu Francuz dowiedział się, że ten incydent odnotowała Międzynarodowa Unia Kolarska, która uznała, że naruszył przepis dotyczący „niewłaściwego zachowania” oraz „niszczenia wizerunku sportu”.

FOT. YOUTUBE.COM/@LESDORTFRANCE

ZWYCIĘSTWO JAPONII

Kraj, który do dziś kojarzony jest u nas z najnowocześniejszymi technologiami, ogłosił właśnie, że wyeliminował ostatnie przepisy wymagające od petentów dostarczania danych na... dyskietkach. „28 czerwca wygraliśmy wojnę z dyskietkami” – ogłosił Taro Kono, japoński minister cyfryzacji. Specjalną agencję do spraw cyfryzacji powołano w tym kraju dopiero w 2021 r., gdy podczas pandemii okazało się, że w administracji wciąż polega się na papierowych drukach i przestarzałych nośnikach danych.

UKRAIŃSKA UCIECZKA PRZEZ OKNO

Ukraińcy mają obowiązek obrony kraju. Nie wszyscy oczywiście chcą go wypełnić. Jeden z mężczyzn, który nie kwapił się na front, obmyślił plan ucieczki do Polski. Wsiadł do pociągu, który na trasie do Węgier przejeżdża przez Bieszczady, blisko polskiej

granicy. W odpowiednim momencie wyskoczył z pociągu przez okno. Niestety, nigdzie nie doszedł, bo skok zakończył się złamaniem nogi. Został odnaleziony przez ukraińską straż graniczną.

POLICJANT Z SEREM

Niemiecki Wyższy Sąd Administracyjny ostatecznie zdecydował, że były policjant nie może wrócić do służby. Chodziło o funkcjonariusza, który w 2019 r. pojechał zabezpieczyć wypadek na autostradzie A61. Policjant zabrał z uszkodzonego dostawczaka kilka paczek sera. W sumie zarzucono mu kradzież sera o wartości w przeliczeniu przekraczającej 2 tys. zł.

MINISTERSTWO DO ROZMNAŻANIA

W Korei Południowej rodzi się za mało dzieci. Społeczeństwo się starzeje. Odpowiedzią władz na ten problem będzie powołanie nowego urzędu – Ministerstwa Strategii Ludnościowej. Jeszcze za wcześniej, by oceniać, jak rozrost biurokracji wpływa na prokreację. ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Polka potrafi!

Pierwszy raz w historii Polska zdobyła prestiżową nagrodę European Inventor Award, która przyznawana jest przez Europejski Urząd Patentowy naukowcom i inżynierom, których wynalazki „pomagają rozwijać technologię i znacząco polepszają jakość życia”. A do tego otrzymała również nagrodę publiczności.

Czterdziestojednoletnia dr Olga Malinkiewicz, która fizykę studiowała m.in. na Uniwersytecie Warszawskim, a doktorat obroniła na Uniwersytecie w Walencji, pokonała wszystkich europejskich konkurentów dzięki opracowaniu technologii

drukowania elastycznych ogniw słonecznych na ultracienkich perowskitach, czyli minerałach o sześcienniej strukturze krystalicznej.

Doktor Malinkiewicz jest świetnym przykładem tego, że „Polka potrafi” – jeszcze na studiach opracowała bowiem metodę zastosowania materiału perowskitowego na dowolnym podłożu. Dlaczego to ważne? Bo właśnie ogniwa perowskitowe uznawane są za materiał mogący zmienić przyszłość fotowoltaiki, są bowiem tańsze, lżejsze i bardziej wydajne od stosowanych obecnie ogniw krzemowych. Doktor Malinkiewicz w 2014 r. została więc

laureatką prestiżowej nagrody Photonics21 Student Innovation Award, a rok później – też jako pierwsza Polka w historii – zwyciężyła w rankingu Innovators Under 35, organizowanym przez prestiżowy magazyn „MIT Technology Review”.

Młodej Polce udało się też trudna sztuka przejścia z etapu badań naukowych do komercjalizacji. Jest współzałożycielką wrocławskiej firmy Saule Technologies, której celem jest upowszechnienie technologii ogniw słonecznych nowej generacji, pozwalającej na produkcję czystej energii ze słońca.

Nowy premier Wielkiej Brytanii, Keir Starmer (trzeci od lewej), podkreślał, że jego rząd dołoży starań, by utrzymać więź ze społeczeństwem. FOT. WPA POOL/GETTY IMAGES

Kłeska torysów



Teresa Stylińska

Rishi Sunak ocalał. Przetrwał burzę, która zmiotła Partię Konserwatywną po 14 latach jej rządów, i nadal będzie zasiadać w Izbie Gmin, choć już nie na miejscu premiera, lecz raczej w ławach wśród zwykłych deputowanych. Po tak dotkliwej porażce najstarszej brytyjskiej partii nie ma wielkiej szansy, by znaleźć się w konserwatywnym gabinecie cieni

Bezprzykładna kłeska konserwatystów, wielkie zwycięstwo Partii Pracy, nie mniej wielki sukces Nigela Farage'a, którego partia, o nazwie Reform UK, zdołała wreszcie wejść na scenę parlamentarną (na scenie politycznej, jako następczyni UKIP i Partii Brexitu, jest od dawna): tak przedstawia się krajobraz Wielkiej Brytanii po krótkiej kampanii i walce wyborczej.

Oto liczby: labourzyści mają 411 mandatów, ponad dwa razy więcej niż 202, które zdobyli w 2019 r. Konserwatyści – 121, trzy razy mniej od ówczesnych 365. Liberalni Demokraci są jak zwykle na trzecim miejscu, ale 72 mandaty to ogromny skok w porównaniu z 11. Kłeskę ponieśli szkoccy nacjonalisci, których frakcja ma zaledwie dziewięć mandatów, liczbę znikomą wobec 48 zdobytych pięć lat temu. Reform UK w swej pierwszej parlamentarnej kadencji ma pięciu deputowanych. Nie jest to wiele, otwiera jednak możliwości, zwłaszcza z charyzmatycznym liderem, którym jest Nigel

Farage. O wejście do Izby Gmin starał się po raz ósmy, wreszcie z dobrym skutkiem.

Media nie omieszczały zaprezentować światu opinii Larry'ego, stałego mieszkańca Downing Street 10. Larry, jako kot na urzędzie, z oficjalnym tytułem Głównego Myszołapa w Urzędzie Premiera, ma prawo wypowiadać się publicznie i chętnie z tej możliwości korzysta. Zawsze podkreśla, że jest u siebie, a premierzy to tylko przelotni goście. To prawda. Przez 13 lat, które spędził na Downing Street, żył w towarzystwie aż pięciu premierów z Partii Konserwatywnej. Keir Starmer, nowy szef rządu, jest pierwszym labourzystą. A że Larry wie, iż dobre obyczaje to podstawa współpracy, na platformie X, dawnym Twitterze, pogratulował mu „ze wszech miar zasłużonego zwycięstwa”.

CO ZOSTAWILI NAM KONSERWATYŚCI

Keir Starmer urzęduje zaledwie kilka dni, jednak już pierwsze decyzje i dekla-

racje pokazują, w jakim kierunku będzie podążał jego gabinet. Tuż po wyborach nowy premier podkreślał, że jego rząd dołoży starań, by utrzymać więź ze społeczeństwem. Czy owej więzi ma służyć kwestionowanie wszystkiego, co robili konserwatyści?

W słowniku politycznym premiera i jego ministrów zadomowiło się słowo „broken” – dosłownie „złamany”, szerzej: zniszczony i w stanie upadku. Po latach rządów torysów Wielka Brytania jest, według nowych władz, w sytuacji tragicznej pod każdym względem, poczynając od stanu finansów państwa. Jak stwierdziła Rachel Reeves, nowa kanclerz skarbu, „trzeba będzie dobrze przyjrzeć się temu, co konserwatyści zostawili nam w spadku”.

Nic też nie wskazuje na to, by nowy rząd był skłonny kontynuować działania PK. Wymowne jest tu nawet tempo. Pierwsza ważna decyzja, dotycząca palącej kwestii imigracji, została ogłoszona zaledwie trzy dni po wyborach. Rząd – jak poinformował Keir Starmer – zamyka plan wysyłania nielegalnych imigrantów do Rwandy, gdzie mieli czekać na rozpatrzenie wniosków o prawo pobytu. Idea ta, jeden z fundamentów polityki imigracyjnej PK, zrodziła się jeszcze za rządów Borisa Johnsona, a jeśli do tej pory nie została wprowadzona w życie, to m.in. z powodu przeszkód stawianych przez sądy. Nowy rząd zapowiedział także wstrzymanie zakazu budowy farm wiatrowych. W dalszych planach jest m.in. renacjonalizacja kolei.

Ogromna przewaga, którą ma Partia Pracy w Izbie Gmin, daje rządowi Starmera dużą swobodę działania. Nie inaczej było w 1997 r., gdy po 18 latach pozostawania w opozycji partia pod wodzą Tony'ego Blaira odniosła wielkie zwycięstwo, zdobywając 418 mandatów, przy 165 dla PK. Podobieństwo jest jednak pozorne. Tony Blair gruntownie zreformował partię, rozluźniając jej więzy ze związkami zawodowymi i usuwając socjalistyczne idee z jej programu. W ten sposób przesunął labourzystów ku politycznemu centrum, pod hasłem podążania „trzecią drogą”, między socjalizmem i kapitalizmem. W parę zaledwie lat po zimnej wojnie okazało się ono nośne i atrakcyjne.

Dziś jest inaczej. Keir Starmer nie reformował partii. Nie musiał i zresztą nikt tego nie oczekiwał. Jego zadaniem było jedynie uspokojenie partii i poprawienie jej reputacji po burzliwych rządach radykała Jeremy'ego Corbyna, główną zaś zaletą – w oczach członków i zwolenników LP – to, że nie jest Corbynem. Starmer, 61-letni prawnik, który wiele osiągnął mimo skromnego pochodzenia, nadawał się do tego doskonale. I – o czym sukces wyborczy świadczy najwymowniej – zadanie wykonał.

Starmer działa spokojnie, w sposób wyważony; nie ma, jak Corbyn, zagorzałych wrogów, a jego wypowiedzi rzadko rozpalają emocje. Zdarzyło się to jednak podczas kampanii, gdy oznajmił, że zamierza kończyć pracę w piątek o godz. 18 i od tej chwili mieć czas dla rodziny. Ta zapowiedź wywołała spore poruszenie. Starmer krótko wyjaśnił, że skoro jego żona jest Żydówką, a dzieci wychowywane są w wierze judaistycznej, to chciałby być z nimi podczas szabasu. Co zrozumiano.

KLĘSKA NA WŁASNE ŻYCZENIE

Dlaczego konserwatyści tak dotkliwie przegrali? Mandat stracili ekspremier Liz Truss i wielu ludzi ze ścisłej partyjnej czołówki, m.in. Grant Shapps, szef resortu obrony, Jacob Rees-Mogg, Penny Mordaunt i Liam Fox. W wielu okręgach, które uchodziły za bastion PK, wygrali kandydaci z innych partii. To problem sam w sobie. Dla PK problemami są jednak także nieładny styl i stan, do którego partia sama się doprowadziła.

Nikt nie wątpi, że do porażki przyczyniły się trudne i supertrudne problemy ostatnich lat, z którymi zresztą zmagają się nie tylko Wielka Brytania: COVID-19 i pandemia, masowy napływ imigrantów, wojna na Ukrainie, drastyczny wzrost kosztów utrzymania – skutek zarówno wojny, jak i polityki proekologicznej – a także uleganie zmianom obyczajowym spod znaku „woke”. A brexit? Podczas kampanii nie był to temat ważny ani nawet specjalnie obecny pewnie dlatego, że z chwilą, gdy brexit się dokonał – przypomnijmy: 31 stycznia 2020 r. o godz. 23 – emocje opadły. Keir Starmer zaś, choć sam był zwolennikiem pozostania w UE, deklaruje, że nie zamierza niczego odwracać, choć jest za zacieśnianiem współpracy z Unią.

Wyniki brytyjskich wyborów przypominają sytuację z naszego własnego podwórka: Partia Pracy wygrała nie dlatego, że uwiodła wyborców znakomitym programem czy nowymi atrakcyjnymi ideami, bo takich, jako się rzekło, nie było. Zwycięstwo dali jej na tacy sami konserwatyści – swymi błędami, skandalami, nieudolnością i brakiem determinacji, choćby w kwestii hamowania imigracji, gdzie droga od słów do czynów okazała się długa i kręta.

Na reputacji PK fatalnie np. zaciążyła procedura wybierania lidera po ustąpieniu Johnsona latem 2022 r. – nieładne widowisko, które toczyło się za drzwiami zamkniętymi, ale bardzo nieszczelnymi. Bo szczegółami układów, sojuszy, podgryzania przeciwników i wstępnego wspierania tych, których na dalszym etapie łatwiej będzie pokonać, media karmiły Brytyjczyków codziennie. W konserwatywnej, przynajmniej z nazwy, partii zniknęły też bez śladu chwalebne cnoty, takie jak dyskrecja czy lojalność. Borisowi Johnsonowi największe ciosy zadali najbliżsi współpracownicy – w tym Rishi Sunak, wówczas kanclerz skarbu – masowo wycofując się z rządu, tak by premier nie miał innego wyjścia niż podanie się do dymisji.

A skandale? Mnóstwo, zwłaszcza od czasów Borisa Johnsona. To jego rządy skompromitowała „partygate” – zakrapiane imprezy, które współpracownicy premiera bez oporów organizowali na Downing Street w czasie, gdy cały kraj obowiązywał lockdown. Co gorsza,

Johnson, wbrew dowodom widocznym na zdjęciach, zaprzeczał, kręcił i kłamał. Dorzućmy do tego romanse, skandale obyczajowe (m.in. na jaw wyszło, że podczas imprez i spotkań kilku deputowanych w nieobyczajny sposób zaczęło kolegów) czy wątpliwości wokół zeznań podatkowych Akshaty Murty, żony premiera Sunaka. Jakby tego było mało, już podczas kampanii Rishi Sunak popełnił fatalny błąd, wracając przed czasem z uroczystości 80-lecia lądowania aliantów w Normandii po to tylko, by udzielić wywiadu telewizji. Dla Brytyjczyków było to niewybaczalne.

PREMIER MŁODSZY NIŻ JA

Poza wielkim zwycięzcą i wielkim przegranym uwagę obserwatorów skupia na sobie ugrupowanie, które w dużej, a może nawet decydującej mierze przyczyniło się do nowego ukształtowania sceny politycznej. Włączenie się Nigela Farage'a, który początkowo nie zamierzał ubiegać się o mandat, odebrało konserwatystom wiele głosów, czego zresztą byli świadomi. Głosowanie na Reform UK oznacza de facto oddanie władzy Partii Pracy – ostrzegali zawczasu, trafnie, choć mało skutecznie.

Co czarno na białym pokazuje wady systemu jednomandatowego z jedną tylko turą wyborów. Przy takiej ordynacji liczba uzyskanych głosów nie pozostaje w żadnym związku z liczbą miejsc w parlamencie. Partia Pracy, choć zdobyła rekordową liczbę mandatów, wcale nie cieszy się znaczącym poparciem. Głosowało na nią tylko 34 proc. wyborców. Od drugiej wojny światowej żadna zwycięska partia nie miała tak mało zwolenników. Ci, którzy wygrywają, uzyskują z reguły ok. 45 proc. głosów.

Reform UK mandatów ma tylko pięć, choć poparło ją blisko 14 proc. głosujących. Co, zdaniem jej lidera, dobrze wróży, tym bardziej że w ponad stu z 650 okręgów jej kandydaci zajęli drugie miejsce. Nigel Farage wierzy, że w kolejnych wyborach będzie jeszcze lepiej. Może nawet na Downing Street wprowadzi się pierwszy premier z jego partii? I nie musi to być on sam. – Do 2029 r. [kadencja parlamentu trwa pięć lat – przyp. red.] – powiedział – nasz ruch znajdzie kogoś, kto będzie młodszy ode mnie i kto będzie wyglądał lepiej niż ja.

Ukraińcy nie chcą rozmawiać z Rosją, ale muszą



Maciej Pieczyński

Zełenski otwarcie rozważa negocjacje z Moskwą, bo nie ma innego wyjścia. Ukraińcy jeszcze nie są gotowi zaakceptować „pokoju za ziemię”, ale to zapewne tylko kwestia czasu

Pierwsze propozycje rozwiązania konfliktu poprzez dyplomację padły ze strony Kremla w lutym i marcu 2022 r. Rozmowy trwały na Białorusi, potem w Stambule, gdzie Moskwa proponowała rezygnację Ukrainy z planów akcesji do NATO w zamian za otrzymanie międzynarodowych gwarancji bezpieczeństwa. Status Krymu miały być omawiany na poziomie prezydentów przez kolejne 15 lat. Ukraina zaś musiałaby się zobowiązać, że w tym czasie nie będzie podejmować prób odzyskania półwyspu drogą wojskową. Putin oczekiwał też, że Kijów ustanoi język rosyjski drugim urzędowym na Ukrainie oraz zmniejszy liczebność armii. Przyjęcie tych propozycji oznaczałoby de facto kapitulację. I nowy Majdan, który zapewne zmiotłby ekipę Zełenskiego z powierzchni władzy, bo społeczeństwo nie zaakceptowałoby takich ustępstw.

Jesienią 2022 r. Zełenski zaprezentował swoją „formułę pokoju”. Przewidywała ona niezbyt realne warunki zakończenia wojny: bezpieczeństwo jądrowe i radiologiczne, żywnościowe, energetyczne, uwolnienie wszystkich jeńców i deportowanych, odtworzenie integralności terytorialnej Ukrainy, wycofanie wojsk rosyjskich i zaprzestanie walk, przywrócenie sprawiedliwości, czyli osądzenie winnych zbrodni wojennych, rekompensata strat, zapobieżenie ludobójstwu, gwarancje bezpieczeństwa dla Ukrainy.

Ultimatum Moskwy było nie do przyjęcia dla Kijowa. Oczekiwanie Kijowa też były nie do przyjęcia dla Moskwy. Ukraina nie była tak słaba, by skapitulować przed agresorem. Rosja nie była tak silna, by ofiarę do kapitulacji zmusić.

ZIEMIA ZA POKÓJ

W przededniu „szczytu pokojowego” w Szwajcarii kolejne ultimatum wobec Kijowa wystosował Putin. Oświadczył, że jest gotowy do rozmów pod warunkiem konkretnych ustępstw. Ukraina miałaby się pogodzić z utratą Krymu oraz czterech okupowanych obwodów, a także zrezygnować ze starań na rzecz członkostwa w NATO. Zełenski odmówił. Przy okazji odniósł się też do fiaska negocjacji stambulskich. Ich szczegóły jakiś czas temu ujrzały światło dzienne, co sprawiło, że rozpoczęła się ożywiona dyskusja o tym, czy słusznie Kijów nie zgodził się wtedy na ustępstwa. Zełenski zauważył, że ówczesny projekt porozumienia nie był propozycją kompromisu, tylko formą ultimatum. Stwierdził też, że rozmowy pokojowe mogą rozpocząć się w każdym momencie, jeśli tylko wojska rosyjskie opuszczą terytorium Ukrainy.

Wiosną 2023 r., gdy lada dzień miała ruszyć wielka kontrofensywa, Zełenski ostro komentował kwestię ewentualnych negocjacji. Przypomniat, że gdy jeszcze w 2019 r. chciał rozmów, to Putin „zacho-

wywał się jak księżniczka” i nie mógł się zdecydować, w jakim formacie powinny się takie rozmowy odbyć. Potem jeszcze długo ukraiński prezydent odrzucał możliwość dyplomatycznego rozwiązania konfliktu. W końcu jednak najpewniej zrozumiał, że jego „formuła pokoju” jest mrzonką. Dość powiedzieć, że spośród 10 punktów tej propozycji (10 warunków zakończenia wojny) dyskusji w ramach szwajcarskiego szczytu poddano tylko trzy: bezpieczeństwo jądrowe i energetyczne, żywnościowe i humanitarne. Wszystkie pozostałe uznano za nierealne.

Stało się jasne, że do zakończenia wojny potrzebne są rozmowy z Rosją. Były szef ukraińskiej dyplomacji Wadym Prystajko na antenie telewizji Espresso trzeźwo zauważył, że szczyt nie był dla Kijowa przekonującym sukcesem, wobec czego trzeba będzie w końcu zacząć rozmawiać z Putinem. „Dla nas to perspektywa absolutnie nieprzyjemna, nie mieliśmy tego w planach, ale wyszło nie tak, jak planowaliśmy” – komentował. Jego zdaniem ekipa Zełenskiego zastanawia się, jak wyjaśnić społeczeństwu niepowodzenie swoich dyplomatycznych starań. Sam Prystajko nie wierzy w pokojowe negocjacje, a jedynie w zatrzymanie wojny. Czyli w jej zamrożenie.

Coraz więcej wskazuje na to, że w końcu do negocjacji Kijowa z Moskwą dojdzie. Na coraz bardziej ugodowe stanowisko Zełenskiego wpłynęły brak efektów „szczytu pokojowego” oraz niewystarczająca do całkowitego zwycięstwa pomoc Zachodu, a także wiosenna ofensywa charkowska, która przyniosła wojskom agresora największe zdobycze terytorialne od 18 miesięcy. Pod koniec czerwca w wywiadzie dla „The Philadelphia Inquirer” ukraiński prezydent przyznał, że rozważa porozumienie z Putinem, ale przy udziale pośredników.

Podobny model zastosowano przy ugodzie zbożowej. Ukraina podpisała wtedy porozumienie nie z Rosją, tylko z Turcją i ONZ, które wzięły na siebie rozmowy z Moskwą. W podobny sposób można byłoby rozmawiać o integralności terytorialnej, energetycznej czy ruchu statków.

Na pytanie, czym dla niego byłoby realne zwycięstwo i czy byłoby nim odzyskanie wszystkich terytoriów, Zełenski odpowiedział: „Nie możemy dopuścić do zrujnowania Ukrainy i wszystkiego, co ukraińskie”. Nie odniósł się do zawartej w pytaniu kwestii integralności terytorialnej. Ani słowem nie wspomniał o konieczności przywrócenia granic z 1991 r., co przecież wcześniej podkreślał za każdym razem, gdy mówił o politycznych celach Kijowa. Dał zatem sygnał, że bierze pod uwagę transakcję „ziemia za pokój”.

Na początku lipca w wywiadzie dla Bloomberg’a Zełenski wskazał, że „ogromną rolę” w dyplomatycznym zakończeniu wojny mogłyby odegrać USA i Chiny. Tu warto przypomnieć, że również Pekin zaproponował swoje rozwiązanie konfliktu. A konkretnie jego zamrożenie.

W rozmowie z Bloombergiem Zełenski wyraził też gotowość spotkać się z Donaldem Trumpem, żeby wysłuchać jego ewentualnych pomysłów na doprowadzenie do pokoju. Odrzucił też złożoną przez Orbána propozycję zawieszenia broni. Argumentował, że to dałoby Rosji czas na zwiększenie liczby wojsk na froncie, a Ukraina nie mogłaby temu zapobiec, bo miałaby związane ręce. Tego samego argumentu użył Putin, również nie godząc się na zawieszenie broni. Zełenski podkreślił też, że nie ufa władcy Kremla, który już wiele razy łamał zawierane umowy. Jednocześnie w tym samym wywiadzie Zełenski przyznał, że kolejny „szczyt pokojowy” będzie musiał się odbyć z udziałem przedstawicieli Rosji.

REAKCJE NAD DNIEPREM

Perspektywa rozmów pokojowych i ewentualnej rezygnacji z części ziem okupowanych budzi niepokój u sporej części Ukraińców. A zwłaszcza tych, którzy walczą na froncie i mogą się obawiać, że ich wysiłek spełznie na niczym. Szef sztabu brygady „Azow” Bohdan Krotewycz w mediach społecznościowych dał jasno do zrozumienia, że on i jego ludzie nie pozwolą władzom zakończyć wojny bez

wypędzenia Rosjan ze wszystkich ukraińskich terytoriów.

Zdaniem politologa Wadyma Denysenki „parada rozmów pokojowych”, widoczna w ostatnich tygodniach, to zasłona dymna przygotowana przez Moskwę. „Na Kremlu rozumieją, że ich głównym zadaniem jest zmusić Zachód do zaproponowania takiego planu pokojowego, który w 100 proc. nie usatysfakcjonuje Kijowa, przez co Ukraina wyjdzie na państwo, które nie jest w stanie się dogadać” – twierdzi Denysenko.

Dziennikarz Serhij Zhurec przyznaje, że obecnie trwa sondowanie, na jakie kompromisy pójdzie Ukraina. Powołując się na opinie ukraińskich ekspertów do spraw bezpieczeństwa, przekonuje, że ewentualne zamrożenie wojny i ustąpienie Rosji w czymkolwiek na dłuższą metę nie zakończą konfliktu, a jedynie pozwolą Moskwie przygotować się do kolejnej agresji.

W końcu zmęczenie wojną i brak perspektyw odzyskania utraconych ziem przeważa nad wolą walki do końca

Politolog Ołeh Pasternak na swoim blogu grzmi: „Władza rozpoczęła kampanię poparcia dla pokoju bez odzyskania utraconych terytoriów”. „Zełenski wydaje oświadczenie za oświadczeniem na temat możliwego formatu rozmów pokojowych i zakończenia wojny” – pisze Pasternak. W jego ocenie władza może bezkarnie szykować się do ustępstw, bo mało kto nad Dnieprem ma odwagę, by głośno się temu przeciwstawić i powiedzieć, że wojna musi trwać tak długo, aż Ukraina zwycięży. Społeczeństwo jest bowiem nie tyle zmęczone, ile – jak to ujął politolog – znajduje się w stanie szokowej anabiozy (obniżenia aktywności życiowej). Jedyną nadzieję na powstrzymanie pokoju dostrzega w środowisku armii. „Bankowa [ulica, przy której znajduje się siedziba prezydenta – przyp. red.] będzie próbować zachęcić cywilów do poparcia planów pokojowych. A jak ktoś z nich zacznie krytykować władzę za zdradę, będzie można temu komuś odpowiedzieć: »A dlaczego nie jesteś na froncie, dlaczego nie walczysz, tylko wysyłasz walczyć innych?«”.

Z kolei politolog Wołodymyr Fesenko stwierdził, że utrata części terytoriów nie będzie klęską Ukrainy. W jego ocenie najważniejsze to uratować istnienie państwa i doprowadzić do integracji z UE i NATO. „To powinna być nasza formuła zwycięstwa” – stwierdził, nawiązując do „formuły pokoju”. I dodał: „A terytoria możemy wyzwolić później”. Takie opinie są w mniejszości. Wyrażane są głównie w środowiskach bliskich Bankowej.

OCHOTNICZY CHCĄ WALCZYĆ

Pokoju nie życzy sobie wielu ukraińskich żołnierzy. Nie chodzi o przymusowo zmobilizowanych, tylko o tych, którzy na front poszli z przekonania, często na ochotnika. Dla nich rezygnacja z dalszej walki oznaczałaby, że przelana krew pójdzie na marne. Nastrojów defetystycznych nie widać jednak również w samym społeczeństwie. Cywile może i są – jak zauważył Ołeh Pasternak – w swej masie apatyczni, ale dalej wierzą w zwycięstwo i raczej nie wyobrażają sobie ustępstw wobec agresora. Szczególnie że wówczas również ich krew, przelana podczas zbrodni wojennych albo ostrzałów infrastruktury, poszłaby na marne.

Według badań przeprowadzonych przez Centrum Razumkova 80 proc. Ukraińców wierzy w zwycięstwo. Najwięcej, bo 38 proc., uważa, że wojna zakończy się w ciągu roku–dwóch lat. 42 proc. tych, którzy wierzą w zwycięstwo, pod zwycięstwem rozumie wyzwolenie wszystkich ukraińskich terytoriów. Ponadto trzeba pamiętać, że choć Zełenski wciąż cieszy się ogromnym poparciem, to jednak jest coraz ostrzej krytykowany przez opozycyjne media. Gdyby w tej chwili zdecydował się na ustępstwa wobec Rosji, mógłby zostać obalony przez kolejny Majdan, zorganizowany przez awangardę wojskowych niepokodzonych z kapitulacją, przy biernej życzliwości apatycznego, ale żądnego zwycięstwa społeczeństwa.

Jednak takie nastroje nie mogą wiecznie trwać. W końcu w świadomości większości Ukraińców zmęczenie wojną i brak perspektyw odzyskania utraconych ziem przeważa nad wolą walki do końca. A wtedy „pokój za ziemię” przyjmą z ulgą. Jedno jest pewne: w obecnej sytuacji wojna może zakończyć się jedynie ustępstwami terytorialnymi Ukrainy na rzecz Rosji.

TOMASZ CUKIERNIK: W mojej książce „Dwa-
dzieścia lat w Unii. Bilans członkostwa” stawiam
tezę, że Polska straciła suwerenność. Czy pana
zdaniem nasz kraj jest państwem suwerennym?

DR ARTUR BARTOSZEWICZ: To bardzo
trudne pytanie. Pojęcie suwerenności
objawia się posiadaniem prerogatyw
władczych przez państwo, które takim
suwerennym statusem się mieni. Tu
jest ogromny problem w relacji pań-
stwo polskie – Unia Europejska. Jeżeli
uświadomimy sobie, jak wiele preroga-
tyw władczych zostało przekazanych
w ramach funkcjonowania w strukturze
europejskiej, ze świadomością lub przy
braku świadomości decydentów, a także
obywateli, jeżeli popatrzymy na proces
związany z decyzją przystąpienia do
Unii Europejskiej, to jestem przekonany,
że 99 proc. obywateli w ogóle nie miało
świadomości, na co decydujemy się,
wchodząc do struktury.

Przedstawiane nam były cudowne
scenariusze związane z rozwojem, doga-
nianiem innych gospodarek, z wejściem
do „Europy”. Został stworzony taki miraż,
a w praktyce okazuje się, że tracimy coś,
co jest najważniejsze w funkcjonowaniu
państwa, czyli tę suwerenność w logice
wolności decyzji, które możemy po-
dejmować w różnych obszarach. Jeżeli
dotkniemy któregoś z istotnych
obszarów, jak polityka fiskalna, proces
kształtowania polskiego budżetu, to
okazuje się, że w istotnej części jest on
już oparty na politykach wspólnotowych,
a więc zakres decyzji jest ograniczony. Nie
mówiąc o sytuacji, kiedy podejmujemy
własne decyzje i one skutkują nadmier-
nym w definicji i logice unijnej deficytem
czy zadłużeniem, co jest tak zaskakujące,
bo jak prześledzimy proces powstawania
rygorów, które zostały narzucone na pań-
stwa członkowskie, to one są całkowicie
przypadkowe, niczym nieuzasadnione,
powstałe na kolanie we Francji na zapo-
trzebowanie z określeniem kryteriów
fiskalnych. Później zostały narzucone pań-
stwom członkowskim bez żadnej logiki
i uzasadnienia ekonomicznego.

W polityce spraw zagranicznych
tzw. polskie elity w procesie decyzyjnym
potrzebują hegemonu. Przed 1989 r.
po decyzje w sprawach zagranicznych
politycy jechali do Moskwy, po 1989 r.
zaczęli jeździć do Stanów Zjednoczo-
nych, Berlina i Brukseli. Co zaskakujące,

Z dr. Arturem
Bartoszewiczem,
wykładowcą SGH
rozmawia
Tomasz Cukiernik



Suwerenności wyraźnie nie mamy



w ostatnich latach zaczęli też jeździć do Kijowa. To świadczy o tym, że decyzje całkowicie nie są swobodne. Dzisiaj przy konflikcie gospodarczym, który mamy z sąsiadem, okazuje się, że Polska nie może podjąć własnych decyzji, bo bardzo istotna dla polskiej gospodarki decyzja związana z przedłużaniem bezcłowego handlu z Ukrainą i ze zdjęciem wszelkich zapór handlowych, które by normalnie funkcjonowały, w oparciu o cła antydumpingowe, jest podejmowana za nas. To zostało zrealizowane bez naszej zgody, bez oceny skutków dla gospodarki polskiej i jest realizowane. Jest to też decyzja zewnętrzna.

Trzeci aspekt to jest kwestia obronności. Suwerenne państwo potrafi podjąć decyzję o obronie, potrafi się do niej przygotować i ponieść konsekwencje tego procesu. Polska przed 1989 r. miała obce wojska na swoim terenie i to miało zapewniać bezpieczeństwo. Później uwolniona od obecności wojsk sowieckich zaczęła prosić o obecność innych wojsk – amerykańskich. Dzisiaj mamy do czynienia z sytuacją, w której obce wojska stacjonują na terenie Rzeczypospolitej i one, a nie polskie wojska, mają zapewniać bezpieczeństwo. I domniemana reakcja w ramach traktatu NATO-wskiego – art. 5, który ma zapewniać, że w przypadku ataku na teren państwa NATO nastąpi reakcja innych państw. Kiedy nastąpi? Czy będziemy się mogli bronić? Czy to jest nasza własna decyzja, że możemy na coś odpowiedzieć?

Proszę zwrócić uwagę na rakiety, które nadlatują na teren Rzeczypospolitej. To nie my podejmujemy decyzje, czy możemy je zestrzelić. To jest zewnętrzna decyzja. Nie dostajemy pozwolenia, więc nie zestrzeliwujemy. Prawdopodobnie przy konflikcie musielibyśmy czekać na decyzję państw NATO-wskich. To pokazuje, że tej suwerenności wyraźnie nie mamy.

Kolejna rzecz to jest kwestia władzy, która reprezentuje obywateli, która w imieniu może podejmować decyzje. Jeżeli spojrzymy na manifestacje, które nas dotyczą z uwagi na problem gospodarczy z Ukrainą, to rolnicy nie występują przeciwko rządowi polskiemu, bo mają pełną świadomość, że polski rząd nie ma w ogóle możliwości podejmowania jakichkolwiek decyzji w tym zakresie.

Żądają spotkania z premierem, ale po to, żeby się zobowiązał, że pojedzie do Brukseli i będzie negocjował. Czyli de facto próbują zmusić premiera do tego, żeby odegrał swoją obecną rolę w pełni, a jego obecna rola – jak się okazuje – jest rolą wojewody, a nie premiera, bo własnych, samodzielnych decyzji na poziomie państwa podjąć nie może.

To brzmi strasznie, ale ten obraz jest obrazem rzeczywistym. Widać wyraźnie, że wszystkie zachowania naszych polityków – ministra spraw zagranicznych czy też ministra finansów – są podyktowane przede wszystkim oceną tego, na co pozwoli nam hegemon jeden, drugi czy trzeci.

Ostatnie pole – polityka pieniężna i posiadanie własnej waluty. Za chwilę okaże się, że ta waluta zostanie też utra-

Wytwarza się bałagan, w którym rządy narodowe tracą swoje kompetencje i jedyną decyzyjną instytucją jest Komisja Europejska

cona i przejdziemy na euro. Wówczas decyzje będą zapadały w EBC, a nie w NBP. Nastąpi ograniczenie możliwości prowadzenia polityki pieniężnej. To domknie kwestie związane z utratą suwerenności. Nie jesteśmy suwerenni i nic nie wskazuje na to, żebyśmy tę suwerenność przy tym modelu politycznym, który realizujemy, mogli odzyskać.

Unia Europejska ma wszystkie atrybuty państwa: terytorium, ludność, własną walutę, osobowość prawną, władzę, flagę, hymn, prowadzi własną politykę zagraniczną, handlową i celną itd. A wiemy, że żadna część jakiegokolwiek państwa nie może być innym państwem. Czy w tym kontekście możemy powiedzieć, że państwa polskiego już nie ma?

To jest ogromny dylemat, bo proces federalizacji idzie z ogromną prędkością. Jesteśmy mamieni, że musimy zmienić traktaty i to zdecyduje, czy będziemy federacją czy pozostaniemy państwami narodowymi czy konfederacją państw narodowych. To jest totalna bzdura. Wszystko wskazuje na to, że ten proces

jest bardzo silnie realizowany i finalizowany. Państwa narodowe są już tylko zjawiskiem symbolicznym. Zmiany, które wynikają z ideologii Zielonego Ładu, próbują całkowicie podporządkować wszystkie decyzje państwa narodowego strukturze zewnętrznej, którą jest rząd unijny, czyli Komisja Europejska, która bez żadnych konsultacji, bez żadnej formalnej zgody państw narodowych w kontekście decyzji obywateli państw narodowych narzuca logikę i szantażuje poszczególne państwa członkowskie, łącznie z narzuceniem kar. To jest autorytarny system. Ma doprowadzać do tego, żeby federacja zafunkcjonowała w pełni. Ma dojść do sytuacji, w której obywatele państw członkowskich sami zdecydują o tym, że tego chcą, bo bałagan, który się wytwarza, jest tak ogromny, że wszyscy tracą nadzieję i uznanie, że rządy narodowe są w stanie cokolwiek zrobić.

Wytwarza się ogromny bałagan, w którym rządy narodowe tracą swoje kompetencje, i widać wyraźnie, że jedyną decyzyjną instytucją jest Komisja Europejska. Wszyscy zaczynają uznawać, że rządzi Komisja Europejska. Parlament Europejski też potrafi narzucić rozwiązania de facto o charakterze – patrząc na skutki społeczne i gospodarcze – sadystycznym. To jest grupa ludzi całkowicie odklejona od rzeczywistości. Narzuca ideologie komunistyczne oparte na logice Spinellego, czyli jednego z założycieli Unii Europejskiej. Nam się cały czas przedstawiało katolika Schumana jako tego, który ukształtował reguły i założył Unię Europejską po to, żeby nas mieć. Nie tylko w Polsce Schuman był mocno wypromowany. W praktyce cała logika Unii Europejskiej jest oparta na Spinellim i jego manifestacji. To jest baza logiki komunistycznej traktującej ludzi jako masę, która się formuje, i za nich się podejmuje decyzje.

Co zadziwiające, Polacy w swojej naiwności idą w kierunku tego celu postawionego przez Spinelliego jak barany na rzeź. Jak się człowiek zatrzyma i chwilę pomyśli, jak porozmawiamy w mniejszych gronach i człowiek sobie uświadomi, co się dzieje, to krzyczą: jak, gdzie i dlaczego.

Byłem niedawno w Lizbonie i zadałem pytanie Portugalczykom, czy mają świadomość federalizacji. Zrobili duże

■ oczy i powiedzieli, że pierwszy raz słyszą to słowo. Zacząłem im tłumaczyć, jaki obecnie jest proces decyzyjny w Unii Europejskiej. Byli przerażeni. U nich w ogóle takiej dyskusji się nie prowadzi. To, co im powiedziałem, w ich przekonaniu jest katastrofą społeczną i gospodarczą. To pokazuje, w jakim amoku utrzymywane są narody europejskie. A utrzymywane są tak samo, jak w logice Związku Sowieckiego. W pewnym momencie ktoś ogłosi: „Droży Państwo, państwa narodowe już są wam niepotrzebne. Jesteśmy Unią Europejską, mamy swoją flagę, język” (najprawdopodobniej język angielski będzie językiem powszechnym pospółstwa, język francuski będzie językiem elit dyplomatycznych, a język niemiecki będzie językiem biznesu, bo Niemcy prowadzą politykę hegemonu i gospodarkę europejską podporządkowują swoim potrzebom). To, co my mamy jako wartość narodową, społeczną, gospodarczą, wartość kapitału ludzkiego, patriotyzm gospodarczy, stanie się nie tylko niepotrzebne w Unii, lecz także likwidowane. Już się dyskutuje o ustawie o języku nienawiści. Za chwilę się okaże, że zakazane będzie powiedzenie słowa przeciwko Zielonemu Ładowi, Spinellemu, komunizmowi (to ciekawe, że w Europie, która ma taką traumę wojenną, nie ściga się logiki komunistycznej, a tylko faszystowską i narodowosocjalistyczną, książki Marksa są w Europie pierwszą rzeczą, jaką się kupi). Poziom skolonizowania umysłów Europejczyków jest tak wysoki, że uznają Marksa jako punkt odniesienia do swoich wartości.

Za chwilę będą promowane jeszcze głębiej idee Spinellego, cała logika komunistyczna będzie przedstawiana jako nadzwyczajne rozwiązanie i dobroć. Będzie realizowane to, co wydaje nam się, że w swoim doświadczeniu odczuliśmy bardzo negatywnie. Duża część naszej „klasy politycznej” realizuje zaciekle te wskazania Komisji Europejskiej, odbierając suwerenność i funkcję władczą na poziomie państwa. Uważają, że wchodzi do nowej elity europejskiej, a będą traktowani jako trzeciorzędny obszar decyzyjny.

Kto tak naprawdę rządzi Unią Europejską? Czy jest ona narzędziem? Czy bardziej wielkiego biznesu i służb specjalnych czy też jakichś lewico-

wych ideologów? A może wszystkich razem i to się jakoś miesza?

Wszystkich razem i jakoś się to miesza, bo trudno wyznaczyć jedną grupę, która ma korzyści wyłącznie z tego obszaru. Myślę, że jest bardzo silne oddziaływanie lobby korporacji międzynarodowych. One mają pieniądze, one zatrudniają. Warto prześledzić, gdzie są zatrudniani byli europarlamentarzyści, byli członkowie Komisji Europejskiej. W jakich firmach doradczych, lobbingsowych. To jest patologia do potęgi. Ci ludzie, którzy mieli i mają wpływ, funkcjonują w dwóch światach, mają kasę z innego świata, są niezniszczalni, bo mają wiedzę, reprezentowali dane interesy, reprezentują dalej. To jest niewyobrażalne. Służby specjalne? Tak. Nie tylko europejskie. To jest tygiel interesów, bo to są ogromne interesy. Zmiana prawa w jakimś obszarze może windować ceny, może dawać ogromny zarobek. Wszystko jest polityką. Migracja, wojna, zmiana podatków jest polityką.

To, co mamy jako wartość narodową, społeczną, gospodarczą, stanie się nie tylko niepotrzebne w UE, lecz także likwidowane

Na tym wszystkim można zarobić. Na poziomie państwa się zarabia. Są grupy, które zarabiają. Państwo to najbardziej stabilna krowa dojna. Im większe to państwo będzie, tym większa ta krowa będzie. Będzie dawała jeszcze więcej mleka i tym łatwiej będzie się przy cycku ustawić i się ukryć. Przy małym państwie więcej widać, a przy większym mechanizm nie będzie widać. I o to chodzi. Maluczkiego się będzie ganiało i karało, dlatego tworzy się te systemy informatyczne, które mają pokazać szczerłość systemu podatkowego, by ścigać wszystkich nas maluczkich z każdej transakcji. Mają to wszystko ujawnić, bo my jesteśmy przecież przestępcami, spatologizowani. Nas trzeba bronić przed nami samymi. Jak nie jesteśmy niemoralni, to nam się tę niemoralność udowodni albo się nas zmusi do zachowań niemoralnych.

Daje się rządzić niekompetentnym, głupim, zakompleksionym ludziom, którzy jak dostają władzę, to się mszczą. To się teraz dzieje: zemsta, krew, „zniszczyć was”, „zagłodzę”. Tego typu wyrażen się używa na poziomie Komisji Europejskiej, Parlamentu Europejskiego, ale używają ich też nasi politycy. W ten sposób oni się komunikują. To jest totalna degradacja, dekadencja, w której uczestniczymy. Polacy wybierają jednych, żeby zamordowali drugih. To jest straszne. Tak samo jest w Unii Europejskiej.

Jaka jest w tym rola tych lewicowych ideologów? Czy oni reprezentują swój interes czy jednak interes kogoś innego?

Ideolodzy są naiwnymi użytecznymi idiotami. Ideolodzy nigdy sami nie dochodzili do wielkich pieniędzy, władzy...

Czyli oni są narzędziem...

Tak. To są narzędzia po to, żeby omamić, oszwabić, żeby dać siłę dla pozostałych. Znajduje się takiego ideologa, daje mu się trochę kasy, żeby za mocno nie cierpiąc, żył i przedstawiał daną ideologię. Jak się poczyta te wszystkie książki – od czarnych łabędzi do związanych z modelem życia i zagrożeniami – to wszystko jest ideologią. Znajduje się specjalistę, który udaje, wymyśla narrację i ktoś na tym zarabia. I naukowcy dyskutują, powielając te hasła. Sam ideolog komunizmu intencji może złych nie ma, bo uważa, że jak będziemy równi i wszyscy będą mieli to samo, to będzie cudownie. No głupek, ale problem polega na tym, że ktoś tego zaczyna używać, buduje oczekiwanie, powoduje zdemoralizowanie społeczeństwa, a społeczeństwo to akceptuje. Społeczeństwo żąda danych rzeczy, uważa, że to jest możliwe, prawdziwe i tak powinien wyglądać świat. A potem budzimy się w świecie, w którym nic nie możemy albo jak ktoś ma inne zdanie, to go zagłodzimy. Chyba że się zrozumiemy, jak ma się zachowywać w tym obozie koncentracyjnym. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



dr Artur Bartoszewicz

– ekonomista, wykładowca SGH, były społeczny doradca ministrów zdrowia Zbigniewa Religi i Mariana Zembali.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Rząd gorszy od nierządu?

Co to za rządy, które okazują się gorsze od nierządów? A tak, jak się wydaje, z wolna zaczyna być w Polsce.

Otóż niedawno, nie tak znów całkiem niespodziewanie, gruchnęła wieść, że tzw. koalicja rządowa Donalda Tuska nie potrafi się dogadać w sprawie własnego programu promieszkaniowego, czyli antymieszkaniowego. A nie potrafi się dogadać, bo taka z niej właśnie koalicja – tzw. koalicja. Jedni chcą w sprawie programu promieszkaniowego, czyli antymieszkaniowego (i nie tylko w tej sprawie) tego, inni tamtego, a jeszcze inni siamtego, więc żadną miarą nie mogą się porozumieć.

I właśnie w związku z tym wzięci eksperci szybko porachowali, że gdyby tak tej tzw. koalicji (Tuska) w ogóle nie udało się dogadać w sprawie programu antymieszkaniowego, to co prawda byłoby to rozwiązanie znacznie mniej opłacalne dla rządzących polityków, którzy nie mogli by z tego powodu latać od stacji telewizyjnej do stacji telewizyjnej i przechwalać się rzekomymi dobrodziejstwami, które za jego sprawą rzekomo sprowadzili na głowy marzących o swym mieszkaniu, ale za to byłoby to najbardziej opłacalne z opłacalnych rozwiązań dla wszystkich, którzy marzą o swoim mieszkaniu. Albowiem, jak wiadomo – i to „od zawsze” – chyba każdy program antymieszkaniowy – zawsze przez jego autorów zachwalany jako

promieszkaniowy – zamiast naprawiać, mniej lub bardziej psuje rynek mieszkaniowy, czyli winduje ceny mieszkań.

A tak, gdyby choć przez jeden rok, a najlepiej przez całą kadencję, czyli przez całe szczęśliwe cztery lata, w ogóle nie obowiązywał żaden program promieszkaniowy, czyli antymieszkaniowy, to też przez cały ten czas nie psułyby rynku, czyli nie windowałyby cen mieszkań. Dość wspomnieć, że – jak policzono – tylko za sprawą wprowadzonego w 2023 r. programu antymieszkaniowego „Bezpieczny Kredyt 2 proc.”, autorstwa rządu Mateusza Morawieckiego, tylko w 2023 r. ceny mieszkań wzrosły aż o 13 proc.

A skoro tak, to wyobraźmy sobie, jak cudownie żyłoby się w Polsce, w której rządowi nie udawałoby się nie tylko wprowadzać programu antymieszkaniowego, lecz także ustawicznie – zwłaszcza tak kosmicznie, jak w ostatnich latach – podnosić płacy minimalnej i w ten sposób windować także wysokość wielu podatkowych zobowiązań milionów Polaków oraz prowadzić do powiększenia bezrobocia. Albo gdyby rządowi nie udawało się w tak szalonym tempie, jak ostatnio, zmieniać co roku tak wielu tysięcy przepisów, opatrząc w dodatku te zmiany tak krótkim *vacatio legis*. I gdyby jeszcze nie udawało mu się tak bardzo, jak ostatnio, ograbić Polaków tylko po to, by rozdawać ich pieniądze swoim wyborcom. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Legion? Raczej legionik

W Polsce ma powstać ukraiński legion, złożony z ukraińskich ochotników. Tak stanowi porozumienie podpisane w Warszawie przez pana premiera Tuska i pana prezydenta Zełenskigo. Ta zapowiedź brzmi trochę jak dowcip, ponieważ Ukraińcy, którzy nadal są w Polsce – jak można przypuszczać – raczej do walki garnąć się nie będą. Albo więc jest to czysta propaganda, albo Polska faktycznie zamierza działać jako zaplecze dla

Jak takie działanie wpłynie na bezpieczeństwo polskiego państwa? Nikt się nad tym nie zastanawia. Wiadomo – od lutego 2022 r. interes Ukrainy jest ważniejszy od interesu Polski prawie dla całej naszej klasy politycznej (z wyjątkiem, trzeba uczciwie przyznać, Konfederacji).

Podobnie zadziwiająca jest zapowiedź, którą najpierw pochwaliła się zresztą strona ukraińska, że Polska rozważa zestrzeliwanie jeszcze nad ukraińskim terytorium rosyjskich rakiet „lecących w kierunku Polski” – cokolwiek miałyby to z operacyjnego punktu widzenia oznaczać.

Oba te punkty – niezależnie od tego, w jakim stopniu zostaną zrealizowane – wpisują się w tendencję coraz mocniejszego popychania Polski w kierunku faktycznego zaangażowania w konflikt. Może bez wysyłania na Ukrainę własnych sił zbrojnych, ale jednak z aktywnym w nim uczestnictwem. Tak zresztą przedstawiała tę drugą kwestię strona ukraińska.

W tle tych zabiegów pozostaje ubiegłotygodniowa rocznica krwawej niedzieli – apogeum rzezi wołyńskiej, o której oczywiście ani Wołodimir Zełenski, ani Donald Tusk, ani Andrzej Duda nawet się nie zająknęli. Lecz to już chyba nikogo nie powinno zaskakiwać. ©©

**Jak takie
działanie
wpłynie
na bezpieczeństwo
polskiego
państwa?
Nikt się nad tym
nie zastanawia**

osławionych ukraińskich grup werbunkowych, urządzających na ulicach tamtejszych miast łapanki na obywateli.

Zalóżmy jednak, że jakaś grupka chętnych się znajduje. Mają oni być szkoleni i wyposażeni za polskie pieniądze, a następnie – przecież jako zorganizowana formacja – mają przekroczyć granicę.

Kosmiczne pieniądze



Jacek Przybylski

Polscy inżynierowie i naukowcy działający w branży kosmicznej mają ostatnio powody do dumy. 3 lipca polska rakieta pierwszy raz w historii przekroczyła granicę przestrzeni kosmicznej. 9 lipca Polacy mogli świętować start europejskiej rakiety Ariane – na jej pokładzie znalazły się bowiem kamery wrocławskiej firmy Scanway

Sroda, 3 lipca, godz. 13.09. Ta data trwale zapisze się w historii polskiej nauki. Tego dnia po starcie z norweskiego centrum kosmicznego Andøya Space Sub-Orbital polska rakieta ILR-33 BURSZTYN 2K, poruszając się niemal sześciokrotnie szybciej niż standardowy samolot pasażerski, osiągnęła pułap 101 km i przekroczyła linię Kármána, czyli symboliczną granicę przestrzeni kosmicznej. To ogromny sukces polskich naukowców i inżynierów z kilku powodów. Po pierwsze, nigdy w naszej historii polska rakieta nie osiągnęła takiego pułapu. Po drugie, wszystkie prace projektowe związane z budową rakiety zostały bowiem zrealizowane w Łukasiewicz – Instytucie Lotnictwa. Po trzecie wreszcie, ILR-33 BURSZTYN 2K to pierwsza na świecie rakieta suborbitalna, w której jako utleniacz zastosowany został nadtlenek wodoru o stężeniu 98 proc., co daje nadzieję na zastosowanie tej technologii w różnego rodzaju misjach kosmicznych. W testy rakiety, którą będzie można wykorzystywać m.in. do celów wojskowych, a także do badań atmosfery, wynoszenia różnych sprzętów na niską orbitę ziemską oraz testowania technologii w przestrzeni kosmicznej, zaangażowane

były m.in. Polska Agencja Kosmiczna, MON, MSZ, Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego oraz Łukasiewicz – Instytut Przemysłu Organicznego.

MILIARDY DO UGRANIA

Polscy naukowcy nie pierwszy raz pokazali, że potrafią znaleźć niszę, w której są światowymi pionierami. Konkurencja na kosmicznym rynku jest jednak potężna.

Według raportu SpaceTech Analytics na świecie działa już ponad 12 tys. firm zajmujących się technologiami kosmicznymi, a rynek kosmiczny, który w 2022 r. osiągnął poziom 419,9 mld dol., w obecnym roku powinien mieć już wartość 462,43 mld dol. Już ta kwota sprawia, że biznes chętniej patrzy w górę, a prognozy są jeszcze bardziej zachęcające. Według różnych raportów wartość kosmicznego tortu do 2032 r. ma się niemal podwoić i wnieść się na poziom ok. 850 mld dol.

Analitycy Acumen Research and Consulting w opublikowanym w czerwcu tego roku raporcie zwracają uwagę na rosnące tempo komercjalizacji kosmosu. Konkurencja między wielkimi prywatnymi firmami, takimi jak SpaceX czy Blue Origin, doprowadziła do obniżenia kosztów kosmicz-

nych wypraw. Komercyjne firmy śmiało wkraczają zaś w kolejne obszary działalności: od produkcji satelitów poprzez rakiety nośne do rozwoju kosmicznej turystyki (choć obecnie dominują krótkie wycieczki suborbitalne, które pozwalają przez kilka minut doświadczyć uczucia nieważkości i zobaczyć krzywiznę Ziemi, to osoby naprawdę zamożne mogą już wykupić dłuższe i bardziej ambitne loty). Pod koniec czerwca NASA poinformowała także, że przyznała firmie SpaceX 843 mln dol. na zaprojektowanie i zbudowanie statku kosmicznego zdolnego do przeprowadzenia bezpiecznej deorbitacji Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. Jak zaś w ubiegłym tygodniu zauważyła firma Seraphim Space, pieniądze do kosmicznych start-upów już płyną coraz szerszym strumieniem: tylko od początku kwietnia do końca czerwca przyciągnęły one globalne inwestycje o wartości 2,41 mld dol., co oznacza, że już trzeci z rzędu kwartał zaobserwowano wzrost finansowania kosmicznych inwestycji (choć trzeba zauważyć, że do tak silnego wzrostu wartości inwestycji przyczyniło się zainwestowanie przez Chiny 943 mln dol. w Shanghai Spacecom Satellite Technology). W pierwszym kwartale 2024 r. brytyjscy analitycy odnotowali kosmiczne wydatki w wysokości 2,39 mld dol.

EUROPA WRÓCIŁA W KOSMOS

Do podboju kosmosu coraz śmielej wraca Europa. Po tym, jak Europejska Agencja Kosmiczna i ArianeGroup (spółka joint venture Airbusa i Safrana) reaktywowały europejski program lotów kosmicznych, 9 lipca z Gujany Francuskiej wystartowała Ariane 6, która ok. godz. 23 tego dnia przeleciała również nad polskim niebem. Start mierzącej 63 m wysokości rakiety o średnicy 5,4 m został mocno opóźniony: kosmiczny debiut opracowanej za 3,6 mld euro Ariane 6 początkowo planowano bowiem na rok 2020. Pandemia COVID-19 i pełnoskalowy atak Rosji na Ukrainę mocno opóźniły jednak te plany. Nowa rakieta Europejskiej Agencji Kosmicznej daje europejskim krajom gwarancję autonomicznego dostępu do kosmosu, stanowiąc alternatywę dla ракет nośnych używanych np. dla Falcon 9 amerykańskiej SpaceX czy Vulcan Centaur amerykańskiej spółki United Launch Alliance. Ariane 6 może wynosić w kosmos satelity obserwacyjne, meteorologiczne, telekomunikacyjne czy

nawigacyjne, kapsuły powrotne etc. Już podczas ubiegłotygodniowego startu rakiety wyniosła na orbity 17 ładunków, w tym 11 uniwersyteckich mikrosatelitów.

Co ważne z rodzimego punktu widzenia, swój wkład w lot Ariane 6 miała też Polska. Na pokładzie rakiety znalazły się dwie kamery wrocławskiej firmy Scanway. Ich zadaniem było monitorowanie separacji głównej owiewki oraz odłączanie od głównego modułu wynoszonych na orbitę niewielkich satelitów (tzw. cubesatów). Zarejestrowane obrazy pomogą w udoskonaleniu przyszłych europejskich misji.

I chociaż prym w podboju kosmosu wciąż wiodą Amerykanie (ścigani przez Chińczyków czy Hindusów), to start Ariane 6 pokazuje, że Europejczycy też mają szanse na ważne kosmiczne kontrakty. Do pędzącego ku kosmicznym pieniądzom pociągu w ciągu ostatniej dekady skoczyło coraz więcej polskich biznesmenów. A z doniesień medialnych wynika, że produkty Polaków cieszą się dobrą opinią w tej pozaziemskiej branży.

Nasi przedsiębiorcy mogą liczyć m.in. na zamówienia ze strony Europejskiej

Agencji Kosmicznej, do której Polska wpłaca już roczną składkę wynoszącą niemal 200 mln zł rocznie. W tym roku pierwszy raz nad Wisłą wystartował trzyletni program ESA Spark Funding, który umożliwia uzyskanie bezzwrotnego wsparcia (w wysokości do 75 tys. euro) na tworzenie i komercjalizację produktów oraz usług wykorzystujących technologie kosmiczne. W Polsce działa też Związek Pracodawców Sektora Kosmicznego, który zrzesza firmy, instytuty naukowo-badawcze oraz organizacje działające w obszarze sektora kosmicznego.

DRUGI POLAK W KOSMOSIE

O polskich szansach na podbój pozaziemskiego sektora mówi się głośniejsz od czasu, gdy ogłoszono nazwisko naukowca, który jako drugi Polak w historii ma szansę polecieć w kosmos. Pochodzący z Łodzi dr Sławosław Uznański, który o kosmicznej wyprawie marzył od dziecka i który ma ogromne doświadczenie w przemyśle kosmicznym, pokonał w eliminacjach 22 tys. kandy-

datów z innych krajów Europy i został wybrany na astronautę Europejskiej Agencji Kosmicznej (ESA). Porozumienia w sprawie lotu polskiego astronauty na Międzynarodową Stację Kosmiczną (ISS) Ministerstwo Rozwoju i Technologii, Europejska Agencja Kosmiczna (ESA) oraz Axiom Space (amerykańska firma działająca w branży kosmicznej) podpisały w sierpniu zeszłego roku. Drugi Polak w kosmosie będzie mógł przeprowadzić eksperymenty polskich technologii, co może znacząco przyspieszyć rozwój polskiego sektora kosmicznego i umocnić pozycję Polski w strukturach Europejskiej Agencji Kosmicznej.

Aby wykroić największy kawałek z kosmicznego tortu, trzeba działać szybko. O rozwoju własnego sektora kosmicznego myśli przecież nie tylko Polska, lecz także inne kraje regionu, jak choćby Węgry, które ogłosiły w maju tego roku, że po kilku dekadach przerwy już w najbliższych miesiącach na misję na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej (ISS) wyleci węgierski kosmonauta Tibor Kapu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

DODATKOWE

-10%

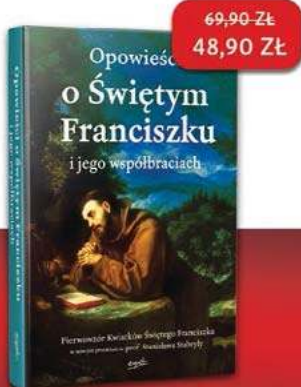
kod:
DR4

WYDAWNICTWO ESPRIT

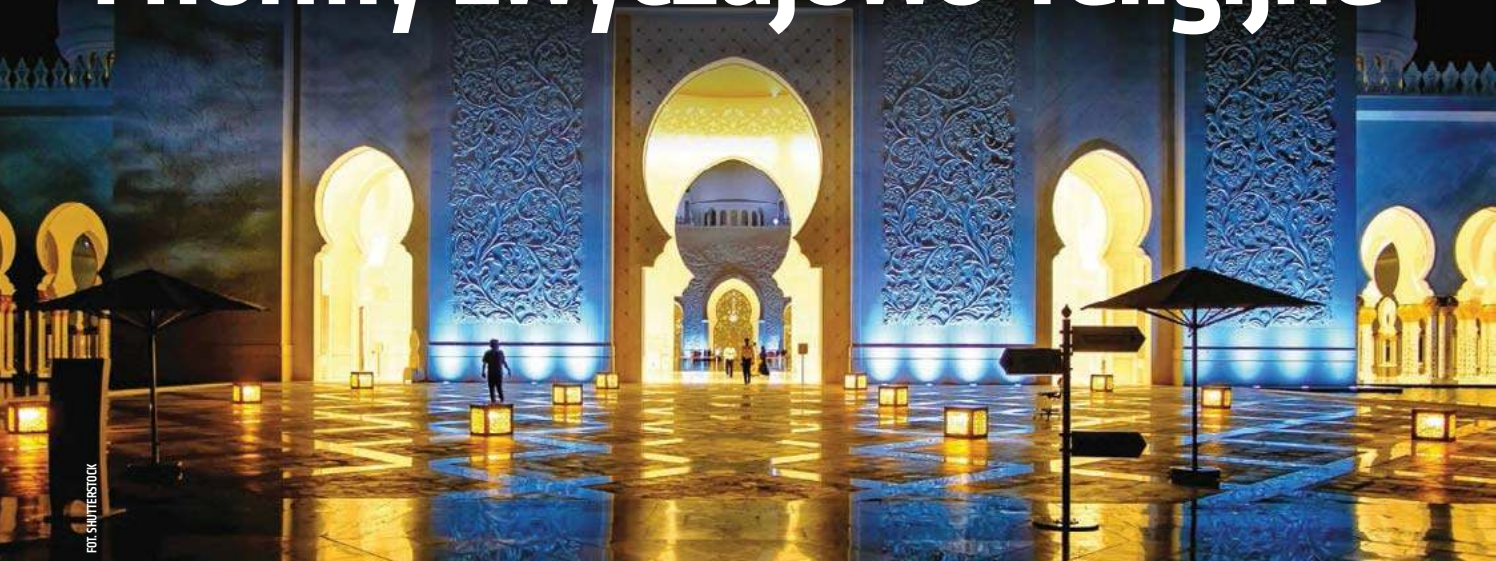
esprit

POLECA NOWOŚCI

Zapisz się do Katalogu Dobrych Książek i otrzymuj **specjalne gratisy!** Zamów książkę na esprit.com.pl lub pod numerem telefonu 12 267 05 69.



Savoir-vivre i normy zwyczajowo-religijne



Jacek Pańkiewicz

To, co jest przyjęte u jednych, może być uznane za gafę u drugih. Nietakt i pogwałcenie niepisanych reguł to brak szacunku, który może narazić przybysza na ośmieszenie lub na prawdziwe kłopoty

Człowiek dobrze ułożony, z ogłębłą europejską, w odmiennej rzeczywistości może być źle widziany, bo nie dostosował się do miejscowych norm. Angielskie przysłowie ostrzega: „At Rome we must do as Rome does”. Zachowujmy się w Rzymie jak rzymianie, unikajmy niepotrzebnego zdumienia czy obrażania się o byle co. Szanujmy odrębność kulturową i religijną rdzennych mieszkańców. Nie chowajmy się za

wygodny parawan, że miejscowi powinni uwzględnić, iż jesteśmy obcokrajowcami.

W życiu społecznym podlegamy normom nie tylko prawnym, ustalonym przez organy władzy państwowej. Także moralnym, zwyczajowym, kształtowanym wraz z rozwojem ludzkości, zapewniającym harmonijne i zgodne współżycie. Za naruszenie tych pierwszych grozi kara, za nieposzanowanie drugih – krytyka i potępienie.

OSTROŻNIE Z FOTOGRAFIĄ

Somalia, terytorium bez państwa, bez parlamentu, państwowej policji, armii czy nawet więzień, do dziś opiera bieg życia na prawie zwyczajowym. Kary orzekają spontanicznie tworzone plemienne sądy. I tak za przypadkowe spowodowanie śmierci człowieka odszkodowanie wynosi zazwyczaj od 60 do 70 wielbłądów. Spowodowanie trwałego uszczerbku na zdrowiu, np. strata prawej ręki – 40 wielbłądów, lewej ręki – 10 mniej. Za zgwałcenie dziewicy jest większa kara niż za

zgwałcenie wdowy. Złodziej, który ukradł zwierzę, musi je zwrócić i dodać jeszcze jedno o tej samej wartości. Za ścięcie cudzego drzewa eukaliptusowego trzeba zapłacić od 10 do 20 wielbłądów.

Reguły obyczajowe ulegają zmianom, szczególnie dzisiaj, w czasach szybkich przemian. Środki komunikacji przełamują międzynarodowe bariery, co prowadzi do coraz większej unifikacji obyczajów. Wielowiekowe tradycje odchodzą do lamusa, zastąpione nowymi obyczajami, podyktowanymi potrzebami epoki. Nietakt i pogwałcenie niepisanych reguł to brak szacunku, który może narazić przybysza na ośmieszenie, bo miejscowi nie zawsze posiłkują się taryfą ulgową wobec przyszłego popełniającego faux pas.

To, co jest przyjęte u jednych, może być uznane za gafę u drugih. Istnieją kraje quasi-nowoczesne, np. Turcja, otwarte na wzorce zachodnie, które jednak pilnie strzegą tradycji. Im dalej od centrów turystycznych i wielkich miast, tym większy panuje konserwatyzm. Zwłaszcza starsze

pokolenie przesiąknięte tradycjami z trudnością akceptuje nowy styl życia.

W codziennych kontaktach dobrze jest zachować powściągliwość, okazać uprzejmość i szacunek oraz w żadnym wypadku nie objawiać poczucia wyższości. Należy pamiętać o schludnym stroju i trosce o czystość. Poza terenem eleganckich hoteli za szokujące uchodzą zbyt swobodne stroje: bluzki półprzezroczyste czy z odkrytymi ramionami, spódnice mini, zbyt obcisłe ubrania, stringi wystające spod spodni. W krajach rozwijających się, a już szczególnie w Afryce, biały człowiek nie może pozwolić sobie na chodzenie po ulicy roznieglizowany, w krótkich majtkach i gimnastycznej koszulce.

Fotografowanie jest zawsze czynnością delikatną. Przed użyciem kamery czy aparatu fotograficznego zawsze trzeba zapytać prostym gestem i z uśmiechem o zgodę. Nie fotografować kąpiących się, żołnierzy, koszar, lotnisk, mostów, fabryk, kolei, obiektów wojskowych, urzędów administracyjnych, poczty, a w regionie islamskim – kobiet i szkół koranicznych.

W Afryce trzeba być przygotowanym na to, że ktoś, kto rzekomo w czymś pomógł, będzie domagać się „cadeau”, podarku. Nie należy wtedy przesadzać w szczodrości, pamiętając, że średni miesięczny zarobek kształtuje się w granicach kilkunastu dolarów. W Egipcie za wszelkie usługi i pomoc funkcjonuje „bakszys”, będący częścią kultury tego kraju.

Poruszając się samochodem, często natyka się na różne wojskowe i policyjne kontrole. Lepiej jest od razu wręczyć „chefowi” napiwek, aby uniknąć straty czasu, co może nie raz kosztować pół straconego dnia.

Mężczyźni mogą palić papierosy wszędzie i o każdej porze. Biała kobieta musi się tego wystrzegać, bo będzie potraktowana jako „femme libre”, czyli rozpustnica. Kobieta wzbudza zawsze większe zainteresowanie i ciekawość. Często otoczy ją gromadka dzieci, które będą jej dotykać, sprawdzać jej długie proste włosy.

Suahilijska etykieta przewiduje, że pytania grzecznościowe należy rozwinąć: „Co słyhać?”, „Czy wszyscy mają się dobrze?”, „A dzieci?”, „Co w pracy?”, „Co słyhać poza tym?”. I wcale nie jest to obłudne ugrzecznienie. Nigdy nie warto pytać po drodze, czy nasz cel jest daleko („is it far?”), bo każdy, używając grzeczno-

ściowej formułki, będzie się czuł w obowiązku zawsze odpowiedzieć: „no, not far”, nie, skądże. Pytamy więc „how far is it?”, jak daleko.

Afrykańczyk uważa, że biały jest kulturalny, nie podnosi głosu, nie kłóci się w miejscu publicznym, nie okazuje zniecierpliwienia. Tak więc źle jest widziany pośpiech, narzucanie czasu „zachodniego” i gorączkowego rytmu populacji, która ma inne pojęcie czasu i punktualności.

Obcokrajowiec jest często przedmiotem pozdrowień i uśmiechów. W krajach południowo-wschodniej Azji nie ściska się dłoni na przywitanie, a tym bardziej nie całuje się w policzek. Każdy kontakt fizyczny jest kłopotliwy, bo wnosi znamiona seksualności. Pozdrawia się zatem schyleniem głowy i złożeniem dłoni.

O TYM LEPIEJ NIE MÓWIĆ

W krajach latynoskich zwyczaje i nawyki są podobne do siebie i nie odbiegają wiele od europejskich. Z wyjątkiem miejscowości letniskowych w miastach ludzie przestrzegają norm ubioru. Wieczorem mężczyźni wkładają marynarkę i krawat, a panie najlepsze kreacje, nie zapominając o biżuterii i perfekcyjnym makijażu. Do lepszych lokali kobiety nie chodzą w spodniach, podobnie jak na eleganckie okazje żadna nie ośmieli się przyjść

W Japonii nie powinno się kłaniać niżej niż osoba starsza lub o wyższym statusie społecznym

bez pończoch. W żadnym kraju Ameryki Łacińskiej nie chodzi się po ulicy w tenisówkach, sandałach czy bermudach, bo to jest przewidziane wyłącznie na plażę. Zrozumiałe, że turysta, który tak się ubiera, często wywołuje konsternację. Na plaży panie nie używają kostiumów zbyt odważnych. Warto wiedzieć, że w mentalności miejscowych mężczyzn każda cudzoziemka jest szczególnie „dyspozycyjna”, dlatego jeśli chce zaoszczędzić sobie adoracji, to nie powinna przesadzać z prowokacyjnym ubiorem. Każda kobieta może liczyć na uprzejmość ze strony panów, którzy przepuszczają ją w drzwiach

i nie pozwolą nigdy zapłacić za siebie rachunku w restauracji.

Odwrotnie niż w Hiszpanii tu mówi się „usted”, czyli „pan, pani”, tylko do służby i niżej postawionych. Osoby należące do tej samej klasy przechodzą od razu na ty. Na powitanie mężczyźni, którzy się znają, obejmują się i poklepują po plecach, a kobiety całują się, wymieniając prawie zawsze między sobą „moja kochana”. Podobnego zwrotu używają też panowie w stosunku do bardziej znanych kobiet, z czego nie wypływają żadne podejrzenia intymności.

Na całym kontynencie w niedobrym tonie jest wszczynanie dyskusji na temat najazdu konkwistadorów czy eksterminacji Indian amazońskich. Mile widziane są wymiana grzecznościowych zwrotów na początku powitania w jakimkolwiek urzędzie lub rozmowy telefonicznej przed przystąpieniem do sedna sprawy.

ZAPROSZENIE DO SAUNY

Polacy rzadziej niż mieszkańcy innych krajów używają słów „proszę”, „przepraszam” i „dziękuję”. Warto zwrócić na to uwagę. W krajach bałkańskich powszechne skinienie głową na znak potakiwania oznacza nie, natomiast przeczące kiwanie głową jest przytakiwaniem. W Tajlandii nie wypada dyskutować podniesionym głosem. Kiedy w Indonezji gospodarz domu zapytuje, jak się podoba jego małżonka, to nie bojąc się popełnienia gąfy, należy odpowiedzieć zawsze z zachwytem, że jest nadzwyczaj urodziwa. Pełen dyskrecji erotyczny uśmiech na Jawie nie świadczy, że dziewczyna ma na nas ochotę, to tylko gest życzliwości. W Japonii nie powinno się kłaniać niżej niż osoba starsza lub o wyższym statusie społecznym. W Finlandii trzeba być przygotowanym na otrzymanie zaproszenia do sauny. W Irlandii nie rozmawia się o religii. W krajach zastrzonego reżimu do złego tonu należą rozmowy o polityce. Zwykle lepiej jest unikać wszczynania rozmów na tematy drażliwe dla gospodarzy i nawet wtedy, kiedy oni krytykują różne aspekty życia w swoim kraju, nie powinno się wypowiadać negatywnych opinii.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest reporterem i eksploratorem, twórcą survivalu w Europie, odkrywca źródła Amazonki. Przepłynął samotnie Atlantyk szalupą ratunkową, uczył kosmonautów i elitarne jednostki specjalne strategii przetrwania w nieprzyjaznych środowiskach. Napisał kilkadziesiąt książek.



NISSAN X-TRAIL 1.5 VC-T MHEV

Podstawowa odmiana X-Traila to świetny kandydat na rodzinny SUV-a. Ma muskularną sylwetkę, przestronną kabinę i duży bagażnik. A do tego jest wygodny i dość oszczędny.

Podstawowa jednostka w tym modelu, czyli 1,5-litrowy, trzycylindrowy silnik benzynowy, ma moc 163 KM, generuje 300 Nm maksymalnego momentu obrotowego i pozwala na przyspieszenie od 0 do 100 km/h w 9,6 sekundy. Nie jest to wynik, którym można się chwalić sąsiadom, ale jak na rodzinnego SUV-a nie jest wcale zły. Do tego miękka hybryda jest wystarczająco dynamiczna podczas jazdy w trasie. Automatyczna przekładnia

bezstopniowa potrzebuje co prawda chwili do zastanowienia po nagłym wciśnięciu pedału gazu, ale poza tym nie ma powodu do narzekania. Poza asfaltem przyda się 21 cm prześwitu, choć trzeba pamiętać, że X-Trail w tej wersji ma napęd tylko na przednią oś.

Auto okazało się też zaskakująco oszczędne. Na trasie krajowej przy oszczędnej jeździe udało mi się zejść ze spalaniem do nieco ponad 5 l/100 km. Ogólnie podczas testu średnia z miasta, autostrady i krajówek wyniosła ok. 8 l/100 km.

Miejsca w kabinie jest dużo zarówno z przodu, jak i na tylnej kanapie. Na pochwałę zasługują także

jakość materiałów użytych do wykończenia oraz duży 12,3-calowy ekran systemu multimedialnego, przez co X-Trail sprawia wrażenie, że jest tu jakby luksusowo. Aspiracje do klasy premium potwierdza również to, że model ten jest zaskakująco dobrze wyciszony. Szkoda, że jakość grafiki w nawigacji przypomina gry Atari. Minusem jest też to, że Android Auto działa wyłącznie przewodowo. Przyczepić można się też do nieco niestabilnego podczas jazdy z prędkościami autostradowymi wkładu lusterka (ale być może to kwestia egzemplarza). W tej półce cenowej ta wada nie powinna występować. To jednak drobiazgi. Pojemność bagażnika wynosi 585 l (1424 l przy złożonych tylnych siedzeniach).

Auto może być wyposażone w przezierny wyświetlacz HUD o przekątnej 10,8 cala. Na pokładzie są też liczne technologie wspierające bezpieczeństwo: system ostrzegania o samochodach w martwym polu lusterek, system ostrzegania przed kolizją (wykrywający auta przed nami, które nagle zwalniają) czy inteligentny system zapobiegania kolizjom podczas cofania (X-Trail może automatycznie zahamować, jeśli wykryje obiekt za sobą). Z kolei adaptacyjne reflektory przednie Full LED i system automatycznych świateł drogowych bardzo dobrze oświetlają drogę, jednocześnie nie oślepiając innych kierowców.

Auto z pięcioletnią gwarancją z obecnego rocznika w wersji N-Connecta można kupić za 174,2 tys. zł. Ta sama wersja z roku 2023 to koszt 166,2 tys. zł, a za wyższą wersję wyposażenia (Tekna) trzeba już zapłacić 184,5 tys. zł. ©

FOT. JAP

TEUFEL ROCKSTER GO 2

Dobre, energetyczne brzmienie z miłym dla ucha basowym pomrukiem, odporność na piasek i wodę, kompaktowe rozmiary, niewielka waga i niezła bateria – to największe zalety najnowszego modelu głośnika stworzonego z myślą o wakacyjnych wypadach niemieckiej firmy Teufel.

Przenośny głośnik stereo z dwoma przetwornikami z aluminium wygląda masywnie i solidnie, ale nie jest wcale diabelsko ciężki. Przeciwnie: waży 735 g i mieści się jeszcze w kategorii kompaktowych, choć w plecaku zajmuje już trochę miejsca (jego wymiary to 21 x 11 x 6 cm). Duże przyciski umożliwiają łatwe sterowanie. Wzornictwo jest oryginalne. Uwagę przyciąga zwłaszcza pasywna membrana niskotonowa, dzięki której basy przesyłane poprzez Bluetooth z AAC brzmią naprawdę nieźle. A funkcja Dynamic Bass sprawia, że basy są optymalnie dostosowane do głośności.

Ważną zaletą jest też gumowana, wodoodporna konstrukcja o stopniu ochrony IP67. Nie trzeba więc w panice chować głośnika, gdy podczas wypadu nad jezioro zacznie padać deszcz. Rockstera można też bez większego stresu postawić blisko płytkiego basenu. Podczas testu panował upalny

skwar. Nagłą ulewę zastąpiłem więc wodą z węża strażackiego i muszę przyznać, że głośnik nawet na chwilę nie przestał grać (choć przez chwilę brzmiał oczywiście nieco inaczej). Według producenta głośnik można zabierać ze sobą również zimą (ponoć działa do -10 st. C).

Parowanie przebiega szybko i bezproblemowo. Czas pracy na baterii wynosi do 28 godzin (w trybie oszczędzania energii), a w razie potrzeby energię można uzupełnić za pomocą kabla USB-C. Plusem jest też pasek przy głośniku, który pozwala przypiąć głośnik do paska, do roweru, plecaka czy powiesić go na gałęzi drzewa w przydomowym ogródku. Jest też praktyczny gwint 1/4 cala umożliwiający zamocowanie głośnika na stojaku. Przydatna przy większych imprezach w plenerze jest też możliwość sparowania ze sobą dwóch głośników Rockster Go 2.

Minusy? Brakuje aplikacji z korektorem dźwięku, dzięki której można byłoby brzmienie dostosować do własnych preferencji. Użytkownik dostaje jednak opcję włączenia lub wyłączenia trybu Dynamore za pomocą jednego przycisku na obudowie.

Głośnik dostępny jest w trzech kolorach. Cena: 599 zł. ©



PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Taniec z kościoła w Krakowie



JACEK KOMUDA

Kościół bernardynów w Krakowie na Stradomiu, przy ul. Bernardyńskiej, historię ma imponującą. Ufundowany w 1453 r. przez kard. Zbigniewa Oleśnickiego i Jana Hińczy z Rogowa wzniesiony został pod wezwaniem św. Bernardyna ze Sieny, zapewne pod wpływem płomiennego kaznodziei św. Jana Kapistrana, tropiciela herezji. Jego budową kierował po śmierci Oleśnickiego sam Jan Długosz.

W XVII w., przed potopem, został przebudowany na barokowy, aby już za kilka lat zostać splądrowany i zrujnowany przez Szwedów. Powtórnie odnowiony przed 1680 r. dziś poza licznymi zabytkami sztuki sakralnej sławny jest ze znajdującego się w kaplicy św. Anny obrazu „Taniec śmierci”.

Malowidło okraszone jest doskonałymi wierszami zawierającymi czarny humor epoki baroku. Obraz datowany jest na ostatnią ćwierć

XVII w., jestem jednak przekonany, że powstał pod koniec panowania Jana Kazimierza

lub w czasach króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego, czyli gdzieś pomiędzy 1667 a 1670 r. Wydaje się bowiem, że to właśnie pierwszy z tych władców ukazany jest na płótnie jako fraszobliwy i miłujący „Król”.

„Taniec...” przedstawia przekrój przez społeczeństwo staropolskie, a właściwie przez wszystkie stany ówczesnej Europy. Każdy, poczynając od papieża, a kończąc na zwykłym chłopku, zapraszany jest w tany ze śmiercią. „Dałbym berło i koronę, by mnie z tańca uwolniono – narzeka król. – O, nader to przykre niestety, które śmierć



FOT. DOWEN PUBLIZNA

skacze Balety”. „Darmo się wspierasz pod boki, gdy w te ze Śmiercią idziesz skoki. Rusz się z krzesła, choć nie raczysz, gdy tę Skoczkę w oczach baczysz” – głosi wierszyk dedykowany dygnitarzowi koronnemu. Owo siedzisko to oczywiście krzesło senatorskie w Sali na Zamku Królewskim w Warszawie. Tylko wojewodowie i kasztelanowie mieli prawo na takich zasiadać.

Jeszcze weselej i dobitniej sportretowany został zwykły szlachcic. „Jako się twe Suche Kości targnęły na me Wolności! Nie pozwalam w taniec z tobą, ty mnie przecie ciągniesz z sobą”. Mamy tu więc obronę złotej wolności szlacheckiej i fundamentalnego prawa – liberum veto (nie pozwalam), które w czasach panowania Jana Kazimierza i Michała Korybuta Wiśniowieckiego było nadużywane, rujnując Rzeczpospolitą. Jednak Śmierć nie uznaje nawet najświętszych szlacheckich przywilejów.

Dość pocziwie przedstawiony jest chłop, zgodnie zresztą z retoryką większość pism staropolskich, gdzie kmiotek ukazany jest jako godna politowania, ciężko pracująca istota, wszakże bez żadnej

niechęci i nienawiści. Nie zostali pominięci żołnierze, których los był w XVII w., co tu dużo gadać, nieciekawym, a autor zrównuje ich z żebrakami, bo kończą podobnie: „Czemuż to werdo nie pytasz, kiedy się z tą Damą witasz? Na obu was dekret srogi, żołąd umrze i ubogi”. Obrywa się też Żydom, dla których śmierć nie jest bynajmniej mistyką, ale prozą, i to ubogich lotów: „Sprośni Turcy, brzydki Żydzi, jak się wami Śmierć nie hydzi, na żydowskie nie dba smrody, z dzikimi skacze narody”.

Historycy często głowili się, aby rozpoznać postacie przedstawione w tańcu śmierci. Jednak o ile nie ma kłopotu z rozpoznaniem Jana Kazimierza jako Króla, o tyle większy problem jest z cesarzem, który nie przypomina Ferdynanda Habsburga (panował do 1657 r.) ani jego następcy Leopolda, gdyż żaden z nich nie był przedstawiany jako blondyn. Być może kardynałem jest Jan Albrecht Waza albo Michał Radziejowski, senatorem Stanisław Koniecpolski hetman i kasztelan, choć ja uważam, że jest bardziej podobny do Stanisława Rewery Potockiego, również hetmana, z czasów Jana Kazimierza.

Warto wybrać się do kościoła oo. Bernardynów i obejrzeć ten obraz. Zwłaszcza w czasach, kiedy wypychamy śmierć poza granice medialnej bańki, banujemy ją z konta na Facebooku i wykluczamy z powszechnej świadomości. W XVII w. była o krok, jedyna sprawiedliwa, koścista Małodobra panna na świecie, która zaprosi w tany każdego. „Szczęśliwy, kto z tego tańca odpocznie w Niebieskim Szańcu. Nieszczęsny, kto z tego koła w piekło wpadłszy: Biada woła” – podsumowuje obraz autor. ©©

I RZECZYPOSPOLITA

• Kraków

RYS. MART



ANNA POPEK Z D. CHRUIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Śledź z Barki

Podczas kilku dni pobytu w Kołobrzegu miałyśmy okazję zwiedzić miejscę zwykle pomijane przez turystów, ponieważ wszyscy – co poniekać zrozumiałe – ciągną nad morze. Jednak warto zajrzeć do Muzeum Oręża Polskiego, gdzie stoją polskie okręty wojenne oraz kilkadziesiąt ton różnych obiektów wyłowionych ostatnio z dna pogłębianego tutaj toru wodnego. Oprócz tego pomnik Zaślubin Polski z Morzem i monumentalna konkatedra.

Kulinarnie zaciękały nas jednak dwie sprawy. Po pierwsze, solanka. W jedynym ogólnie dostępnym miejscu wypływa źródło słonej wody – słynna kołobrzaska solanka, z której przed wiekami słynęło to miasto. Ludzie ustawiają się w kolejkach, by nabrać tej wody m.in. do kiszenia ogórków. Ma idealne stężenie soli i podobno ukuszone w niej ogórki są jędrne i bardzo smaczne, jest to też produkt lokalny.

Drugi aspekt to śledź. Od kilkudziesięciu lat działa tu nieprzerwanie bardzo popularna restauracja Barka. Niegdyś był to lokal firmowy Przedsiębiorstwa Rybackiego działającego pod tą samą nazwą. Tutaj biesiadowali obowiązkowo m.in. uczestnicy i różni ważni podczas Festiwalu Piosenki Żołnierskiej. Na niedzielne obiady tradycyjnie wybierali się tutaj z kolei kołobrzeżanie.

W latach 70. serwowano tutaj owoce morza i gulasz z kalmara – a takich dań nikt wcześniej w Polsce nie próbował. Była to więc kulinarna awangarda.

Od kilku lat szefem lokalu jest nan Ierz. który niodał nasza mała

ekipę śledziem i dorszem, tłumacząc, kiedy ryba jest dobra. Musi być świeża, rzecz jasna, i czysta. W dorszu powinny być widoczne słoje, mięso powinno się oddzielać warstwami od siebie – jeśli jest jedna zwarta masa, to dorsz był na pewno mrożony i nie wiadomo, jak długo przetrzymywany w zamrażarkach. Śledzie często moczone są w substancjach chemicznych – są wtedy białe i twarde. Najlepsze są śledzie bałtyckie – nie są duże, mięso jest białawo-szarawe i rozpyływa się w ustach. O rybołówstwie pan Jerzy wie bardzo dużo – poczynając od tego, jakie są kwoty połowów dorsza, a skończywszy na miejscach, w których pozyskuje się najlepsze ryby.

W Barce menu rybne jest bardzo wyszukane, ale też zwykły smażony dorsz jest tu wyśmienity. Kwestia jakości produktu. Raz w miesiącu, poza wakacjami, organizowana jest tutaj śledziowa uczta, podczas której można spróbować wielu dań ze śledzi, z ciasteczkami na deser włącznie. Pan Jerzy po dłuższej namowie zdradził przepis na śledzia w naleśnikach w sosie ananasowo-jabłkowym. Smażymy naleśniki bez cukru, żeby były wytrawne. Śledzie namaczamy w oleju z ziołami (zioła angielskie, liść laurowy, tymianek, rozmaryn) na ok. 4 godz. Odsączamy w papierze. Do usmażonego naleśnika wkładamy śledzia, smarujemy sosem, na to kładziemy plasterki jajka ugotowanego na twardo, zawijamy. Z wierzchu smarujemy sosem ponownie, dekorujemy plasterkiem brzoskwiń z puszek.

Sos: ananasa z puszek kroimy na drobne plasterki, jabłko ścieramy na grubej tarce, do owoców dodajemy po łyżce majonezu, jogurtu, śmietany. Smacznego! © ©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Krucha czy ciągutka



Adeser?" Sakramentalne pytanie pada, gdy tylko ostatni talerz drugiego dania zostaje sprzątnięty ze stołu. – Co jest na deser? – pilnej odpowiedzi domaga się czworo młodych ludzi w wieku od lat 3 do 13, z którymi spędzamy część wakacji w naszym letnim domu. Odpowiedź zawarta jest w pudełce ze słodyczkami, które stoi na najwyższej półce kuchennego kredensu.

Prince polo, kolorowe galaretki posypane cukrem, pyszne, ale w brzydkim pudełku, mieszanka krakowska, śliwki w czekoladzie... Oto zawartość tego tak niezwykle pożądanego towaru. Batony Mars czy inne amerykańskie podrzutki nie cieszą się u nas powodzeniem. Nawet żelki mają umiarkowane powodzenie. Jeśli chodzi o słodycze, to jesteśmy narodowcami.

Jest tu także cukierek, jedyny w swoim rodzaju, nie do podrobienia. Oczywiście chodzi o krówkę, i to tylko krówkę Pomorskiego z Milanówka. Te w białym, zwyczajnym papierku, z rysunkiem brązowej krówki. Ich słodycz jest słodyczą cukru, mleka, masła, bez środków zagęszczających oraz barwników identycznych z naturalnymi. I nie może być porównana z otepiającą, wulgarną słodyczą cukierka wyprodukowanego przez koncern międzynarodowy. Każda inna niż Pomorskiego krówka jest po prostu prawdomocnej krówki z Milanówka tylko prostacką, nieudaną podróbką. Biało-brązowy pa-

pieriek z wizerunkiem krowy oczywiście.

Czy państwo woła ciągutki czy kruche? (cudzoziemiec nie zrozumiałby tego dylematu). Ciągutki, których świeża masa po nadgryzieniu miękko przykleja się do zębów, ciągnąc za sobą długą i coraz cieńszą słodką nitkę (porównanie do gumy do żucia byłoby niefortunne). A może jednak należycie do frakcji kruchych, lekko nieforemnych brązowych kostek, które po dotknięciu zębami pękają z delikatnym chrzęstem?

Można powiedzieć, że każdy kraj ma coś swojego lokalnego słodkiego. Coś, z czego dumni są miejscowi, a co turyści wywożą, wracając z wakacji. Szwajcarzy mają czekoladę, Austriacy tort Sachera, Hiszpanie nugat migdałowy, na którym można połamać sobie zęby, Włosi pannetone, Czesi wafelki oblatki. Polską dumą cukierniczą były torciki wedlowski i pierniki toruńskie. Oba, o ironio, nieosiągalne dla rodaków przez lata PRL. Ale torciki wedlowski, dziś wprawdzie dostępne, z trudem może uchodzić za wyrób rzemieślniczy; pierniki toruńskie, nie umniejszając ich zasług, też wychodzą spod maszyny.

A skromna krówka to wyrób całkowicie i w najlepszym sensie tego słowa archaiczny. Prawdziwy slow food, wyprodukowany tradycyjnym sposobem przez niewielką, rzemieślniczą firmę rodzinną, dziś już w czwartym pokoleniu. © ©



FOT. ANDRZEJ STOK (X2)



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Odwiedzanie w szpitalu

No i mamy to. Związki partnerskie przejdą. PSL dał zgodę pod warunkiem, że w nowej ustawie o związkach nie będzie nic o możliwości adopcji dzieci przez takie związki. Ale to nie rozwiązuje sprawy, bo to byłoby załatwione tylko wtedy, gdyby w tej ustawie była wyraźnie zabroniona adopcja w tej formule. Moim zdaniem to uchylenie drzwi i lewa noga tam wetknięta będzie się rozpychać. No bo jak przyznamy nowy status związkom partnerskim, to okaże się, że to to samo, co bezpłodne rodziny tradycyjne. A im umożliwia się przecież adopcję. A takie „inne” traktowanie związków partnerskich to byłaby przecież dyskryminacja. Wszędzie, gdzie dopuszczono najpierw związki partnerskie, potem małżeństwa jednopłciowe, kończyło się prawem do adopcji. Nie wiem, dlaczego akurat u nas miałyby być inaczej? I żaden artykuł 18 konstytucji nas przed tym nie uchroni, wystarczy jedynie uznać taki związek partnerski za „rodzinę”, a ta wcale nie musi mieć dzieci ani mieć zalegalizowanej formuły, by podlegać ochronie państwa.

Wejście związków partnerskich jest często mylone wyłącznie z parami jednopłciowymi. A to jest pomyłka. To wcale nie muszą być pary jednopłciowe. Ta ustawa jest także wprowadzeniem formuły prawnej związku o o wiele mniejszej odpowiedzialności partnerów, formie

raczej świadczenia usług wzajemnych, nie zaś budowania rodziny. A to bardzo ważny aspekt. Państwo chroni i wspiera rodzinę głównie z powodów jej potencjału rodzicielskiego. Bo czemuż inaczej miałyby wspierać hybrydowy, chwiejny i płynny związek dwóch osobników? To głównie rodzicielstwo rodzi po obu stronach partnerstwo odpowiedzialności, w związku z tym potrzebę ochrony ze strony państwa. We wszystkich krajach ze związkami partnerskimi obserwować można coraz częstsze korzystanie z tej „uproszczonej” formuły związku przez pary różnopłciowe. Powoduje to atrofie formuły rodziny tradycyjnej. W końcu wszyscy zaraz będziemy żyli na kocią łapę. Z kotami zamiast dzieci.

Tu nie chodzi o przyszłowie „odwiedzanie się w szpitalach”. Charakterystycznym skrótem tego złudzenia jest ostatnia wypowiedź posła Połuboczka z Konfederacji, który zastąpił w Sejmie europosła Brauna. Braun nigdy by nie powiedział tego, co Połuboczek, który oznajmił: „Jesteśmy po to, aby ludziom ułatwiać życie. Jeśli związki partnerskie w pewnej formule pomogą walczyć z biurokracją w tym kraju”. Co dowodzi nie tylko ideologicznego rozwarstwienia w Konfederacji, lecz także kompletnego kupienia lewicowej narracji przez ułudę interpretacyjną prawnicy. © ©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Wskazówka i przestroga

Na nieformalnym spotkaniu najbliższych współpracowników Viktora Orbána z politykami francuskiego Zjednoczenia Narodowego, już po ogłoszeniu wyników wyborów, Marine Le Pen stwierdziła, że nawet w przypadku wygranej jej ugrupowania dla Francji jest już za późno. Gdyby 30 lat temu można było zrealizować ich program, można by jeszcze uratować Francję. Kiedy Węgrzy dopytywali, co ma na myśli, czego już nie da się odbudować, Le Pen miała odpowiedzieć: kultura. W ciągu ostatnich lat wyrosły pokolenia, które nie miały okazji przyswoić sobie podstaw francuskiej, wyrosłej na gruncie cywilizacji łacińskiej tożsamości. We Francji żyją dziś miliony obywateli Republiki, którzy nie mają kontaktu z francuską kulturą, a nawet jeśli cokolwiek z niej rozumieją, to tylko po to, by ją zanegować.

W tym kontekście ciekawie wygląda analiza elektoratu Zjednoczenia Narodowego. Statystyki pokazały, że znaczący wzrost poparcia dla Zjednoczenia jest wynikiem głosowania całkiem nowych i wcale nieoczywistych grup. Obierając za cel islam, Marine Le Pen zdołała przyciągnąć wyborców, którzy do tej pory nie głosowali na jej partię. W tej kohorcie są młode, nieupolitycznione kobiety, młodzi ludzie, homoseksualiści, Żydzi i (uwaga!) imigranci drugiego lub trzeciego pokolenia. Okazuje się, że tym, co jednoczy

tak różne kulturowo grupy wyborców, jest podstawowa ludzka potrzeba – potrzeba poczucia bezpieczeństwa.

Marine Le Pen, wypłukując swój program z podstawowych treści antropologii chrześcijańskiej, czyli rezygnując ze sprzeciwu wobec mordu prenatalnego i akceptując postulaty politycznego ruchu homoseksualnego, mimo zmasowanej demonizującej propagandy, jest dziś najpopularniejszym ugrupowaniem we Francji.

Czy odczarowanie i zmięczenie wizerunku partii uważanej do tej pory za skrajną – co, jak widać, udało się liderce francuskich nacjonalistów – może być wskazówką dla odpowiednika Zjednoczenia Narodowego na polskiej scenie? Czy zatem w Konfederacji przeważa światopoglądowo umiarkowana postawa Nowej Nadziei? Piszę ten tekst w dniu, kiedy procedowane są skrajne projekty lewicy uchylające prawo chroniące życie w okresie prenatalnym. W Polsce na szczęście korzystamy z kilkudziesięcioletniego poślizgu wobec antropologicznej rewolty, która zdewastowała sumienia Francuzów. Konfederacja i PiS deklarują opowiedzenie się po stronie cywilizacji życia, więc przynajmniej w tej kwestii na polskich konserwatystów można liczyć. Ale czy możemy być pewni, jak zachowają się niektórzy z Konfederacji i posłowie PiS, gdy pod głosowania będą poddane projekty związków partnerskich? © ©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Prostota konstrukcji

Gdzie ja żyję? Co to za kraj? Co za ludzie? Co za elity? Stop. W czasie komisji sejmowej do spraw wiz posłanka Trzeciej Drogi Aleksandra Leo, zwracając się do przesłuchiwanego świadka Daniela Obajtka, powiedziała: „Dziwi mnie, że pan chojraczy w mediach społecznościowych, błaznuje na komisji. Może pan do woli szczerzyć te swoje słynne, sztuczne zęby”. Stop. Ale to bynajmniej nie wszystko, na co pozwoliła sobie ta pani: „Ja na pana miejscu przeklinałabym dzień, w którym opuścił pan Pcim”. Stop. Z dostępnymi mi informacji wynika, że Niedokrzesana Olka nie prowadzi meliny na Bałutach i na Grochowie, do tej pory nie była też notowana za kieszonkowe kradzieże w metrze i spożywanie wina w miejscu publicznym (chyba że źle sprawdziłem). Stop. Proste konstrukcje robią u Hołowni za elitę...

Pogłosił na platformie X: „Będziemy głosować za depenalizacją aborcji. Będziemy głosować za związkami partnerskimi jako projektem rządowym, chociaż nie wszystkich udało mi się przekonać. Kończymy dyskusję, czas na decyzję”. Stop. Decyzja była spektakularnie szybka, podjął ją prezydent Andrzej Duda, ogłaszając: „Nie podpiszę ustawy o depenalizacji aborcji”. Stop. Kurtyna.

Polskie dzieci mają się uczyć historii ze wspólnego

podręcznika polsko-niemieckiego, nie żartuję. Stop. PiS podręcznik blokował, a rząd Donalda Tuska dał mu zielone światło. Stop. Chciałbym, żeby polskie dzieci poznały opinię nieżyjącego już dziennikarza Pawła Zarzecznego o naszej historii. Oto ona: „Ja codziennie przed pracą siedzę w parku przy pomniku doktora Korczaka. Stary doktor stoi otoczony wianuszkami dzieci. Te dzieci mają tak sześć lat, osiem, 10, 12. I dziewczynka z taką małą laleczką (Zarzeczemu łamię się tu głos). I tak sobie myślę, Jezus Maria, jest naród, który te dzieci wysłał do pieca. I tak sobie myślę: są zbrodnie, których nie możemy wybaczyć. No więc ja nie wybaczam”.

W czasie wywiadu telewizyjnego marszałek Sejmu Szymon Hołownia powiedział: „Chciałbym, żeby każdy z nas miał w sobie tyle poweru, co Joe Biden”. Stop. Groza. Stop. Czy ten facet z TVN chce rzucić na nas jakąś zbiorową klątwę? Stop.

Urodzony w Moskwie ambasador Izraela Ja'akow Liwnie umieścił w mediach społecznościowych zmanipulowany wpis o Jedwabnem, ilustrując go nie zdjęciem z Jedwabnego, tylko z niemieckiego obozu koncentracyjnego Bergen-Belsen. Stop. Kiedy internauci zdemaskowali jego oszustwo, usunął wpis. Stop. Jak zareagowało nasze Ministerstwo Spraw Zagranicznych? Stop. Nijak, nas wolno opluwać... ©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ
WIEROMEJCZYK

SPODE ŁBA

Niech żyje cesarz!

Niezwyczajny pokaz uporczywości i nadludzkiej wręcz wytrwałości dał w małopolskim sejmiku kandydat na jego marszałka z ramienia PiS Łukasz Kmita. W pięciu kolejnych głosowaniach, odbywanych w kolejnych dniach, kandydatura jego przepadała. Niezrażony startował dalej. Dopiero gdy perspektywa utraty sejmiku przez PiS stała się realna i bliska, ustąpił na rzecz partyjnego kolegi. Nie stracił jednak wiary we własne siły. „Gdybym kandydował szósty, siódmy raz, odniósłbym zwycięstwo” – stwierdził po wyborczej batalii Kmita.

W niezmiennie aktualnych dla opisu naszej rzeczywistości „Przygodach dobrego wojaka Szwajjka” opisany jest niejaki Bouszek z Libni. „Osiemnaście razy w ciągu jednego wieczoru wyrzucił go u »Exnerów«, a on po każdym wyrzuceniu wracał, że niby zapomniał tam fajkę. Włożył oknem, drzwiami, przez kuchnię, włożył do lokalu przez mur ogrodu, przez piwnicę i włożył może nawet kominem, gdyby go strażacy nie zdjęli z dachu. Był taki wytrwały, że mógłby zostać ministrem albo i posłem”.

Wytrwałość Łukasza Kmity została już dawno doceniona przez Jarosława Kaczyńskiego. Kmita posłem jest, a przez ostatnie trzy lata był nawet wojewodą małopolskim. Kryteria doboru kadr stosowane przez nieomylnego Prezesa nie różnią się wiele od tych, które służyły podeszłemu

wiekom cesarzowi Franciszkowi Józefowi I u kresu jego rządów. Nawet w szeregach PiS zaczynają one budzić wątpliwości. „A jednak król jest nagi – mamy w PiS coraz większy kryzys przywództwa, lojalności i elementarnej przyzwoitości” – skomentował wyborczą batalię senator PiS Marek Pęk.

Nawet Jarosław Kaczyński uznał, że zmuszono go w Małopolsce do gorzkiego kompromisu. Z właściwą sobie wielkoduszością zapewnił: „Ale to nie jest kompromis polegający na tym, że ja o tym, co się działo i co niektórzy ludzie robili, zapomniałem. Nie zapomniałem”. Nie zapomnieli też zapewne wyborcy. W najnowszym sondażu preferencji wyborczych (wykonanym 5–8 lipca) partia Jarosława Kaczyńskiego notuje olbrzymi spadek, tracąc aż 6,5 punktu procentowego poparcia. Jest to zapewne efekt małopolskich głosowań.

Na niewesołym tle tym jaśniej świecą przykłady niezachwianego optymizmu. „Jarosław Kaczyński ograł Donalda Tuska w Małopolsce. Zgodnie z wolą wyborców. Gratulacje dla obu Łukaszów” – napisał na portalu X były wicepremier i minister kultury Piotr Gliński. Dzielnego wojaka Szwajjka dodałby do tego zapewne: „Niech żyje cesarz Franciszek Józef. Ta wojna jest wygrana!”. Mimo dystansu stulecia tak wybitne postaci więcej łączą, niż dzieli. ©

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

„Wyzwalanie”

O siedemdziesiąt lat temu, 20 lipca 1944 r. płk Claus von Stauffenberg dokonał nieudanego zamachu na Adolfa Hitlera w jego kwaterze głównej w Gierłozie (Wolfsschanze). Wydarzenie to jest traktowane przez zwolenników tezy o „oswobodzeniu” Niemiec w 1945 r. jako koronny dowód na istnienie w hitlerowskich Niemczech szeroko rozgałęzionego ruchu oporu przeciw narodowo-socjalistycznemu reżimowi; ruchu, który nie chciał czekać na wyzwolenie (nastąpiło w maju 1945 r.) i wziął sprawy w swoje ręce. Nie udało się. Zamachowiec oraz inni cywilni i wojskowi dygnitarze podejrzani lub zamieszani w udział w spisku w ciągu kilku kolejnych tygodni zostali zgładzeni.

do ludobójczej eksterminacji polskich elit (Intelligenzaktion). W listach Stauffenberga z czasów kampanii wrześniowej 1939 r. można natomiast znaleźć wiele fragmentów o Polsce i Polakach, których nie powstydziliby się Goebbelsowska propaganda suflująca tezy o „polskim okrucieństwie”, „polskim brudzie” i „polskim upadku kulturowym”. Stauffenberg w pełni aprobował wcielenie do Niemiec polskich ziem (Pomorza i Wielkopolski), uważając – jak przeważająca część niemieckiej opinii publicznej – że w ten sposób usunięta została „niesprawiedliwość wersalskiego dyktatu”.

Trudno znaleźć w źródłach ślady sprzeciwu przyszłych spiskowców wobec przeprowadzanej przez różne agendy państwa

szedł jeszcze dalej. PKWN oraz jego manifest ogłoszony 22 lipca 1944 r. w „pierwszym wyzwolonym polskim mieście” Chełmie (choć wschodnią granicę RP armia sowiecka ponownie przekroczyła w styczniu 1944 r. i od tego czasu zajęła wiele polskich miast) w rzeczywistości powstały kilka dni wcześniej w Moskwie. Jego tekst przetransportowano drogą powietrzną do „Polski lubelskiej”.

Zakłamanie było nawet zdjęcie umieszczane w PRL-owskich podręcznikach do historii przedstawiające człowieka uważnie czytającego treść „wiekopomnego manifestu”. Nic przeczytać nie mógł, bo był analfabeta. A komitet, na którego czele komuniści postawili rozłamowca z PPS Edwarda Osóbkę-Morawskiego, nie zmierzał do wyzwolenia narodowego, ale był posłusznym narzędziem w ręku Stalina przystępującego do planu sowietyzacji Polski. W kolejnych tygodniach po zainstalowaniu się w Chełmie, a docelowo w Lublinie, PKWN jako „nowy rząd polski” wydawał serię dekretów, których treść dyktowali „doradcy” z NKWD. Stanowiły one podstawę prawną dla tworzenia ustrojowych fundamentów nowego reżimu (powołanie Milicji Obywatelskiej i Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego) i jednocześnie oddawały miliony Polaków pod jurysdykcję sowieckich władz wojskowych oraz sowieckiej bezpieki.

Takie to było „narodowe wyzwolenie”. Tak prawdziwe, jak „wyzwalanie” Niemców spod władzy nazistowskiego reżimu. Niby rzecz oczywista, ale po ostatniej masakrze podstaw programowych do historii nic już oczywiste być nie może. © ©

Spiskowcy odrzucali reżim hitlerowski dlatego, że Niemcy zaczęły chylić się ku klęsce, a nie dlatego, że opanował ich nagły wstręt do nieludzkiej ideologii narodowego socjalizmu

Stauffenberg stał się więc bohaterem, kilkadziesiąt lat po swojej śmierci „namaszczonej” przez Hollywood w „Operacji Walkiria” (Tom Cruise w roli głównej). Dramatyczny koniec zamachowca i jego współpracowników (realnych i domniemych) nie powinien jednak przesłonić tego, że sam Stauffenberg i osoby zaangażowane w spisek przeciw Hitlerowi, w czasie gdy rządzona przez NSDAP Rzesza Niemiecka szła od zwycięstwa do zwycięstwa, nie widzieli najmniejszego powodu, by występować przeciw nazistowskiemu reżimowi. Ani Stauffenberg, ani jego współspiskowcy nie protestowali, gdy jesienią 1939 r. państwo niemieckie przystąpiło

niemieckiego w latach 1942–1943 akcji „Reinhardt”, której ofiarą padło ok. 1,8 mln Żydów w Generalnym Gubernatorstwie (Treblinka, Bełżec, Sobibór i Auschwitz). Spiskowcy odrzucali reżim hitlerowski dlatego, że Niemcy zaczęły chylić się ku klęsce, a nie dlatego, że opanował ich nagły wstręt do nieludzkiej ideologii narodowego socjalizmu.

Mnij więcej w tym samym czasie, gdy spisek na życie Hitlera wkraczał w decydującą fazę, w Moskwie Józef Stalin rozpoczął operację pt. PKWN. Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego – w tej nazwie jedynym prawdziwym wyrazem był „komitet”. Propagandowy montaż

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Polska ma do UE podejście takie, jak żona do męża, który ją bije, traktuje jak śmiecia, a ona mimo to nie ma zamiaru ani sama odejść, ani wywalić bydlaka za drzwi. Chcesz tak żyć? Naprawdę? Czy o to ci chodziło, gdy głosowałeś za wejściem Polski do UE?

Od przyszłego roku wchodzi w UE podatek od domowych ciast sprzedawanych na kiermaszach szkolnych i w przedszkolach. Gdy matki w jakiejś szkole zorganizują zbiórkę funduszy na nowe piłki i w tym celu przyniosą serniki własnej roboty, to potem będą musiały zapłacić podatek od każdego sprzedanego na kiermaszu sernika. Chcesz tak żyć? Już żyjesz! Straż miejska w Gliwicach przegoniła dzieci sprzedające lemoniadę „bez odpowiednich zezwoleń”. Chcesz tak żyć, że na sprzedaż lemoniady dziecko musi uzyskać zezwolenie?

Ministerstwo Edukacji rozważa ZAKAZ wyjazdów rodziców z własnymi dziećmi w trakcie roku szkolnego. Bo twoje dzieci nie są twoje, tylko ich. Własność państwowa. Ty masz realizować obowiązek szkolny, więc gdybyś chciał wyjechać w miesiącach zakazanych, to będą zatrzymanie na granicy oraz kary i grzywny. Przez 10 miesięcy w roku nie będzie się wolno meldować z dziećmi w hotelu ani pensjonacie. Policja będzie urządzać łapanki na plażach, nad jeziorami i w górach, gdy wykryje obecność dziecka z mamą lub tatą poza dozwolonym okresem wakacji i ferii. Chcesz tak żyć?



W Danii od 2030 r. podatek klimatyczny za emisję CO₂ będzie naliczany również od każdej krowy i świni. A dyrektywa UE wprowadza dla całej Unii obowiązkowe dodatki do kiełbas w postaci suszonych owadów i mieszanek wegańskich (mielona trawa lub kora drzew). Nazwali to „mięsem ekologicznym”, opisali w rozdziale „Fit for 55” poświęconym żywności i to będzie OBO- WIAZKOWE od roku 2028. Czyli za cztery lata normalną polską kiełbasę będziemy eksportować do Rosji, USA i Chin (tam, gdzie teraz), ale w Polsce będziemy mogli jeść wyłącznie kiełbasę z dodatkiem robaków i mielonej kory. Chcesz tak żyć? Masz może w rodzinie noworodka? Gdy skończy cztery lata, zaczniemy mu podawać kiełbasę z mielonym robactwem, bo innej nie będzie. Naprawdę chcesz tak żyć?

W Warszawie od lipca działa nowe getto i ten unijny model chcą powtórzyć inne miasta w całym kraju: zakaz wjazdu do centrum dla „starych” samochodów. To wcale nie są auta stare, lecz takie, na które stać zwyczajnych ludzi; średnia krajowa, a nie żaden stary gruchot. Bogaci w autach elektrycznych i najnowszych wjadą wszędzie, a reszta, czyli pospółstwo, niech im nie korkuje ulic.

Warszawskie getto stworzone przez Niemców polegało na tym samym – chodziło o to, by „podludzie” nie kręcili się po mieście. Podludzie mają siedzieć za murem. Za niemieckiej okupacji „podludzie” mieli niewłaściwe pochodzenie i opaski

z gwiazdą, dziś „podludzie” mają niewłaściwe tablice rejestracyjne i zakaz poruszania się po jezdniach przeznaczonych dla wybrańców.

Kontrola samochodów w getcie odbywać się będzie poprzez czytanie tablicy rejestracyjnej za pomocą systemu kamer. Na tę inwigilację się nie godziliśmy, nikt nas nie pytał, nie było głosowania, więc ta powszechna inwigilacja jest nielegalna. Byłaby legalna, gdyby dotyczyła konkretnych osób, wobec których toczy się jakieś śledztwo, i sąd wyraził zgodę na śledzenie.

Chcesz tak żyć?

Siedemnastoletnia dziewczyna została zaatakowana w pobliżu ośrodka dla nielegalnych imigrantów w miasteczku Sonderborg w Danii. Napastnik powalił ją i zaczął z niej zdzierać ubranie. Obroniła się za pomocą gazu łzawiącego. Gdyby nie gaz, zostałaby kolejną ofiarą gwałtu. A teraz to ona jest ścigana przez wymiar sprawiedliwości swego kraju i zostanie ukarana za noszenie nielegalnej broni (tę informację podał „Daily Mail”). W Danii za posiadanie gazu łzawiącego wymierza się obywatelom karę, a imigrant z obcego państwa za nielegalne przekroczenie granicy dostaje darmowe lokum w ośrodku plus wikt i opierunek, czyli wczasy w uroczym miasteczku nad morzem, za które nie musi płacić, nie musi też ani pracować, ani chodzić do szkoły. A ci duńscy frajerzy jeszcze mu dadzą kieszonkowe, żeby se mógł iść na lody lub na gwałt.

Niemcy: kobieta skazana „za znieważenie” gangu imigranc-

kich gwałtcicieli otrzymała wyrok więzienia dłuższy niż ci gwałtciele, których „znieważyla” (tę informację podaje The Publica). Chcesz tak żyć? Masz może w rodzinie nastoletnią córkę? A może mieszkasz w Płocku, gdzie wybudowano miasteczko kontenerowe dla pracowników Petrochemii sponowadzonych z Pakistanu i okolic? Muzułmanie z tamtego rejonu świata traktują kobiety, dziewczyny i dziewczynki jak kozy. I to nie jest ich wina ani zbydlęcenie, lecz ich CECHA kulturowa. Tak jak nie jest „wina”, lecz cechą kruka to, że dziobie.

Nie ma sposobu, aby pogodzić kulturę chrześcijańską z tym, co przywożą imigranci. Muzułmanie nadal obcinają głowy niewiernym i nie mają z tym problemu – oni w nagrodę za takie rzeczy idą do swojego muźmańskiego nieba. Palestyńscy bojownicy jesienią zeszłego roku pakowali żydowskie dzieci do piekarnika i chwalili się tym. Filmowali komórkami pieczenie dzieci i zbiorowe gwałty. Ci sami bojownicy, których obecnie popierają świat, ONZ, UE, a nawet Polska (jest w Polsce ambasada Palestyny, czyli popieramy).

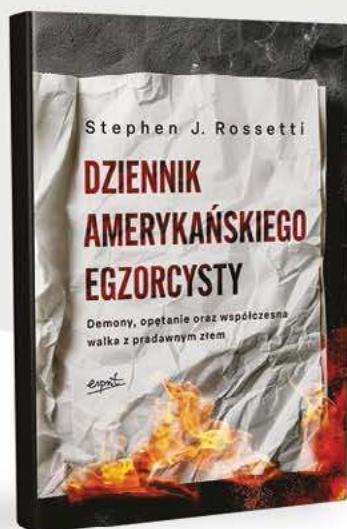
Prorok Mahomet miał 13 żon. Ulubioną była Aisza. Prorok wziął ją sobie za żonę, gdy dziewczynka miała sześć lub siedem lat i skonsument związek dwa-trzy lata później, gdy dziewczynka miała najwyżej 10 lat. Był od niej starszy o 44 lata. Dojrzały mężczyzna i dziecko.

Aktywiści, którzy pomagają muźmańskim w nielegalnym przekraczaniu granicy, nie zdają sobie sprawy z takich rzeczy. Prorok Mahomet jest dla muźmańców wzorem do naśladowania, takim jak dla nas Jezus Chrystus. No i naśladowają, a UE ich wpuszcza. Chcesz żyć w UE? ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LIŚCICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY



~~874~~ zł

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

STEPHEN J. ROSSETTI:
„DZIENNIK AMERYKAŃSKIEGO
EGZORCYSTY”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

402,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 472 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%)
- Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami
- Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl a661ba9222

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



SEKRETY POTĘGI HUSARII

Szarże nie do powstrzymania – Wyszkozenie, nieprawdopodobnie wysokie morale i doskonałe uzbrojenie dawały husarzom olbrzymią przewagę nad wrogami

Towarzyszy wzloty i kłopoty – Jacek Komuda o dniu powszednim skrzydlatego jeźdźcy

Czarna seria Mosadu – Incydent w Lillehammer uruchomił kaskadę fatalnych dla Izraela zdarzeń

Afgańska klęska imperium brytyjskiego – Ekspedycja Macnaghena była największą porażką poniesioną w XIX w. przez imperium brytyjskie. W całej sprawie mocno namieszał młody Polak

Każń cichociemnego – Bolesław Kontrym przed wojną bezpardonowo bronił polskiej granicy przed Sowietami. Po aresztowaniu przez UB ślad po „Żmudzinie” urywa się na blisko cztery lata

Cesarz spod Złotej Bramy – Ostatni władca Bizancjum osobiście bronił murów Konstantynopola

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

Zakupiono w NEXTO: 4207473